

Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend

WOLNA
SOBOTA

Rząd Tuska: siedem miesięcy
roczarowań? • Mam 68 lat
i przyłączyłem się do Ostatniego
Pokolenia • Fake all inclusive.
Czym Łukaszenka kusi migrantów



WYSOKIE
OBCASY
Będzie bolało
Opowieść
dominy



GAZETA
wyborcza
wyborcza.pl
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

Sztuczna inteligencja ukradła głos Scarlett Johansson

Do czego jeszcze posunie się Dolina Krzemowa

FOT. KRISTIN CALLAHAN/EVERETT COLLECTION/EAST NEWS

wydaje Agora SA
nr indeksu 348198



ALE HISTORIA

Jedyny most,
którego nie wysadzili
hitlerowcy

Czy uciskani
przesadzają
z odwetem

Ossowscy
Socjolodzy zboczeńcy
nadnormalni

Sprofanowali
kaplicę,
odrąbano im dłonie

Agnieszka Kublik



Rząd nas nie zostawi samych

Big Techy nas nie przestraszą. To mogę zagwarantować na sto procent”; „Jeżeli Big Techy zagrażają niezależności mediów, to tym bardziej zagrażają niezależności w polityce”. Podczas śródownego spotkania Donalda Tuska z wydawcami padły słowa, które dały nam nadzieję i poczucie bezpieczeństwa, że w starciu z internetowymi gigantami rząd nas nie zostawi.

Premierowi towarzyszyli marszałkini Senatu Małgorzata Kidawa-Błońska, ministra kultury Hanna Wróblewska, szef kancelarii premiera Jan Grabiec oraz szef Komitetu Stałego Rady Ministrów Maciej Berek. Czyli wszyscy, którzy mają kompetencje i władzę, by sprawnie przeprowadzić przez Senat i Sejm poprawki, na których zależy wydawcom.

Jakie poprawki? Zmiany w noweli o prawie autorskim i prawach pokrewnych, która ma wdrożyć unijną dyrektywę Digital

Single Market. Nowe prawo gwarantuje wypłacanie tantiem przez internetowe korporacje zarządzające m.in. wyszukiwarkami i mediami społecznościowymi za treści czerpane z cyfrowych wydań gazet, czasopism i z portali.

Sęk w tym, że wysokość tantiem trzeba ustalić. Czyli polscy wydawcy sami

mają je negocjować z najpotężniejszymi na świecie korporacjami. Jeśli nie włączy się to mediator w postaci państwowej instytucji, negocjacje mogą ciągnąć się latami. A kasy za wytworzone przez dziennikarzy, zweryfikowane i opracowane przez redaktorów treści – newsy, analizy, wywiady, eseje – nie będzie.

To oczywiste, że za cudzą pracę trzeba płacić, prawda? Nie sądzę, by wśród Czytelników znalazł się ktoś, kto chętnie odda innym za darmo to, nad czym się sam napracował. O to walczymy, tak jak artyści walczyli, by nie żerowali na nich piraci fonograficzni i jak dziś drobny przedsiębiorca walczy, by klient mu zapłacił.

Premier rozumie, że taki wyzysk jest nie tylko niesprawiedliwy, ale i niebezpieczny. Media niezależne od władzy finansowo są solą demokracji. Banał, ale po ośmiu latach władzy Kaczyńskiego już nie można zbywać go wzruszeniem ramion.

Sposobu na negocjacje z Big Techami poszuka grupa robocza ministerstwa kultury i wydawców. Nad wspólnymi ustaleniami pochylił się Senat, a do końca lipca Sejm.

Czyli może się uda rozwiązać ten problem w trzy tygodnie. A dopiero co wiceminister kultury Andrzej Wyrobiec (niegdyś menedżer i przedsiębiorca w trudnej branży kulturalnej oraz reklamowej) upierał się, że rząd się tym zajmie we wrześniu i że nie widzi powodów, by wydawcy byli w uprzywilejowanej pozycji.

To wspaniale, że premier postanowił włączyć się w rozwiązanie tej sprawy. Ale czy ten lub inny wiceminister musi usłyszeć, co premier myśli w tej lub innej kwestii, żeby wiedzieć, co jest słuszne? Jak zmieniać prawo, by nikogo nie skrzywdzić? Po to głosowaliśmy 15 października, żeby ręczne sterowanie zastąpić merytokracją. ●

Andrzej rysuje



Japonia

Wzięliśmy prawie ślub, ale nie mówcie nikomu



FOT. REUTERS/KIM KYUNG-HOON

Yokohama, lesbijska para zawiera związek małżeński. Czy raczej prawie zawiera, bo Japonia nie uznaje małżeństw osób tej samej płci. Ale że większość Japończyków, zwłaszcza młodych, je popiera, lokalne władze rejestrują symboliczne śluby. 35- i 40-latką kryją się za bukietami nie po to, by fotograf miał atrakcyjny kadr, ale dlatego, że „nie wszyscy wiedzą o naszym związku”.

Kod dostępu do Wyborcza.pl

Wiadomości z kraju i ze świata
czytaj teraz na wyborcza.pl

UŻYJ BEZPŁATNEGO KODU i bądź na bieżąco przez cały weekend *

XM8J71A

- 1 Wejdź na stronę Wyborcza.pl/magazynkod
- 2 Wpisz kod w polu „Kod promocyjny”
- 3 Podaj adres e-mail, na który przyznamy dostęp
- 4 Aktywuj dostęp w ten weekend

* Oferta tylko dla użytkowników, którzy w ostatnim roku nie posiadali prenumeraty w serwisie Wyborcza.pl. Dostęp do serwisu w dniach 13-14.07.2024 r.

Bursztyn Polacy wymyślają rakietę

Rakieta skonstruowana w Instytucie Lotnictwa „Łukasiewicz”, wzniosła się na 101 km, czyli przekroczyła umowną granicę kosmosu. Lot odbył się w centrum Andøya w Norwegii. Czemu nie w Polsce? Z powodów bezpieczeństwa – dużego zasięgu strefy upadku zużytych elementów rakiety.

ILR-33 Bursztyn 2K służy do lotów suborbitalnych, jest w stanie wynosić ładunki do 10 kg.

Po co nam taka rakietka? Np. do badania atmosfery, wynoszenia eksperymentów naukowych, testowania komponentów w stanie nieważkości. A więc jest alternatywą dla drogich badań na Międzynarodowej Stacji Kosmicznej.

Rakieta mierzy 4,6 m wysokości. Startuje z własnej platformy mobilnej. Dwa silniki pomocnicze na paliwo stałe odpadają po kilku sekundach. Silnik główny jest hybrydowy – używa stałego paliwa (polietylenu) oraz ciekłego utleniacza (nadtlenu wodoru w stężeniu 98-proc.). To pionierska technologia.



FOT. ŁUKASIEWICZ - INSTYTUT LOTNICTWA

Naukowcy z Instytutu Lotnictwa opracowali nową metodę otrzymywania bardzo wysoko stężonego nadtlenu wodoru (w kilkuprocentowym stężeniu jest zwykłą wodą utlenioną). Silnik hybrydowy ma prostszą konstrukcję i mniejsze ryzyko pożaru od silnika na paliwo płynne, z kolei jego zaletą w stosunku do silników na paliwo stałe jest możliwość regulacji siły ciągu, zatrzymania silnika i łatwego restartu. Łatwiejszy jest też transport i przechowywanie paliwa.

Opatentowano też m.in. spadochronowy system odzyskiwania głowicy, system rozdzielania modułów czy oddzielania silników pomocniczych. ● **Piotr Cieśliński**

Cytat tygodnia

Biesiadują po nocach, demoluja kamienicę, palą marihuanę. Kupiliśmy mieszkanie za 450 tys. euro, a dzisiaj jest warte 350 tysięcy

ALBA I ESTHER Z BARCELONY uczestniczki wielkiego protestu przeciwko masowej turystyce

Więcej ► Wyborcza.pl/swiat

Prosimy oddać kluczyki



FOT. KRZYSZTOF MAZUR / AGENCIA WYBORCZA.PL

na liście najbardziej zadłużonych firm – z sumą zobowiązań 140,8 mln zł – zajmuje Panek. Wypożyczalnia aut na kilometry padła ofiarą pracowników, którzy sprzedawali flotowe auta ze stratą dla firmy. Panek działał w 20 miastach, teraz już tylko w Krakowie, Łodzi, Poznaniu, Trójmieście, Warszawie i Wrocławiu, a po wakacjach prawdopodobnie zostanie tylko w stolicy.

Ale komentatorzy najbardziej żałują tzw. youngtimerów, których Panek się pozbywa – każdy mógł się przejechać syrenką, polonezem, volkswagenem z lat 80. albo Lanosem z Żerania. Więcej ► Wyborcza.biz

Czy lewica jest jeszcze potrzebna

Czemu Melenchon potrafi, a Zandberg z Czarzastym nie?

Przeglądam program Keira Starmera i Nowego Frontu Ludowego. Socjaldemokracja w starym, zachodnim stylu ciągle ma coś sensownego do zaproponowania.

Gruszczyński

Narzekanie na stan mentalny i polityczny polskiej lewicy staje się przewidywalne. Uwaga, to będzie długi akapit:

Posłowie od Włodzimierza Czarzastego całą winę zrzucają na współpracowników Adriana Zandberga, który chodzi po mediach i krytykuje lewicę współrządzając z Tuskiem. Zandberg, który nie wszedł do rządu, domaga się wyjścia z liberalnej koalicji, bo według niego lewica więcej traci, niż zyskuje. Na to odpowiadają ci od Roberta Biedronia, że rządzenie nie jest łatwe, ale przecież obiecali to swoim wyborcom. Czarzasty i Zandberg mają wiele żalu do Biedronia, który siedzi w Brukseli i nie jest zainteresowany polską polityką, tylko stanowiskami dla swoich. Publicyści twierdzą, że wszystkim winna jest polaryzacja, a ci bardziej nieprzychylni sugerują, że Polacy nie kupują komunistycznych pomysłów na rozdęte państwo. A na koniec Anna Maria Żukowska rzuca kilka ostrych komentarzy w mediach społecznościowych, na przykład pytając Biedronia, kiedy ostatni raz lewica wygrała.

W tym samym czasie we Francji i w Wielkiej Brytanii partie lewicowe zgarniają całą pulę i zaraz będą rządzić. Co „nasi” robią nie tak?

Tylko dlaczego od razu „co robią nie tak”? Nie można łączyć tych trzech przypadków, przecież Polska różni się od Francji, a Francja od Wielkiej Brytanii.

Nad Sekwaną wszystkie partie lewicowe połączyły siły i nieoczekiwanie wygrały nie tylko ze Zjednoczeniem Narodowym Marie Le Pen, ale też z Razem dla Republiki Macrona.

Przeglądając program Nowego Frontu Ludowego, można śmiało postawić tezę, że socjaldemokracja w starym, zachodnim stylu ciągle ma coś sensownego do zaproponowania. Francuscy liderzy lewicy chcą więc:

- cofnąć reformę systemu emerytalnego i przywrócić niższy wiek przechodzenia na emeryturę;
- zapowiadają podwyższenie pensji minimalnej do 1,6 tys. euro (w Polsce to 1 tys. euro);
- zamrożenie cen najważniejszych produktów (przerabialiśmy to w Polsce aż do czerwca, kiedy VAT na żywność wynosił 0 proc.);
- reformę systemu opieki zdrowia;
- budowę 200 tys. mieszkań rocznie.

Jednocześnie lewicowy sojusz opowiada się – mimo że jego współlider, Jean-Luc Melenchon rozpatruje tę wojnę, zgodnie z tradycją zachodnioeuropejskiej radykalnej lewicy, przez antyameerykański pryzmat – za wsparciem i dozbajaniem Ukrainy i za postawieniem Putina przed międzynarodowymi trybunałami.

Nie jest tajemnicą, o czym szeroko piszą w swoich książkach Didier Eribon czy Eduard Louis, że neoliberalne propo-

zycie gospodarcze trzech ostatnich prezydentów Francji odbiły się negatywnie na codziennym życiu zwykłych ludzi. Postępująca prywatyzacja służby zdrowia, rozbicie państwa opiekuńczego, brak programów ochronnych dla zwalnianych robotników, będących niegdyś chlubą francuskiej lewicy – to wszystko sprawiło, że wyborcy Partii Socjalistycznej zaczęli popierać prawicowych populistów. Bo ci proponowali proste recepty na rozwiązanie problemów i wskazywali winowajców trudnej sytuacji ekonomicznej milionów ludzi: imigrantów i paryskie elity.

Ale to nie tak, że w ostatnich dwóch tygodniach byli robotnicy, magazynierzy czy niskopłatni sprzedawcy z marketów znów zaczęli popierać Nowy Front Ludowy. Przeciwnie: według sondaży nadal wiernie głosują na Le Pen. Francuska lewica nie wygrała więc wyłącznie ze względu na program. Zmobilizowała również – lub raczej – elektorat przestraszony wizją rządów brunatnej prawicy. Lecz, co interesujące, młodzi Francuzi głosowali głównie na lewicę.

Pytanie, czy Nowy Front Ludowy będzie w stanie przekonać opinię publiczną, że rozwiązania socjaldemokratyczne są w stanie poprawić ich codzienny los. Zważywszy na tłący się socjalny gniew, który nie wygasł po tym, jak skonał wzięty przez Macrona na przeczekanie bunt Żółtych Kamizelek (zapoczątkowany podwyżką podatku paliwowego, uderzającą w najbardziej sztywnych pracowników z prowincji i przedmieść), takie propozycje jak budowa mieszkań na tani wynajem, nowe zasilki, budowa szpitali i przychodni wydają się odpowiedzią na problemy francuskiego społeczeństwa.

Ale właśnie: wydają się. Bo (nie tylko) we Francji już dawno interes klasowy przestaje pokrywać się z interesem klasowo-kulturowym. Jak lewica poradzi sobie z rasowymi uprzedzeniami?

Szymon Łuciak na łamach „Tygodnika Powszechnego” przywoływał niewygodne dla lewicy badania o rasizmie francuskiej klasy ludowej. Wybory Le Pen, czyli mityczni robotnicy, łączą kwestie społeczne z imigracją i uwierającym ich miejscem mniejszości etniczno-rasowych w społeczeństwie. Ankietowani – pisze Łuciak – wyrażają często przekonanie, że imigranci czy cudzoziemcy zabierają im dostęp do pomocy społecznej, mieszkań, służby zdrowia lub że państwo traktuje „obcych” lepiej niż rodowitych obywateli Francji.

A na to wszystko nakłada się stan kasy państwa: UE objęła w czerwcu Francję procedurą nadmiernego deficytu. Dług publiczny wynosi tam 110 proc. PKB, a deficyt sięga 5,5 proc. PKB. UE nakazuje cięcia budżetowe, co zawsze prowadzi do ograniczenia programów społecznych. I można punktować – jak ostatnio Piotr Wójcik w „Krytyce Politycznej” – że unijne reguły pisano dekady temu, w okresie prosperity, przed globalnym kryzysem lat 2008-09, pandemią, wojną w Ukrainie i nałożeniem przez samą Unię na państwa członkowskie licznych kosztownych zobowiązań,

choćby klimatycznych – ale na oczekiwania i naciski Brukseli to nie wpłynę.

Nikogo za to nie zaskoczyła wygrana Partii Pracy w Wielkiej Brytanii. Publicyści i eksperci od długich miesięcy byli zgodni jak nigdy: wyborcy byli zmęczeni 14. latami rządów Partii Konserwatywnej, której premierzy swoimi decyzjami przyczynili się do pogorszenia jakości życia zwykłych ludzi.

Spójrzmy na program Keira Starmera, nowego premiera. Proponuje:

- opłacić dodatkowe 40 tys. wizyt u lekarza tygodniowo, co znacząco poprawi dostęp do państwowej służby zdrowia;
- zatrudnić 6,5 tys. nauczycieli;
- znieść ulgi podatkowe dla szkół prywatnych;
- oraz wspierać budownictwo mieszkań.

Jednocześnie Starmer chce obniżyć koszty prowadzenia małych firm oraz oprocentowanie kredytów hipotecznych. Brytyjska lewica stoi też – z wyjątkiem kurczącej się grupki tyłch chary-

Najważniejszą lekcją, jaką może z francuskich i brytyjskich wyborów wyciągnąć polska lewica, jest ta związana ze strategią przeczekania złych czasów

zmatycznego, co kłopotliwego eks-lidera labourystów, trockisty Jeremy’ego Corbyna – jasno po stronie Ukrainy.

Starmer – o czym mówił o podcaście „Raport o stanie świata” Jakub Krupa, dziennikarz mieszkający na Wyspach – nie cieszy się dużą popularnością wśród Brytyjczyków. Nie jest drugim Tonym Blairem, czyli politykiem celebrytą. Anglicy postrzegają go jako odpowiedzialnego urzędnika, który ma jedno zadanie: posprzątać po konserwatystach. Krupa zwrócił też uwagę na zmianę narracji Partii Pracy, która przestała podkreślać wątki światopoglądowe i zaczęła mówić jak najwięcej o gospodarce.

Wielu komentatorów w mediach społecznościowych próbuje przełożyć zwycięstwa europejskiej lewicy do polskich realiów. Piszą o „waleniu w libków”, wielkim zjednoczeniu i odłożeniu na bok kwestii światopoglądowych.

Te hasła brzmią sensownie. Lecz najważniejszą lekcją, jaką może wyciągnąć polska lewica, jest ta związana ze strategią przeczekania złych czasów.

Partia Pracy ostatni raz wygrała 18 lat temu, więc niewykluczone, że niezależnie od propozycji – a próbowała wszystkiego, od wolnościowo-rynkowych po (przerysowując, ale tylko nie-

co) marksistowskie – jej liderzy musieli po prostu czekać, aż ludzie zmęczą się i odwrócą się od Partii Konserwatywnej. We Francji o zwycięstwie Nowego Frontu Ludowego zdecydował nie tyle porywający masy program, ile słabość pozostałych sił politycznych, kompromitacja ugrupowania Macrona i strach przed rządami radykalnej prawicy. Nie ma innych lekcji, jest tylko ta.

Program polskiej lewicy jest przecież identyczny z postulatami francuskich i brytyjskich kolegów. Czarzasty chce budować mieszkania, poprawić warunki na rynku pracy, dobrze płacić nauczycielkom, stawiać nowe żłobki oraz dbać o małe biznesy. Zachodnia lewica niczego nowego nie wymyśliła, może oprócz stosunku do imigrantów: Starmer chce kontrolować napływ uchodźców, u nas to temat tabu.

Jednocześnie w polskim kontekście nie da się uciec od tematów światopoglądowych. Dla Francuzów i Brytyjczyków prawa kobiet czy ludzi LGBT+ są tak oczywiste, że przejrzyste; u nas największe demonstracje po przełomie 1989 roku skupiały się nie – jak we Francji – wokół przemocy policji czy wieku emerytalnego – lecz wokół aborcji. A homofobiczna kampania PiS z 2019 roku nie wzięła się znikąd.

Nie chodzi więc o program, tylko o strategię polityczną. Starmer przesunął Partię Pracy w stronę centrum i trzeba przyznać, że to samo próbuje robić Czarzasty z Nową Lewicą – dlatego ta partia stała się częścią rządów Koalicji 15 Października. Ale Razem twierdzi, że nie da się realizować lewicowego programu wspólnie z liberalami. Cóż, tym bardziej nie da się w opozycji.

A może się mylę i wyborcy we Francji i Wielkiej Brytanii świadomie zagłosowali na lewicę, która jako jedyna jest w stanie rozwiązać najważniejsze problemy gospodarcze, a jednocześnie zatrzymać prawicowe szaleństwo? Skoro neoliberalne recepty się skompromitowały (dłużej pracuj, opłacaj prywatną opiekę zdrowia, posyłaj dziecko do prywatnych szkół) i ludzie są zmęczeni słabością państwa, to jedynie lewica ma opracowane gotowe odpowiedzi na wszystko, co szwankuje?

Partie liberalne też odrobiły lekcje. Tusk nie jest sobą sprzed 10 lat, pogodził się z usługami publicznymi, nie zlikwidował programów społecznych, co więcej: proponuje kolejne – choćby babciowe – chce też zwiększyć świadczenia dla osób z niepełnosprawnościami. Partia Demokratyczna w USA też jest zupełnie inna niż w latach 90., kiedy nawet lewicowcy powtarzali neoliberalne mantry. Joe Biden pompuje miliardy dolarów w inwestycje publiczne.

Więc być może druga, oprócz ryzykownego „poczekajmy, aż się zużyją”, recepta na zatrzymanie radykalnej prawicy jest ta sama, co od początku nowożytności: poprawa jakości życia zwykłych ludzi? O czym pisali wiele temu teoretycy liberalizmu, tacy jak Timothy Snyder. ● **Arkadiusz Gruszczyński**

SIEDZĘ NA ASFALCIE DLA MOJEGO WNUCZKA

Zastanawia mnie, że w ruchach klimatycznych są osoby bardzo młode i stare, w moim wieku. A jest dziura na średnie, wasze pokolenie.

Z **JANEM LATKOWSKIM**, DZIAŁACZEM
OSTATNIEGO POKOLENIA ROZMAWIA **EWA KALETA**

EWA KALETA: Jesteś działaczem, twarzą Ostatniego Pokolenia, ale mam wrażenie, że powinniśmy tę rozmowę zacząć dużo wcześniej. Masz warunki zawodowe, intelektualne, żeby mieć więcej, niż masz. Dlaczego tak nie żyjesz?

JAN LATKOWSKI: Działaczem Ostatniego Pokolenia – na takie określenie mogę się zgodzić. Twarzą – tu już chyba nie ma zgody. Jest ona raczej dużo młodszą od mojej.

Lepszą twarzą Ostatniego Pokolenia byłoby zdjęcie grupy zwykłych ludzi blokujących ruch na drodze, aby wykrzyczeć alarm wobec skutków narastającego kryzysu klimatycznego. I wobec uporczywego pogarszania tego dramatu przez rządzących i innych wielkich tego świata.

Ostatnie Pokolenie to działający w Polsce od niedawna nieformalny ruch społeczny domagający się zwiększenia inwestycji w kolej i komunikację zbiorową przez przesunięcie na te cele wszystkich środków przeznaczonych na budowę nowych autostrad i dróg szybkiego ruchu oraz wprowadzenia ogólnodostępnego biletu miesięcznego za 50 zł na transport regionalny.

Jesteśmy pierwszym pokoleniem, które ma pełen dostęp do naukowej wiedzy o narastającym kryzysie klimatycznym, ale też ostatnim, które ma jeszcze szansę zapobiec jego najgorszym skutkom.

A przechodząc do twojego pytania – nie jest tak, że nie próbowałem żyć inaczej, tak jak to określiłaś, posiadać więcej. Na przełomie lat 80. i 90. ubiegłego wieku chciałem zostać przemysłowcem, później zaangażowałem się w politykę.

Byłem członkiem ROAD-u, wiceprzewodniczącym Unii Demokratycznej w Warszawie. Byłem radnym Rady Warszawy i wiceburmistrzem dzielnicy Śródmieście. Więc nie jest tak, że nie próbowałem. I to nie był stracony czas. Sporo dowiedziałem się o tym, jak funkcjonują władza i społeczeństwo. A także jak funkcjonuję ja sam.

Czego się dowiedziałeś?

– Im miałem więcej pieniędzy, tym wcale nie czułem się o centymetr wyższy. Zaczynałem nawet mieć poczucie winy, że mam za dużo. Nie bawiło mnie to, widziałem ograniczone potrzeby materialne.

Jeśli chodzi o politykę, to drugą stroną fałszywego czasami poczucia sprawczości i oczywistych benefitów z tytułu sprawowania władzy jest przynajmniej – przynajmniej w moim wypadku – poczucie odpowiedzialności. W obliczu tego, jak mały miałem wpływ na to, co realnie się dzieje, mnie to poczucie odpowiedzialności bardzo męczyło.

Już wtedy, czyli na przełomie lat 80. i 90., miałem uczucie, że nie bardzo wiemy, co robić. Był też powód

osobisty: aby rozładować stres, piłem za dużo alkoholu. Do dziś – czyli po 35 latach abstynencji – identyfikuję się jako trzeźwy alkoholik.

Nie dałeś rady czy nie chciałeś być takim człowiekiem?

– Nie umiem odpowiedzieć na to pytanie. Oba powody są chyba zbyt mocno związane ze sobą. Z jednej strony nie dawałem rady – alkohol był wyraźnie tego sygnałem – a z drugiej zdecydowanie nie chciałem czy też nie umiałem.

Opowiesz mi więcej o świecie, z którego zrezygnowałeś?

– Moje doświadczenie jest doświadczeniem końca komunizmu, kontaktów z opozycją demokratyczną, pierwszej „Solidarności”, stanu wojennego i transformacji po roku 1989. Na pewno nie byliśmy pokoleniem profesjonalnych polityków, to było pokolenie bardzo przyzwoitych amatorów.

Byliśmy w znacznej mierze nieprzygotowani do przyjęcia władzy, mieliśmy o tej władzy zupełnie mylne, idealistyczne pojęcie. Pamiętam, jak tuż po wygraniu przez Komitet Obywatelski wyborów samorządowych w czerwcu 1990 roku wszedłem do urzędu dzielnicy, której wiceburmistrzem miałem zostać, i opanowało mnie przerażenie. Co robić, od czego zacząć, na kim się oprzeć?

Właściwie nie mieliśmy żadnego sprecyzowanego programu, a już na pewno przygotowanych kadr. Nie bardzo wiedzieliśmy, jak sprawić, żeby społeczeństwo bez szwanku przeszło przez trwającą już od roku transformację.

Widać już było wyraźnie, że transformacja odbywa się z ludzką krzywdą. Nie rozstrzygam, czy to było nieuniknione, czy do uniknięcia, ale było to dla mnie dość obrzydliwe.

Wyraźnie widziałem, że zmiany przebiegają na grzbiecie zwykłych ludzi: znacznej części polskiej wsi, osób pracujących w fabrykach, szkołach, emerytów.

Oczywiście stary system walił się pod własnym ciężarem i byłoby pewnie jeszcze gorzej, ale – przynajmniej w mojej ocenie – my nie mieliśmy ani pełnej świadomości, dokąd poprowadzi nas transformacja, ani programu osłony dla najsłabszych.

Miałeś jakiś pomysł?

– Właśnie nie, a być w polityce bez pomysłu, jak pomóc ludziom, to dla mnie bez sensu. Zaskoczyły mnie tempo i zakres zmian.

W 1988 roku, a więc pod koniec realnego komunizmu w Polsce, Janek Lityński, ważna postać ówczesnej opozycji demokratycznej, zasiedział się u mnie po sylwestrze. Gdy wychodził, zapytałem go w korytarzu: „Jasiu, kiedy to wszystko pierdolnie?”. A on odpowiedział, że w połowie tego, czyli 1989 roku.



Wybuchnąłem śmiechem, bo wydawało mi się to zupełnie nieprawdopodobne. Dziś mam wrażenie, że wiedzieliśmy dobrze, jak animować i wspierać opór społeczeństwa przeciwko czerwoni, ale już mniej, co zrobić po jego obaleniu.

W roku 1994 Unia Demokratyczna połączyła się z Kongresem Liberalno-Demokratycznym, tworząc nową partię. Unia Wolności stała się jeszcze bardziej liberalna w sferze gospodarki i jeszcze bardziej konserwatywna w sferze światopoglądowej. To nie był program, do którego realizacji chciałem się przyczynić. Wiedziałem, że muszę zamknąć ten – skądinąd bardzo ciekawy dla mnie – epizod mojego życia.

Zapytam jeszcze raz o pomysł, o alternatywę dla planu Balcerowicza.

– Nie widziałem żadnej realnej alternatywy. Nie neguję wartości tych zmian, ja je przecież aktywnie popierałem, ale czułem z tego powodu coraz większy ciężar.

Co z pieniędzmi? Miałeś okazję się najeść, a może nażyć?

– Z moim przyjacielem wykorzystywaliśmy końcówkę komunizmu związaną z pewną liberalizacją w sferze gospodarczej. Byłem współwłaścicielem jednego z największych tartaków na Warmii, budowaliśmy wokół tego pomysł na dużą firmę. To był okres, kiedy miałem chyba najwięcej pieniędzy w życiu.

Jechałem samochodem po ubogiej części Warmii. Padał deszcz i osoba, z którą jechałem, powiedziała z sarkazmem: „Zobacz, ludzie stoją na przystanku w deszczu, a my jedziemy samochodem”. Pomyślałem, że nie wiem, czy nie wolalby stać na tym przystanku. Poczulem się winny.

Dlaczego?

– Bo to nie jest w porządku, że są tak duże różnice w statusie majątkowym między ludźmi. Jakaś starsza pani moknie, czekając na PKS – bo wtedy transport publiczny na wsi jeszcze jakoś działał – a ja wygodnie jadę samochodem. Roześmialiśmy się wtedy obaj, ale poczułem się wyraźnie źle. Mam nadzieję, że dziś bym się zatrzymał i zaproponował podwózkę.

Rozmawiamy 20 minut, a użyłeś dwukrotnie terminu: poczucie winy.



– Ja bym to nazwał poczuciem odpowiedzialności.

Ale mówiłeś o poczuciu winy.

– Może zbyt wysoko cenię komfort psychiczny i nie umiem się przyznać przed tobą do poczucia winy.

Wspomniałeś kilka razy o cenie, jaką trzeba zapłacić za coś, co się robi. I że ta cena jest dla ciebie często nie do zaakceptowania.

– Posłużę się przykładem z lat 90. Mam wrażenie, że Jacek Kuroń, Adam Michnik i ich środowisko polityczne bali się najbardziej faszyzacji życia związanej z możliwością dojścia do władzy skrajnej prawicy. W związku z tym poszli na jakiś układ z Kościołem.

My – środowisko, z którym byłem związany, skupione wokół profesor Zofii Kuratowskiej – czuliśmy, kto za to zapłaci: kobiety, osoby LGBT, system oświaty. A więc tak, unikniemy realnej być może groźby faszyzacji życia publicznego, dostaniemy wsparcie Kościoła, ale tak jak w przypadku planu Balcerowicza zapłaci za to ktoś inny.

Mimo to poszliśmy na daleko idący kompromis z własnymi poglądami. Kompromis, który do dzisiaj wywołuje we mnie poczucie niestrawności.

Co robiłeś przez następne lata?

– Zmieniłem skalę działania. Przełom wieków to był fascynujący okres. Czas powstawania tysięcy inicjatyw społecznych, stowarzyszeń, fundacji, grup nieformalnych.

Od roku 1994 jestem związany z fundacją przeciwdziałającą wykluczeniu społecznemu, zwłaszcza zapobiegającą uzależnieniu się młodzieży od środków chemicznych – narkotyków i alkoholu, a ostatnio także od Internetu i nowych mediów.

Staralem się być aktywny na innych polach: wspierałem powstawanie i działanie małych wiejskich szkół zakładanych przez lokalne stowarzyszenia, działałem w stowarzyszeniu pomagającym wychodzić kobietom z sytuacji przemocowych, w ostatnich latach – ku własnemu zdziwieniu – zostałem działaczem sportowym związanym z pewnym alternatywnym klubem działającym na warszawskiej Pradze. I w tej skali działań było mi już o wiele łatwiej pracować i czerpać z pracy satysfakcję.

Ostatni rok był dla mnie i moich najbliższych bardzo trudny. W lipcu zeszłego roku w czasie wakacji na Sardynii utonęła moja córka Marysia.

Moje kondolencje.

Może ta strata ma znaczenie dla podjęcia działań? Kiedy patrzysz na młodych ludzi z Ostatniego Pokolenia, którzy się przyklejają do ulicy, to co w nich widzisz?

– Widzę zwykłych, przeważnie młodych ludzi, którzy nie bez obaw i w miarę swoich możliwości podejmują próbę wywarcia wpływu na klasę polityczną w istotnych dla nas wszystkich sprawach. Widzę ich determinację.

Widzę także ich ogromne poczucie odpowiedzialności za bezpieczeństwo i dobrostan wszystkich osób uczestniczących w wydarzeniach: uczestniczek i uczestników blokady, osób będących w pojazdach, nawet interweniujących funkcjonariuszek i funkcjonariuszy policji.

Z toczonych rozmów wiem, że młodsze osoby czują też wyraźnie, jak wiele złych zmian nadejdzie w ich życiu na skutek katastrofy klimatycznej. Wiedzą, że standard życia ulegnie drastycznemu obniżeniu, że

• **Jan Latkowski protestuje z Ostatnim Pokoleniem. Blokada między ulicami Targową a Jagiellońską, 2 lipca 2024 r., Warszawa.**

FOT. ROBERT KOWA-
LEWSKI / AGRNCJA
WYBORCZA.PL

nieunikniony będzie wzrost cen wody, jedzenia i energii. Że jak zawsze w takich okolicznościach zagrożona jest demokracja, że czeka nas kryzys związany z migracjami.

Wreszcie – że każdy z nas stanie zapewne przed bardzo trudnymi wyborami etycznymi. Widzę też ich zagubienie, brak pewności, jak w tych warunkach planować swoje życie. Czy warto kontynuować naukę? Mieć dzieci?

Ty się nie przyklejasz.

– Bo po prostu boję się skutków siłowego odrywania od asfaltu. Naprawdę podziwiam odwagę moich klejących się koleżanek i kolegów. I jestem im wdzięczny za ich wyrozumiałość dla mojego lęku. To, że część osób nie przykleja się do asfaltu, umożliwia nam w niezbędnych sytuacjach tworzenie korytarzy życia na przykład dla karettek pogotowia. Ale to nie usprawiedliwienie. Boję się fizycznego bólu.

Myślisz, że ich lęk jest adekwatny do rzeczywistości, która ich czeka? I twój lęk?

– Niestety tak. Często myślę o toczącej się już ponad 10 lat wojnie w Syrii. Ona się zaczęła od suszy, migracji ludzi do miasta, protestów społecznych wobec warunków, w których przypadło im żyć, decyzji władzy, że siłowo zarządzi kryzysem.

Ta wojna to typowy przykład skutków katastrofy klimatycznej. Wspomina o tym profesor Leder w swojej ostatniej książce „Ekonomia to stan umysłu”, a my jesteśmy na początku jakiejś podobnej spirali nieszczęść. I nie robimy nic albo bardzo mało, aby tę spiralę przerwać

Nie obchodzi cię, że ludziom jest niewygodnie, kiedy blokujecie ulicę?

– Obchodzi. Jednak to jest kwestia proporcji. Wartości praw osób, którym zakłóca się spokój czy komfort, w stosunku do wagi tego, co ma się do powiedzenia.

Ostatnie Pokolenie – działając w ramach pokojowego nieposłuszeństwa obywatelskiego – powoduje swoimi blokadami ulicznymi zakłócenia w ruchu drogowym. Te zakłócenia przybierają rozmiary większych korków, w których stoją nasze współobywatelki i nasi współobywatele.

To, co mamy do wykrzyczenia politykom, a czego nie chcą słuchać lub też z różnych powodów udają, że nie słyszą, uzasadnia jednak narażenie innych na chwilę w korku.

To trochę jak ze śmiercią. Wszyscy wiemy, że umrzemy, ale udaje nam się tę myśl wyrzucić na margines życia. Z kryzysem klimatycznym jest podobnie. Trzeba być osobą wyjątkowo odporną na wiedzę, by wierzyć, że kryzysu nie ma albo że ludzkie działania nie mają na ten kryzys olbrzymiego wpływu. I większość osób to już wie, ale wypiera to gdzieś na tył głowy.

To nie jest tak, że my nie odczuwamy odpowiedzialności za spowodowane utrudnienia, dlatego dla większości osób, które blokują ruch bądź współorganizują te działania, jest to także z tego powodu bardzo przykrym doświadczeniem.

Może jestem ogarnięta marazmem antropocenu, ale nie oddziałuje to na mnie bezpośrednio.

– Od dawna mnie zastanawia, że jak się ogląda różne migawki w telewizji o ruchach, które alarmują w sprawie kryzysu klimatycznego, to są tam osoby bardzo młode i w moim wieku. A jest dziura na średnie – czyli, bez obrazy, twoje – pokolenie.

Chyba my, wasi rodzice, wmówiliśmy wam, że będzie tylko lepiej. I staliście się pod tym jednym względem zadziwiająco konserwatywni i zapatrzeni w korzyści płynące z dotychczasowej prosperity. Tylko życie w świecie, którego już nie ma. Albo za chwile go nie będzie.

Kiedy tego słucham, ogarnia mnie defetyzm. Jeśli to, co mówisz, jest prawdą, to myślę sobie: „Co ma być, to będzie. Albo mi się uda, albo nie. Nie mam jak się do tego przygotować”.

– Zrobiło mi się trochę smutno. Ja przecież nie wymagam od ciebie, żebyś kleiła się do asfaltu albo siedziała na nim razem ze mną, ale od twojej grupy zawodowej zależy bardzo dużo. To wy tworzycie przecież w znacznej mierze narrację o naszej teraźniejszości i przyszłości.

Wobec dość łatwych do przewidzenia społecznych skutków zapaści klimatycznej bardzo ważne jest, jak przygotujecie do nich społeczeństwo.

Dla mnie bardzo ważny był artykuł „Manifest skruszonego boomera: Ostatnie Pokolenie ma rację!” Jacka Żakowskiego opublikowany po pierwszej fa-

Skoro moje pokolenie było beneficjentem wzrostu i konsumpcji, to z tego wynikają też dla nas jakieś obowiązki

li protestów Ostatniego Pokolenia w „Gazecie Wyborczej”. Skoro moje pokolenie było beneficjentem wzrostu i konsumpcji, to z tego wynikają też dla nas jakieś obowiązki.

Wciąż możemy jeszcze przeciwdziałać katastrofie lub przynajmniej łagodzić jej skutki czy oddalać je w czasie. Stanie się tak jednak wyłącznie, jeśli wszyscy razem wywrzemy nacisk na rządzących, aby zaczęli podejmować właściwe decyzje. Musimy więc przełamywać w sobie to poczucie apatii czy beznadziei.

Jeśli mam cię nadziei, że jest jeszcze coś, co może nam wszystkim pomóc w dramatycznej sytuacji, to warto to zrobić. Chociażby po to, żeby mój wnuk nie zadał mi pytania: „A gdzie ty byłeś, dziadku, kiedy to się działo?”.

Bliskie mi są doświadczenia Polskiej Partii Socjalistycznej z początków ubiegłego wieku. Grupa działaczek i działaczy poświęciła się całkowicie wyznawanej idei, ale otaczało ją bliższe i dalsze przyjazne środowisko ludzi, którzy starali się ją wesprzeć w nielegalnej robocie.

Innym wspaniałym przykładem takiego działania może być Komitet Obrony Robotników z lat 70. i Starsi Państwo (Cohn, Lipiński, Pajdak, Rybicki, Steinsbergowa, Szczypiorski, Zieja, Zawadzki, Kielanowski) – grupa, która dzięki swojemu autorytetowi z jednej strony uwiarygodniała działania KOR-u, a z drugiej stanowiła rodzaj parasola ochronnego dla osób pomagających represjonowanym.

I byli też ludzie, którzy nie angażowali się w bezpośrednią – i siłą rzeczy najbardziej niebezpieczną – pomoc represjonowanym robotnikom i robotnikom, ale wspierali KOR w inny sposób. Przepisywali i kolportowali wydawane przez KOR komunikaty, starali się uczestniczyć w rozprawach, wspierali finansowo.

I jest jeszcze jeden aspekt sprawy.

Ślucham.

– Wiszą nad nami dwie groźby: zapaść klimatyczna i wojna. I jeśli czerpię osobistą radość z uczestnictwa w Ostatnim Pokoleniu, to z tego, że widzę tworzącą się wspólnotę. Wspólnotę nakierowaną na określone działanie, ale opartą na międzyludzkiej solidarności, współdziałaniu i przyjaźni. Niepozabawioną czułości i humoru.

Nie da się w cieniu tych dwóch grózb żyć bez takich większych i mniejszych wspólnot. A sztuki ich budowy trzeba się gdzieś nauczyć.

Możemy zrobić tyle, ile jest dla nas dostępne, więc róbmy to, dbajmy o siebie i innych. Starajmy się działać razem.

Ale rozumiesz, że trudno ludzi zirytowanych, że obłaliście Syrenkę Warszawską, zaciekawicie waszą sprawą.

– A właśnie, że nie bardzo rozumiem. Chyba to Martin Luther King powiedział, że „akcja bezpośrednia bez użycia przemocy ma na celu wywołanie takiego kryzysu i ustanowienie takiego twórczego napięcia, że społeczność, która stale odmawia negocjacji, jest zmuszona stawić czoła problemowi”.

Obok blokad mostów i dróg Ostatnie Pokolenie rzeczywiście zrobiło akcję w sferze symbolicznej, oblało warszawską Syrenkę pomarańczowym barwnikiem. Właśnie by wywołać owo napięcie i nie powodując szkód materialnych (ciecz była dla pomnika nieszkodliwa i łatwa do zmycia), przykuć uwagę publiczną do naszych działań.

Bez tego kampania dwutygodniowych blokad nie wywołałaby tak dużego rezonansu społecznego. Była więc i irytacja tylko częściowo uzasadniona obawą o zniszczenie monumentu, i zaciekawienie.

I jeszcze jedno. My, Polacy, jesteśmy mistrzami w tworzeniu łóż krytyków i szyderców. Krytykujemy i szydzimy zwłaszcza wtedy, gdy nawet nie zadaliśmy sobie trudu, żeby zrozumieć. Gdy ktokolwiek próbuje podnieść dupę z krzesła, to zaraz usłyszysz: „Ja bym to zrobił lepiej, siadaj na tyłku”.

Przedstawiliście rządzącym postulaty Ostatniego Pokolenia. Ktoś odpowiedział?

– Przypomnę: domagaliśmy się przesunięcia środków z rozbudowy nowych autostrad i dróg szybkiego ruchu na komunikację publiczną oraz wprowadzenia biletu miesięcznego na komunikację regionalną za 50 zł.

Obecna ekipa rządząca jest w całkiem innej sytuacji niż rządy, które powstawały tuż po upadku komunizmu. To są ludzie przygotowani do pełnionych obowiązków, mający administracyjne doświadczenie i mogący się oprzeć na fachowych kadrach.

A co najważniejsze – mają pełen dostęp do naukowej wiedzy o kryzysie klimatycznym i mogą na tej podstawie szacować jego nieuniknione skutki społeczne.

Chcieliśmy wreszcie wierzyć, że osoby, które mają dbać o nasze wspólne bezpieczeństwo, to ludzie dobrej woli, z wizją przyszłości dłuższą niż jedna kadencja albo czubek własnego nosa.

Nie liczyliśmy oczywiście, że rząd przedstawi od razu konkretne rozwiązania. Oczekiwaliśmy publicznej deklaracji poparcia naszych postulatów, przedstawienia pewnej wizji i określenia sposobów i terminów prac nad jej realizacją.

I co?

– Dostaliśmy odpowiedź z departamentu Ministerstwa Infrastruktury, w której nie było żadnej wizji. Podali nam dane, ile pieniędzy na co jest i będzie wydawanych.

Znaliśmy już w dużej mierze te dane z internetu. Dodatkowo napisali, że „zaprzestanie inwestycji drogowych nie ma żadnego uzasadnienia”. Słowo „klimat” nie padło ani razu.

Chodziło nam przecież o to, że ograniczenie ruchu na autostradach jest korzystne dla klimatu, bo spalanie paliwa rośnie wykładniczo wraz z prędkością. A transport publiczny w oczywisty sposób zmniejsza emisję, likwidując jednocześnie wykluczenie komunikacyjne.

Plan budowy autostrad powstał przed laty i ma się nijak od tego, jak świat będzie wyglądał w przyszłości. A są to inwestycje, które ukształtują sieć komunikacyjną na najbliższe 50-70 lat.

Odpowiedź rządu nie zawierała żadnej refleksji, jak świat będzie wyglądał za 50 lat. Czy handel międzynarodowy będzie wyglądał tak jak w tej chwili? Oczywiście jest, że nie. Zalamiał się łańcuch dostaw, zapewne nastąpi w jakimś stopniu odwrót od globalizacji i powrót do lokalnych rynków. Na skutek załamania się klimatu nie da się też utrzymać współczesnego modelu rolnictwa.

Nie da się w cieniu tych grózb: zapaści klimatycznej i wojny żyć bez większych i mniejszych wspólnot

Dlaczego odpowiada Ministerstwo Infrastruktury, a nie Środowiska?

– Ostatnie Pokolenie złożyło postulaty do premiera i to od niego oczekiwało odpowiedzi.

To się nie trzyma kupy. Odpowiedź pochodzi z resortu, który jest z założenia żywo zainteresowany mieleniem pieniędzy na budowę autostrad. Wierzę, że zatrudnia wybitnych w tej dziedzinie specjalistów.

Ale mieliśmy wrażenie, że choć szykowali odpowiedź trzy miesiące, nie pomyśleli o tej sprawie nawet kilku minut. Częściowo nie zrozumieli chyba nawet naszego postulatu biletu za 50 zł, chociaż w parlamentarnej kampanii wyborczej pojawiał się w jakiejś formie w programach wszystkich rządzących obecnie partii.

Nie chcę się wypowiadać w imieniu całego Ostatniego Pokolenia, ale ja utraciłem wiarę w profesjonalizm i dobrą wolę tej ekipy.

Co próbujesz wyrazić? Rozpacz?

– Raczej złość. Jeśli już rozpacz, to taką, która staje się motorem do działania. Bliższy rozpaczny jestem, kiedy stykam się z falą hejtu, która spada na moje koleżanki i moich kolegów.

Mnie to akurat słabo rusza, ale dla młodszych ludzi to może być przynębiające. Niezrozumienie albo brak aprobaty dla formy naszych działań mogą zrozumieć, ale nie umiem się pogodzić z często obłąną i mizoginistyczną szyderą.

Jak więc potencjalnie może wyglądać nasza najbliższa przyszłość waszym zdaniem?

– Jest taki dokument, podsumowanie dla decydentów 6. Raportu IPCC (to Międzyrządowy Zespół ds. Zmian Klimatu powołany w 1988 roku przez ONZ).

Tam na podstawie badań naukowych przedstawiono pięć możliwych wariantów zmian klimatu w zależności od tego, jak będą przyrastały temperatu-

ry. To jest główny – choć nie jedyny – wskaźnik, którym posługuje się ten raport. Nie wygląda to wesoło w żadnym wariantcie.

Ostatnie Pokolenie jest skoncentrowane na społecznych skutkach tej zapaści. Dotkną nas wszystkich, tyle że nie w tym samym stopniu.

Już tego lata ujawniają się zdrowotne skutki wzrostu temperatur. Dla części z nas będzie to większy bądź mniejszy dyskomfort, ale dla innych – zwłaszcza najstarszych i najmłodszych – może to być zagrożenie życia. W zeszłym roku w Europie liczba zgonów w tych dwóch grupach była szczególnie wysoka podczas trzech intensywnych fal upałów.

Odczuwamy też już skutki ekonomiczne.

Jakie?

– Zwykle myślimy o wzrostach cen żywności i energii. I to już odczuwamy. Ale podam inny przykład. W ciągu dwóch lat wydałem około 5 tysięcy złotych na dostosowanie do upałów swojego mieszkania. To przeciętna warszawska kawalerka, ok. 30 metrów. Ósme piętro z silną ekspozycją na słońce. Bez klimatyzacji i specjalnych folii na okna temperatura w zeszłym roku przekraczała w ciągu dnia 30 stopni.

Mogłem wydać te 5 tysięcy, ale wielu moich sąsiadów raczej nie może i nie będzie mogło. Po prostu ich nie stać. Jakość ich życia będzie z roku na rok niższa niż moja.

Przepaść społeczna między rodziną, którą będzie stać na przystosowanie się do tych nowych warunków, czyli przy większym mieszkaniu na wydatek rzędu 10-20 tysięcy złotych, a rodziną, której nie będzie na to stać, zrobi się dramatyczna.

Skoro masz teraz 68 lat, to jednak najpoważniejsze zmiany, o których opowiadałeś, mogą cię nie objąć.

– No nie, bo przynajmniej psychiczne skutki już mnie boleśnie dotykają. Mój najmłodszy wnuk ma 5 miesięcy, drugi ma 16 lat i myślę o nich.

Kocham dziecięcą piłkę nożną, w wolnym czasie współorganizowałem szkolną piłkarską i chodziłem oglądać, jak dzieciaki haratają w galę.

W życiu zawodowym jestem prawnikiem w zarządzie organizacji pozarządowej, a ta organizacja opiekuje się 800 dziećmi. Jak nie to ma mnie obchodzić, to, do cholery, co?

To nie jest tak, że nie czuję wspólnoty z rafą koralowca w Australii, ale z zagrożeniem jej istnienia jakoś potrafiłem żyć. Z zagrożeniem przyszłości tych wszystkich dzieciaków już jednak nie potrafię.

Miałeś inne osobiste powody, by przyłączyć się do Ostatniego Pokolenia?

– W roku 2020 na warszawskim Jazdowie było Miasteczko Klimatyczne. Miałem ogromną przyjemność prowadzić tam z profesor Moniką Płatek panel poświęcony oporowi, nieposłuszeństwu obywatelskiemu.

Śluchała nas grupa kilkudziesięciu, głównie młodych, osób. I wtedy postanowiłem, że jeśli ktoś podobny do nich poinformuje mnie, że organizuje taki protest, a ja uznam, że cel jest słuszny, a forma mieści się w granicach pokojowego aktu nieposłuszeństwa obywatelskiego, to zgłoszę swój udział. Słowo się rzekło, kobyłka stoi u płota.

Wydaje mi się, że masz też motywację z przeszłości, z perspektywy boomera. One się łączą.

– Tkwi też chyba we mnie coś, co nazwałbym kompleksem KOR. W 1976 roku miałem już 20 lat, ale dałem się przekonać rodzicom, że powstanie Komitetu Obrony Robotników jest wyłącznie wyrazem walki między różnego rodzaju frakcjami w ramach ówczesnej władzy.

Udział w tym ruchu, z uwagi na różne formy represji ze strony komunistów, wymagał odwagi cywilnej. Chyba zabrakło mi determinacji, aby się przyłączyć. A wystarczyło poszukać kontaktów, sprawdzić osobiście, poznać ludzi i ich intencje. Mogłem być odważny przez parę godzin, zamiast wstydzić się całe życie.

To doświadczenie daje mi prawo namawiać gorąco do nawiązania osobistego kontaktu z Ostatnim Pokoleniem. Proponuje wyjść na chwilę ze strefy osobistego komfortu i przyjść na otwarte spotkanie czy też poszukać innej formy kontaktu. Nikt nie będzie przecież zmuszał nikogo do klejenia się do asfaltu, ale można wyrazić swoje poparcie w najróżniejszych formach: malować plakaty, rozdawać ulotki, wesprzeć ruch finansowo (przez stronę ostatniepokolenie.org).

A przynajmniej można poznać innych ludzi i zrozumieć, o co im chodzi, może zaproponować im nowe formy działania. To zawsze lepsze od zasiadania w łóżu szyderców. ●

Parada inności zamiast parady równości

Kylian Mbappé kiedyś odejdzie. I co wtedy?



Marcin Matczak

Są wakacje, chciałoby się napisać coś lekkiego, a tu trzeba walczyć ze skrajną prawicą. Od wyborów europejskich Europa jak zgniłe jabłko znowu brunatnieje i tylko cuda nas ratują od zwycięstwa Marine Le Pen we Francji.

Ta oferta cudów jest jednak na wyczerpaniu. Nie zawsze Kylian Mbappé będzie gwiazdą piłki nożnej i nie zawsze wybory we Francji będą się odbywały podczas Euro, w czasie którego młody piłkarz skutecznie wezwie Francuzów, żeby nie głosowali na faszystów. Potrzebujemy działań bardziej przemyślanych, programowych, żeby zwalczyć ten brunatny ruch, którego odmianę każde europejskie państwo ma u siebie w domu. Potrzebujemy antybrunatnej strategii, która przeniknie nasze media, edukację, wychowanie dzieci, czegoś w rodzaju dobrej, antyautorytarnej propagandy walczącej z kultem siły, ksenofobią i rosnącym podziwem dla gaśnicy Grzegorza Brauna.

Aby taką strategię przygotować, trzeba poznać wroga i dokonać remanentu dotychczasowych działań – takiego liberalno-lewicowego rachunku sumienia analizującego, co robimy źle (jeśli w ogóle), a co dobrze. Proponuję poniżej taką diagnozę i taki rachunek sumienia, ujęte w klasyczną

triadę. Politycy o różnym stopniu zaawansowania brunatności działają bowiem według trzech przykazań, na które strona lewicowo-liberalna odpowiada po swojemu.

Pierwsze brunatne przykazanie brzmi: „Strasz Innym!”, a więc każdym, kto się od nas różni, im bardziej, tym lepiej. Najlepsza dla brunatnej ideologii jest różnica stwierdzalna organoleptycznie – w kolorze skóry albo zapachu używanych przypraw. Lubią brunatni także doszukiwać się różnicy podskórnej: innej krwi, innych, oczywiście gorszych przekonań moralnych, innej orientacji seksualnej. Wszystko po to, żeby tą różnicą straszyć, jakby była chorobą zakaźną. W odpowiedzi strona liberalno-lewicowa z reguły mówi: „Przytul Innego!” i to antybrunatne przykazanie kryje w sobie pułapkę. Nie chodzi nawet o to, że dla wielu nawet niebrunatnych ludzi przytulanie jest zbyt mało asertywne. Chodzi o to, że Inny pozostaje tu Innym, a nawet tę Inność się z niego mocniej wydobywa.

Strona liberalno-lewicowa na brunatną dyskryminację odpowiada paradą inności, nie paradą równości: „Tak, jesteśmy inni, bardzo inni, tej różnicy nie przekroczysz ani jej nie zrozumiesz” zamiast „Jesteśmy tacy sami, a różnice między nami są powierzchnowe”.

Gdyby Netflix chciał być bardziej skuteczny w zwalczaniu dyskryminacji, podkreślałby podobieństwa, nie hołubił różnice. Na przykład tę samą intymność w homoseksualności i heteroseksualności, a nie odmienną.

Gdyby ideologia lewicowa chciała prawdziwej jedności, popierałaby wiele elementów przywłaszczenia kulturowego („niewłaściwe lub nieświadome przyjęcie elementu lub elementów jednej kultury lub tożsamości przez członków innej kultury lub tożsamości”), nie ganiła za nie. Teraz mówi „nie masz prawa upodobać się do inności, bo to nie jest godne pochwały zainteresowanie, ale kradzież”.

Drugie brunatne przykazania brzmi: „Kus wielkością!”. Wielkim projektem infrastrukturalnym, nową Gdynią, przekopem jakieś mierzei czy budową portu lotniczego w Baranowie. Czymkolwiek, byleby było wielkie, wiekopomne i kanalizowało pragnienia wspólne. A te dla ludzi wspierających brunatnych są kluczowe – to one uruchamiają w osobowości autorytarnej to przyjemne poczucie, że oto uczestniczę w czymś większym od samego siebie, zatapiam się w narodzie, grupie kibiców, plemieniu, które razem robi coś wiekopomnego.

Fromm nazwał tę tendencję „masochizmem społecznym” – przyjemnością czerpaną z faktu, że jest się zdominowanym przez coś nieporównywalnie większego niż ja sam. Na przykazanie „Kus wielkością!” strona liberalno-lewicowa naiwnie odpowiada: „Rozmiar nie ma znaczenia”, nie dostrzegając, że chodzi tu o rzecz najważniejszą: rozmiar ludzkich marzeń. Najpierw marzeniom zaprzecza („nie potrzebujemy CPK”), tylko po to, żeby zrobić rzecz jeszcze głupszą: stwierdzić, że to wielkie marzenie można by zrealizować, ale odpowiednio zmodyfikowane. Ma to być marzenie małe, takie na miarę naszych czasów.

A jak proponuje marzenie duże – „Tarczę Wschód” za 7 mld zł – to zapomina, że trzeba je porywająco zwiualizować. Mantra mediów społecznościowych „Pics or it didn’t happen” (Pokaż zdjęcia albo to się nie wydarzyło) w języku ludzkich marzeń brzmi „Pokaż zdjęcia albo to się nie wydarzy”. Wszyscy znają wizualizację CPK, tego tytanowego pająka, który siedzi na wielkim kawale mazowieckiej ziemi. „Tarczy Wschód” nikt ludziom w tak atrakcyjny sposób nie pokazał, a słowa „system fortyfikacji” nie mają takiej mocy.

I brunatne przykazanie brzmi: „Drż o wartości!”. Bo te są cały czas zagrożone: tradycyjna rodzina, małżeński seks, rola Matki Polki jako darmowej kombinacji od-

kurzacza z inkubatorem, patriotyzm jako najlepsza maszyna do mielenia mięsa armatniego etc. Ludzie głosujący na brunatnych zachowują się tak, jakby z rozwianym włosiem biegali wokół domu z napisem „tradycyjny porządek normatywny”, podtrzymując ściany rękami i oskarżając wywrotowców o podkopywanie fundamentów.

A druga strona z uśmiechem przyznaje, że te fundamenty, i owszem, podkopuje, i to z pełnym przekonaniem, że jak się to wszystko zawali, to będziemy mieli tu wreszcie utopię. Idzie więc w poczytnej gazecie kolejny artykuł o zaletach poliamorii, w której „bez zdradzenia i za przyzwoleniem partnera sypiamy z tym trzecim”, a poczytny portal argumentuje, że sexwork-ing, nazywany w słusznym minionych czasach ciemnogrodem prostytutką, jest normalną pracą. Zasadniczo na obawę, że świat schodzi na psy, odpowiadamy: „Tak, i właśnie dlatego zamiast dziecka powinienieś sprawić sobie psiecko”.

Jaki z tego wszystkiego wniosek? Jest chyba większa szansa, że od następnej wygranej brunatnych uratuje nas 25-letni piłkarz w masce Żółwia Ninja niż nasza konsekwentnie realizowana antybrunatna strategia.

PS Wszystkie uproszczenia dokonane w tym felietonie, który nie może przekraczać 6 tysięcy znaków, zostały dokonane świadomie i w przekonaniu, że mogą prowokować do myślenia, niekoniecznie je utrudniać. ●

Czy zastanawialiście się kiedyś, jak będzie wyglądała Polska bez was? Za 50, 60 czy 100 lat?” – pyta nasz felietonista w „**Kraju, w którym umrę**”. Nowa książka Marcina Matczaka już dostępna w dobrych księgarniach i w formie e-booka na Publio.pl.



Parobek

Parobczaństwo jest w gruncie rzeczy stanem przez Kaczyńskiego – podszytego Gombrowiczem – nie tylko pożądanym, bo autentycznym, ale i niemożliwym do osiągnięcia.



Michał Rusinek

Odnosząc się do spotkania Donalda Tuska z Olafem Scholzem i wypowiedzi obu polityków na temat reparacji wojennych, Jarosław Kaczyński powiedział między innymi takie oto zdanie: „Jeśli jakiś polityk ustawia się wobec jakiegoś państwa w pozycji — no, nazwijmy to tak — parobczańskiej, jeżeli przechodzi jako młody człowiek w tym kraju odpowiednie szkolenie, no to następnie nie tylko nie jest człowiekiem, którego nie można ograć, albo człowiekiem,

który się jakoś bardzo liczy, tylko jest traktowany po prostu jak parobek”.

O jakie szkolenie chodziło Jarosławowi Kaczyńskiemu? Wyjaśnił to po swojemu, czyli nie wyjaśniając, ale zapowiadając ciąg dalszy: „Tusk w swojej młodości przeszedł pewne szkolenie w Niemczech. Wtedy bardzo wielu młodych ludzi tego rodzaju szkolenia także w Niemczech przechodziło, ale to jakby na inne rozwiązania, inny moment. Jeszcze kiedyś się o tym wszyscy dowiemy”. O wiele bardziej istotne jest tu jednak słowo „parobek”. Ma ono w polszczyźnie dwa znaczenia: dosłowne (najemny robotnik rolny pracujący niegdyś w gospodarstwach bogatych chłopów lub służący we dworze lub karczmie) oraz metaforyczne (sługus, pacholek – w sensie człowieka wysługującemu się komuś). W obu przypadkach przymiotnik utworzony od tego wyrazu powinien brzmieć „parobkowy”. „Parobczański” to przymiotnik od słowa „parobczak”, nie tyle bardziej pogardliwego od wyrazu „parobek”, ile oznaczającego – według słowników – „młodego i silnego parob-

ka”. Świadome lub nieświadome użycie przymiotnika „parobczański” powoduje, że pogarda (prawdopodobnie będąca intencją wypowiadającego te słowa) ustępuje miejsca fascynacji, może nawet i zazdrości – o młodość i siłę.

Nie jest wykluczone, że Jarosław Kaczyński, człowiek przeciętany, dyskretnie odwołał się do XI księgi „Odysei”. Achilles w Hadesie mówi: „Wolałbym do dzierzawcy iść pod biedną strzechę/ na parobka i w roli grzebać z ciężkim znojem/ niż tu panować na tym cieniów marnych rojem” (przeł. Lucjan Siemierński). Znow pojawia się więc wątek zazdrości, ale tym razem o uczciwą pracę, w zestawieniu wprawdzie z władzą, ale z władzą nie tyle nad prawdziwymi ludźmi, ile nad cieniami, a więc podejrzanym – ontologicznie i moralnie – towarzystwem. Jeśli „parobek” jest kryptocytatem z Homera, to z wypowiedzi prezesa PiS dobywa się coś w rodzaju skargi na swój los. Być może nieuświadomionej.

Parobek kojarzy nam się jednak przede wszystkim z posta-

cią – a właściwie ideą – z „Ferdydurke” Gombrowicza. Parobek uosabia bowiem autentyczność, naturalność, wolność i prostotę. Jest formą doskonałą, pożądaną i poszukiwaną. Józio mówi: „Uciec! Na swobodę! Miętus, do parobków! (...) Myślałem, że da się schwycić na wędkę parobka. Ach, wszystko jedno mi było, co mówię, szło już tylko o to, żeby go utrzymać z dala od groteski, żeby się nagle nie wykrzywił”. Wreszcie Miętus znajduje parobka: „Nagle Miętus zatrzymał się z widelcem w pół drogi i zastygł, wzrok mu pociemniał, gęba zszarzała na popiół, usta się rozchyliły i przepiękny mandolinowy uśmiech wykwitł na gębie strasznej. Uśmiech pozdrowienia i powitania, witaj mi, jesteś, jestem – rękami oparł się o stół, pochylił się, górna warga uniosła się jak do zatkania; lecz nie zatkał, tylko pochylił się bardziej. Parobka zobaczył! Parobek był w pokoju!”. I tu następuje opis znaleźnika: „duży ni mały, nie brzydki i nie przystojny – włosy miał jasne, ale blondynem nie był (...). Gębę miał – ale (...) nie była to gęba wytworzona, lecz naturalna (...). Gęba bez miny, gęba zwykła!”. Zidentyfikowawszy parobka, Miętus zaczy-

na płakać jak bób, a łzy spływają mu „po twarzy umęczonej”. „Jeśli on się ze mną nie po... brata – wykrzykuje – nie wiem, co zrobić!”.

Pogarda łączy się tu z fascynacją i zazdrością. Parobczaństwo jest w gruncie rzeczy stanem przez Kaczyńskiego – podszytego Gombrowiczem – nie tylko pożądanym, bo autentycznym, ale i niemożliwym do osiągnięcia przez kogoś, kto ma gębę „wytworzoną”, kto umie tylko robić miny i to miny definiują jego tożsamość i charakteryzują jego politykę, także tę zagraniczną: nie ma nic pod nimi. Całe życie szukał parobka, który będzie uosabiał to, czego sam nie mógł osiągnąć. Chciał chociaż, żeby ten się z nim pobratał, ale on nie chce, tylko śmieje się z niego, więc złość go ogarnia i już parobek jest nie „aż” parobkiem, ale „tylko” parobkiem, w „pozycji parobczańskiej”. Widzimy więc pogardę, spod której wyglądają jednak maskowane i nie do końca uświadomione sygnały fascynacji i zazdrości. Cóż Kaczyńskiemu pozostaje? Jak w zakończeniu „Ferdydurke”: ucieczka z gębą w rękach, „koniec i bomba, a kto czytał, ten trąba”. ●

PÓKI CIEPŁA WODA W KRANIE

Aborcja i myśliwi mogą sprawić rządowi dużo więcej kłopotów, aniżeli wszystkie kwestie związane z sądownictwem.

Z **PROF. RAFAŁEM CHWEDORUKIEM**
ROZMAWIA **AGNIESZKA KUBLIK**

AGNIESZKA KUBLIK: W marcu oceniał pan, że po czterech miesiącach u władzy rząd Tuska ma coś na kształt *carte blanche* od własnych wyborców. Czy po siedmiu ma nadal? Sondaż CBOS z czerwca pokazuje, że już więcej – 48 proc. – jest niezadowolonych z tego, że to Tusk stoi na czele rządu niż zadowolonych – 40 proc.

PROF. RAFAŁ CHWEDORUK: Tak, ma nadal. Ale same procenty niewiele wyjaśniają. Istotne jest, jakich segmentów elektoratu to poparcie dotyczy.

W przypadku rządu Tuska ono jest skoncentrowane w tych grupach społecznych, które ponadstandardowo uczestniczą w wyborach, interesują się życiem publicznym i w konsekwencji zapewniają większą stabilność funkcjonowania władzy, którą popierają – i większe możliwości oddziaływania na resztę opinii publicznej.

Natomiast kontestacja pochodzi, po pierwsze, od elektoratu PiS, a po drugie, z tych grup społecznych, które rzadziej chodzą na wybory, mniej zainteresowanych polityką, więc w pewnym sensie to dla rządu nie ma priorytetowego znaczenia.

Odwolałam się do pojęcia sprzed ponad dekady – dopóki woda w kranie jest ciepła, to niewielkimi wahaniem nastrojów rządzący mogą się nie przejmować.

Pytanie, czy jest dla wszystkich ciepła. Rząd nieco słabnie w sondażach. To rozczarowanie czy zwykła niecierpliwość wyborców?

– Pamiętajmy o dwóch fundamentalnych kwestiach. Jednej, związanej z polityką w ogóle, a drugiej z obecną koalicją.

Polityka, gdy sprawuje się władzę, jest permanentnym balansem pomiędzy różnymi grupami społecznymi, grupami nacisku, lobbystami, innymi państwami i tak dalej. Umiejętność rządzenia jest umiejętnością znalezienia balansu. W dzisiejszym świecie i społeczeństwie to szczególnie trudne, bo wskutek globalizacji, urynkowienia życia społecznego, zróżnicowania przybyło podmiotów, nie tylko państwowych, które trzeba brać pod uwagę.

Na to nakłada się czynnik doraźny: by pokonać PiS, trzeba było pozyskać poparcie bardzo różnych grup społecznych. Mieliśmy, ujmując obrazowo, i emerytów entuzjastycznie stawiających się na każdą ma-

nifestację Komitetu Obrony Demokracji, i mocno antyklerykalnie nastawioną młodzież sympatyzującą z Lewicą, i przedsiębiorców sympatyzujących z PO i Trzecią Droga, i nauczycieli. Zamożne Sopot i Konstancin oraz należące do najuboższych prawosławne gminy południa województwa podlaskiego. Czyli rządzący muszą balansować między tymi, których przekonują programy Platformy i jej koalicjantów, i tymi, którzy po prostu byli przeciwko PiS.

Do tego dochodzi jeszcze jeden czynnik. Klasyczna myśl liberalna twierdziła, że najlepszy jest ten rząd, który jak najmniej rządzi. Po globalnym kryzysie lat 2008-09 nikt już tak na serio powiedzieć nie może. Stąd Tusk i jego zaplecze uczą się rządzić w zupełnie innych realiach niż te, z którymi mierzyli się po 2007 r. Metoda „nie róbmy polityki, budujmy mosty i drogi” już nie wystarcza, żyjemy w świecie, w którym trzeba rządzić, i to dużo aktywniej niż jeszcze 10 lat temu.

Dla większości polityków to novum, poruszają się trochę po omacku – a życia nie ułatwia im sytuacja globalna, która nie bardzo sprzyja sprawującym władzę w średniej wielkości państwie europejskim.

Czasami bardzo po omacku, bo PiS zostawił po sobie chaos prawny, który już przekłada się na niesprawiedliwość w konkretnych przypadkach. W czerwcu wyszedł na wolność zabójca – prowadził po pijaku, miał we krwi blisko półtora promila alkoholu, zabił innego kierowcę, ciężko ranił jego żonę. Dostał 15 lat za zabójstwo i usiłowanie zabójstwa, ale Sąd Najwyższy się dopatrzył, że w sprawie orzekł neosędzia, a więc zasła bezwzględna przyczyna odwoławcza i prawomocny wyrok musiał upaść.

– Z powodu takich pojedynczych spraw wiele się w polityce nie zmienia. Nawet w krajach dużo mniejszych niż Polska, w których powinno być trochę łatwiej o mobilizację opinii publicznej, dużo po-



ważniejsze przypadki tego typu, wyzwajające silne emocje, nie przyczyniały się do poważnej zmiany. Spójrzmy na Słowację, gdzie zabójstwo dziennikarza tropiącego aferę na szczytach władzy i jego partnerki wywróciło układ polityczny na bardzo krótko.

Wydaje mi się, że nie doceniamy tego, z czego zdawał sobie sprawę PiS, organizując protesty w siedzibie TVP, czyli wagi działań ekipy Tuska na samym początku, dotyczących mediów publicznych. Nowy rząd dokonał szybkich zmian, zapłacił jakieś polityczne koszty, ale dyskusje szybko wygasły, najwierniejsi wyborcy dostali to, czego chcieli po latach niemocy w opozycji – demonstrację sprawczości – a media funkcjonują dalej.

W sądownictwie oczywiście węzeł gordyjski trudniej rozciąć w ten sposób, bo sama materia organizacyjna, nie mówiąc o prawnej, jest dużo bardziej złożona i wielopoziomowa, ale rządzącym pomaga jedna bardzo ważna rzecz. Mianowicie, mówiąc brutalnie, te kwestie – praworządność czy system wymiaru sprawiedliwości – interesują tylko niewielki segment opinii publicznej.

Jednym z największych błędów antypisowskiej opozycji, popełnionym już na początku drugich rządów PiS, było skonstruowanie politycznej strategii wokół kwestii sądownictwa. Ponieważ cokolwiek by się tam działo, jak niebezpieczne dla praworządności zjawiska miały miejsce, to i tak dla większości opinii publicznej były to kwestie trudne do zinterpretowania. Poparcie dla PiS zaczęło się strategicznie obniżać, dopiero kiedy na agendę weszły tematy, w których łatwiej dotrzeć do kluczowych grup wyborców – gospodarka, inflacja, prawo kobiet do przerywania ciąży...

Zmierzam do tego, że do wyborów prezydenckich poparcie dla koalicji Tuska niewiele się zmieni. Co oznacza, że szanse kandydata prawicy są znikome.

Z tego by wynikało, że rozpalająca nas kwestia, kogo Koalicja 15 Października wystawi – Trzaskowskiego, Sikorskiego, a może samego Tuska? – jest drugorzędna?

– Jest, ale w takim sensie, że kandydatura Rafała Trzaskowskiego staje się bezalternatywna.

Byłoby zaskakujące, gdyby Tusk wystartował, bo jest to polityk, który budzi tak silne emocje, że wybory zmieniałyby się w plebiscyt, który niekoniecznie by wygrał, a wtedy straciłby wszystko. Wystawienie Radka Sikorskiego też byłoby ryzykowne, byłoby głębokim ukłodem w stronę wyborców prawicy, w nadziei na zmniejszenie ich mobilizacji. W dodatku obecny minister spraw zagranicznych uprawia politykę w sposób bardzo wyrazisty, czasami wręcz wiewocowy, co też niesie ryzyko.

Sprawa Hołowni jako wspólnego kandydata opozycji już jest przesądzona na je-

go niekorzyść. Doświadczył tego, czego doświadczały inne nowe formacje bazujące na postaci silnie medialnego lidera i zarazem założyciela. Kukiz'15, Nowoczesna Ryszarda Petru, Ruch Palikota – im wszystkim formuła personalna wystarczyła na jedną kampanię, a później wyborcy zaczęli się przyglądać programowi, pozostawili politykom ugrupowania i dostrzegali, że całokształt jest bardzo odległy od ich oczekiwań. W przypadku Hołowni – że za fajnym, komunikatywnym, deklarującym otwartość, młodzieżowym frontmanem kryją się pokłady konserwatyizmu.

Wróćmy do wkradającego się rozczarowania Tuskiem. Historia tego drogowego zabójcy pokazuje nie tylko efekty psucia prawa przez PiS, ale też jakąś nieporadność komunikacyjną nowej władzy. Bo wydawałoby się, że koalicja po tylu latach ścierania się z biegłymi PR-owo populistami powinna być nie tylko świadoma, gdzie i jakie miny poukrywał PiS w systemie, państwie i instytucjach, ale i przygotowana do ich rozbijania, do obsługi nieuniknionych wizerunkowych kryzysów.

– Powinna, ale i tak byłoby jej bardzo trudno z racji tego, jak dziś jest urządzony świat. Żyjemy w społeczeństwie bombardowanym informacjami, stymulowanym emocjonalnymi bodźcami na każdym kroku, a współczesna kultura i edukacja nie dają instrumentów pozwalających dokonywać racjonalnej selekcji.

A to nakłada się na szerszy problem współczesnej, nie tylko polskiej, demokracji, który sami sobie stworzyliśmy, a przyczyniła się do tego fascynacja amerykańskim, współczesnym modelem uprawiania polityki – polega na tym, że znikają kategorie umiaru i obiektywizmu. Wszystko jest albo czarne, albo białe i nie ma żadnego kręgu autorytetów, który byłby ponad.

Przekładając to na bieżące realia: PiS powie, że to wszystko przez złego Tuska, przez układ sędziowski, przez elity posłuszne Brukseli itd. i 30 proc. obywateli a priori ten przekaz przyjmie. A PO powie, że to wszystko, co nie działa, to przez PiS, i inne 30 proc. obywateli też bezkrytycznie to przyjmie.

Nowy rząd doskonale sobie zdawał sprawę, że są neosędziowie i że ich wyroki będą podważane. Co zrobić, by skazani przestępcy nie unikali kary?

– Tu działają dwie logiki. Logika norm prawnych i legislacji oraz logika polityki rozumianej jako wybory i sondaże. Czy to nam się podoba, czy nie, to żyjemy w świecie, w którym prawo z reguły nie ma szans z polityką. Rządzący nie znajdują na to cudownego remedium.

Jeśli mowa o sądownictwie, to po pierwsze, rządzący długo będą mieli wygodne tłumaczenie: dopóki prezydentem jest Andrzej Duda..., a po drugie, nie sądzę, aby znajdowało się na długiej liście kwestii, które mogłyby zachwiać podstawami popularności tego rządu. Przecież nie zachwiały nią nawet słowa idące najdalej, jak

■
Żyjemy w epoce beztrojski spowodowanej ratowaniem współczesnego kapitalizmu w kryzysie 2008-09 roku, do którego doprowadziła ortodoksja rynkowa. Dlatego łatwo o światopogląd magiczny. Mamy mieć CPK, elektrownie atomowe, tysiące czołgów i dziesiątki nowoczesnych samolotów, 300-tysięczną armię i na deser Pałac Saski

to możliwe, kiedy wszyscy sobie nawzajem zarzucali działanie świadome albo nieświadome na rzecz Rosji. Wydawało się, że to oskarżenie zabójcze, a tymczasem nikt się tym nie interesuje.

Większość obywateli nie ma na co dzień żadnego kontaktu z wymiarem sprawiedliwości, a ci, co mają, też nie są jednolitą grupą, stykają się z nim na różnych polach i wymiarach.

A jak pan ocenia to, że Trybunał Konstytucyjny wydaje wyroki, a rząd ich nie publikuje?

– To, że rozstrzygnięcie konfliktu o Trybunał będzie miało charakter polityczny, było wiadomo już w momencie, gdy się rozpoczynał, czyli w 2015 r. A niepublikowanie wyroków Trybunału? Przecież nawet publikowane wyroki niekoniecznie są wykonywane.

Natomiast trudno mieć do ludzi pretensje, że ich to nie przejmuje, jeśli nie zadbałiśmy o edukację obywatelską.

Środowiska prawnicze są zbulwersowane, podnoszą, że popierały obóz demokratyczny za czasów PiS właśnie po to, by przestrzegać praworządności. A przecież rząd Tuska tych wyroków nie publikuje, bo ma prawne powody – w TK są dublerzy, a składy sędziowskie wyznacza Przylebska, która już nie jest prezesem.

– To właśnie te dwie różne logiki – logika teorii prawa i logika polityki. Gdyby najważniejsi politycy obozu rządzącego słuchali wszystkich suflerów w sprawach mi-

gracji, trybunałów, sądów, zbrojeń, CPK, to skończyłoby jak Macron, który został osamotniony. W wielu kluczowych kwestiach wyalienował się od większości opinii publicznej, przy czym każdej z grup społecznych czy grup interesu podpadł czymś innym.

Jego partia ostatecznie jest na drugim miejscu. I wygrała wcale nie skrajna prawica, lecz lewicowy Nowy Front Ludowy.

– Otóż to. Macron ma poparcie najzamożniejszych Francuzów, ale przegrywa w liczbie oddanych głosów już nie tylko z lepenistami, ale także ze zmartwychwstającą z niemal zupełnego niebytu lewicą. A siłą Platformy przez długi czas była właśnie umiejętność utrzymywania poparcia zamożnej, najlepiej wykształconej części obywateli przy jednoczesnym docieraniu do innych grup społecznych, a przy tym neutralizowania – z wyjątkiem lat 2012-15 – pretensji różnych środowisk.

I właśnie o to teraz toczy się gra, by nie wytworzyła się atmosfera, w której PiS będzie mogło mobilizować przeciwko PO także takie grupy społeczne, które były np. w wymiarze ideologicznym bardzo odległe od prawicy. Obecnie zaś różne środowiska popierające rządzących i liczące na szybkie i bardzo daleko idące reformy i tak politycznie nie będą miały dokąd politycznie migrować. A na drugą stronę barykady z całą pewnością nie przejdą.

Mogą po prostu przestać chodzić na wybory.

– To są w większości grupy, które mimo wątpliwości co do polityki PO i tak ostatecznie pozostają podatne na mobilizacyjny przekaz. Z jednym wyjątkiem – najmłodszych wyborców, ponieważ oni stawali się mniej licznie przy urnach niż inne pokolenia, a ich październikowa mobilizacja wynikała z kontestacji PiS w aspekcie kulturowym, obyczajowym.

I dlatego sprawa aborcji może sprawić rządzącym dużo więcej kłopotów, aniżeli wszystkie kwestie związane z sądownictwem. Bo to zakaz aborcji pod rządami prawicy zaktywizował w niespotykanej skali najmłodszych wyborców i skierował ich ku różnym podmiotom anty-PiS-owskiej opozycji. Dzięki temu PO, Lewica i Trzecia Droga dostały głosy tych grup społecznych, o których poparcie zawsze było bardzo trudno.

Związki partnerskie też są takim tematem?

– Jednak nie tak nośnym, bo wywołują mniej emocji. I mają większe szanse przejść przez parlament w tej kadencji, bo część wyborców partii konserwatywnych jest tu mniej pryncypialna i np. Konfederacja musi brać pod uwagę postawy swoich młodych zwolenników, a nie tylko poglądy własnej kadry.

PSL stawia wiele warunków – że związki nie mogą być rejestrowane w Urzędzie Stanu Cywilnego, tylko przed notariuszem, żeby to przypominało ślub, ale nim nie było.

– Jest tylko jeden aspekt związany ze związkami partnerskimi, w którym rządzący muszą być bardzo, bardzo ostrożni, czyli prawo do adopcji przez parę jedнопłciową.

A czy sytuacja na granicy polsko-białoruskiej, gdzie nadal są pushbacki, organizacje humanitarne alarmują, że Straż Graniczna i wojsko nadal bezwzględnie traktują migrantów, również kobiety i dzieci, może zmienić ocenę rządu Tuska?

– Nie sądzę.

Przecież ponoć wszyscy chcieliśmy, żeby było humanitarnie.

– Ktoś, kto chce sprawować władzę w tak dużym kraju, jak Polska, z podzielonym społeczeństwem, musi być blisko centrum – nie politycznego, bo nie istnieje coś ta-

Umiejętność rządzenia jest umiejętnością znalezienia balansu. W dzisiejszym świecie i społeczeństwie to szczególnie trudne, bo wskutek globalizacji, urynkowania i zróżnicowania życia społecznego, przybyło podmiotów, nie tylko państwowych, które trzeba brać pod uwagę

kiego, jak ideologia centrum, ale centrum w sensie średniej poglądów w społeczeństwie.

Dlatego PO niegdyś musiała odejść od żywiołowego liberalizmu ekonomicznego, który towarzyszył jej początkom, bo ten model się zawalił, i to globalnie. Podobnie w 2021 r. Platforma zdecydowała się jednoznacznie opowiedzieć się za prawem kobiety do wyboru, ponieważ społeczne centrum przesunęło się w sprawie aborcji w lewo – czy raczej wróciło do stanu z początku lat 90., gdy większość Polaków nie akceptowała karaniami za przerywanie ciąży.

I tak samo jest z migrantami. Więc na bardziej afirmatywną wobec przyjmowania migrantów czy akcentującą aspekty humanitarne politykę raczej nie należy liczyć – natomiast rządzącym warto zadawać inne pytanie: czy Polska wreszcie sformuje strategiczne, daleko idące założenia polityki migracyjnej. Takie, które będą próbowały prognozować możliwe kierunki migracji do Polski i podejmą trudne problemy, np. wyboru między integracją a asymilacją.

Jak bardzo to jest złożone, pokazuje Dania, gdzie rząd, zdominowany przez socjaldemokratów, stara się degettoizować skupiska migrantów, żeby pozbać wpływów religijnych fundamentalistów, ale jednocześnie prowadzi najbardziej restrykcyjną politykę azylową w Europie. Robi to par-

A nie ma nic groźniejszego niż frustracja i gniew we własnym najwierniejszym elektoracie. Tu nawet odpadanie pojedynczych segmentów może być niezwykle groźne. Przecież PO straciła władzę w 2015 r. w olbrzymim stopniu dlatego, że podnosząc wiek emerytalny, uderzyła w tych, którzy głosowali na nią jako na partię stabilności, przewidywalności, i to jeszcze uderzyła w wymiarze godnościowym.

A „niejaki Rynkiewicz” ministrowie Nowackiej przylgnie do niej? Szydzono z niej nawet w obozie liberalnym i lewicowym.

– Z perspektywy interesów wyborczych pani minister – oby przylgnał. Bo konflikty na niwie kultury i polityki historycznej silnie angażują najwierniejszy elektorat. Zasadniczo politycy bardzo lubią konflikty symboliczne, bo z jednej strony nie wpływają na interes ekonomiczny wyborców, więc pozwalają mówić bardzo dużo rzeczy, z drugiej mocno konsolidują swoich, gdyż w przeciwieństwie do ekonomii, gdzie odległe ugrupowania potrafią znaleźć konsensus, w kulturze czy historii porozumienie jest niemal niemożliwe.

Innymi słowy, nic tak bardzo nie buduje polityczki, która ma być wschodzącą gwiazdą formacji rządzącej, jak udział w spektakularnym konflikcie z prawicowym komentariatem.

ortodoksja rynkowa. Dlatego łatwo o światopogląd magiczny. Mamy mieć CPK, elektrownie atomowe, tysiące czołgów i dziesiątki nowoczesnych samolotów, 300-tysięczną armię i na swoisty deser, zaserwowany przez nostalgików międzywojennej dyktatury w Polsce, Pałac Saski za miliardy złotych.

Kogóż wobec wizji takich cudów nad Wisłą interesuje perspektywa zapaści demograficznej, kryzysu europejskich gospodarek, zbliżającego się konfliktu ekonomicznego Zachodu z Chinami czy transformacji energetycznej. Dopiero pierwsze zwiastuny kryzysu odetną świadomość wyborców od kreowanych przez lobbystów i polityków inwestycji uderzających w realny rozwój państwa na wiele lat.

Pomyłką podobną do myśliwych – czymś, co zrytuje wielkomiejskiego i młodszego wyborcę, a da niewielkie korzyści, bo zainteresowani ucieszą się, że „rząd nam uległ”, ale pozostaną przy swoich sympatiach – wydają się ustępstwa wobec rolników w sprawie Zielonego Ładu i ukraińskiej żywności.

– Tak, PiS zachował olbrzymią część poparcia na wsi, ale jeśli chce je utrzymać, będzie potrzebował nowej strategii, bo wieś, jeśli odliczyć od niej tereny, na które wylęwa się suburbanizujące się wielkie mia-

myślą czegoś ekstraordinaryjnego, to tak. A zwycięstwo Trumpa – już zostawiając na boku przeniesienie ciężaru amerykańskiej polityki z Europy na Chiny, dla pozycji Ameryki groźniejsze niż Rosja – będzie bardzo dobrą wiadomością dla PiS. Nie dlatego, że jednym blisko do drugich programowo, bo tak nie jest, ale dlatego, że to wzmocni prawicę w warstwie symbolicznej. A dodatkowo PiS będzie mógł kompensować swoją europejską izolację kontaktami – niechby i tylko symbolicznymi, na poziomie gestów – z amerykańską administracją, co ma fundamentalne znaczenie w tak mocno proamerykańskim społeczeństwie jak nasze.

Ale na krajowej niwie partyjnej przed Tuskiem też stoi niełatwe zadanie, takie samo jak w przypadku różnych grup społecznych i grup nacisku, czyli zachowywania równowagi wewnątrz koalicji. Platforma może czerpać wyborców głównie kosztem Lewicy i Trzeciej Drogi...

I czerpie.

– ...ale zbyt głębokie sięgnięcie do tego źródła spowoduje, że te formacje mogą stanąć przed groźbą niedostania się do kolejnego Sejmu. Cała sztuka liderów PO polega na tym, żeby te formacje Platforma trochę przystrzygła, ale nie na tyle, by straciły zdolność do samodzielnego istnienia, do pewnego odróżniania się od Platformy.

Ale najważniejsze będzie to, czy Platforma nie popełni błędów z lat 2012-15, czyli nie stworzy kanałów mobilizacji przeciwko rządowi wielkich grup społecznych. Wtedy takim katalizatorem było podniesienie wieku emerytalnego. PiS mógł zacząć docierać do grup, które nigdy wcześniej nie spojrzałyby życzliwie na mocno prawicowo-konserwatywną formację.

Jeśli Tusk nie popełni podobnego błędu, to czas pracuje na jego rzecz. Poparcie w miastach, przewaga wśród ludzi w wieku średnim, wchodzenie w wiek wyborczy czy aktywność już w wieku wyborczym tych, którzy socjalizowali się politycznie w czasie słabnięcia rządów PiS i długi czas będą nastawieni przeciwko prawicy – to wszystko daje Tusкови strategiczną przewagę.

Jaki to mógłby być błąd?

–Taki, który łączyłby uderzenie w interesy ekonomiczne wielkich grup społecznych oraz równoległe w poczucie godności, czyli np. powrót do podniesienia wieku emerytalnego, podpowiadanego rządowi przez licznych suflerów z konsekwencją godną doktora Grinsteina z „Przygód dobrego wojska Szwajkara”. Ów wojskowy lekarz na większość schorzeń ordynował lewatywę i płukanie żołądka.

Równie niebezpieczną perspektywą mogłaby być próba przywrócenia poboru do wojska, ułatwiona przez ustawę jeszcze z czasów PiS, lub wprowadzenie podatku katastralnego w mało zamożnym społeczeństwie posiadającym za to, na tle Zachodu, bardzo dużo prywatnych nieruchomości. ●



FOT. WNPISM UW

Rafał Chwedoruk

• ur. w 1969 r., politolog, profesor Uniwersytetu Warszawskiego. Zajmuje się myślą polityczną, ruchami społecznymi (w tym kibcowskim), komercjalizacją sportu, historią socjalizmu. Autor książek „Nasza scena polityczna”, „Socjaliści z Solidarności w latach 1989-1993”, „Ruchy i myśl polityczna syndykalizmu w Polsce”, „Syndykalizm rewolucyjny – antyliberalna rewolta XX wieku”.

Podniesienie wieku emerytalnego, pobór do wojska i podatek katastralny mogą ułatwić PiS dotarcie do grup, które nigdy wcześniej nie spojrzałyby życzliwie na mocno prawicowo-konserwatywną formację

tia z polskiej perspektywy naprawdę czerwona i choć pryncypialni lewicowcy oburzają się na nią, to w ten sposób zatrzymała marsz populistycznej prawicy. Podobnie myślał nasi rządzący: jeśli przestaniemy balansować, wzmocnimy PiS i Konfederację.

Długofalowej strategii migracyjnej potrzebujemy jednak przede wszystkim po to, żeby Polacy wiedzieli, jak zamierzamy – zwłaszcza po zakończeniu wojny – ratować z pomocą migrantów rynek pracy przed zapaścią demograficzną, co jednak wiąże się z obawami różnych grup społecznych, nawet takich, które są odległe od pracy.

Panie profesorze, a rozczarowanie wśród nauczycieli? Coraz więcej młodych odchodzi z zawodu. I chodzi nie tylko o pieniądze, ale też o zły dla nich i dla uczniów system.

– To może być groźne, bo po pierwsze, nauczycieli jest dużo, po drugie, to jest grupa chodząca na wybory, o wysokim kapitale kulturowym, mająca pewien wpływ na życie społeczne. A po trzecie, bo większość nauczycieli głosuje na Platformę.

Bagatelizowanie oczekiwań płacowych tej grupy byłoby dla rządzącej koalicji niebezpieczne, ale na horyzoncie widać już nowe wyzwanie. Właśnie zaczynamy doświadczać niżu demograficznego, problem licznych roczników się skończył, za chwilę zaczną się dramaty związane z likwidacją szkół w wielu ośrodkach, zwłaszcza tych najbardziej wyludniających się.

Utrata stabilności życiowej przez wielu nauczycieli może być dużo większym wyzwaniem niż kwestie płacowe i minister Nowacka – czy raczej cały rząd – będzie musiał wytworzyć mechanizmy utrzymywania części nauczycieli w zawodzie, ale równoległe, przez przebranżowienie czy wcześniejsze emerytury, ograniczania zatrudnienia.

To kogo buduje wzmacnianie myśliwych? Ministerstwo Obrony podpisało porozumienie o współpracy z Polskim Związkiem Łowieckim. Dość dyskretnie, co sugeruje, że mają świadomość, że myśliwi i polowania nie cieszą się sympatią wyborców od lewa do umiarkowanego prawa.

– Ten rząd jak każdy rząd jest pod naciskiem różnych grup interesów i wielu z nich – kosztem dużych strat wizerunkowych – się opiera, co pokazuje kwestia CPK, tak naprawdę będąca obroną Okęcia przed deweloperami, a prowincjonalnych lotnisk przed likwidacją. A w przypadku myśliwych najwidoczniej nie oparł się – i to akurat będzie dla rządzących niekorzystne, bo środowiska łowieckie są wciąż dosyć wpływowe, natomiast w makroskali łowiectwo kojarzy się jednoznacznie, a wzrost humanitaryzmu wobec zwierząt jest powszechny.

Jedyny polityczny sens, jakiego można by się w tym doszukiwać, to próby – jak u pilsudczyków po przewrocie majowym – kruszenia fundamentów społecznych opozycji przez przeciąganie różnych grup na swoją stronę. Ale myśliwi to zbyt mała grupa, by przyniosła wielkie korzyści, za to spełnianie jej postulatów stoi w sprzeczności z oczekiwaniami kluczowej dla PO wielkomiejskiej klasy średniej i młodych ludzi.

CPK też wydaje się takim mobilizującym wszystkich hasłem symbolem. Jest w nim i historia przewalonych milionów, i ludzi wyrzucanych z domów, ale też wiary – idące, jak się okazało, w poprzek sympatii partyjnych – w to, że Polskę stać na ambitne infrastrukturalne projekty na skalę europejską.

– Żyjemy w epoce beztrojski spowodowanej ratowaniem współczesnego kapitalizmu masowym dodrukiem pieniędzy po kryzysie 2008-09 roku, do którego doprowadziła

sta, będzie się wyludniać, a zmiany technologiczne ograniczają liczbę producentów rolnych. Na dodatek w przypadku PiS zdezerżają się polityczne cele tej partii związane z Ukrainą, z interesem ekonomicznym polskich i w ogóle europejskich rolników zagrożonych napływem ukraińskich produktów rolnych. Partię Kaczyńskiego może więc czekać walka o poparcie rolników z Konfederacją i PSL.

Co jeszcze może być groźne dla Koalicji 15 Października? Co może zachwiać jej poparciem i wyborcami?

– Znow przywołam Macrona i jego neoliberalne, wolnorynkowe reformy. Najważniejsza jest kwestia utrzymania poziomu życia materialnego kluczowych grup wyborców, ich stabilności zawodowej. A o to nie będzie łatwo w dobie turbulencji gospodarek europejskich. Możemy złośliwie komentować kiepską kondycję niemieckiego przemysłu, historycznie to zrozumiałe, ale wkrótce ona zacznie się na nas odciskać.

A druga rzecz, która mocno może uderzyć w ten rząd, to problem z zachowaniem balansu pomiędzy Unią Europejską a Stanami Zjednoczonymi. W Polsce żyjemy stereotypami z czasów zimnej wojny, Reagana itd., że Ameryka równa się Zachód. Tymczasem świat zachodni nigdy nie był monolitem, a z całą pewnością nie jest teraz i różnice interesów ekonomicznych i politycznych pomiędzy głównymi graczami europejskimi a Stanami Zjednoczonymi są oczywiste. I to ze Stanami pod rządami Bidena, a co dopiero pod rządami Trumpa. Wtedy Polska będzie pod potężnymi naciskami z obu stron, z Brukseli i głównych europejskich stolic i z Waszyngtonu.

Biden przegra?

– Jeśli amerykańskie elity – których większości jednak bliżej do Bidena – nie wy-



Kulisy operacji „Śluza”

PO ZMROKU BĘDZIECIE W EUROPIE

„Wczasy myśliwsko-łowieckie dla turystów z krajów arabskich”.
Rozmawiałam z białoruskimi pogranicznikami i funkcjonariuszami reżimu

Wiktorja Bieliaszyn

• 15 listopada 2021, migranci sprowadzeni przez Łukaszenkę na Białoruś gromadzą się nieopodal przejścia granicznego w Kuźnicy

N a lotnisku w Moskwie przechodzie przez kontrolę. Odbieracie bagaże. Przy wejściu będzie na was czekać pułkownik, który zaprowadzi was do kierowców. Po zmroku pojedziecie busami na Białoruś. Stamtąd dotrzecie do Europy”.

Takie instrukcje otrzymał od jednego z przemytników rosyjski dziennikarz śledczy Michaił Kalinin, który badał, w jaki sposób migranci z Bliskiego Wschodu i państw afrykańskich usiłują dostać się przez Rosję i Białoruś do Europy.

Operacja „Śluza”, bo tak proceder nielegalnego przetrzucania migrantów przez wschodnią granicę Unii Europejskiej nazywają eksperci, nie jest czymś nowym. Byli białoruscy funkcjonariusze struktur siłowych twierdzą, że stoją za nią nie tylko białoruskie, ale i rosyjskie władze. Tę formę destabilizacji sytuacji w Europie killkanaście lat temu obmyślił i opracował, porozumieniu z obecnymi generałami rosyjskiego FSB, szef białoruskiego KGB Iwan Tertel.

W 2021 r. Mińsk i Moskwa rozkręciły operację, doprowadzając do kryzysu migracyjnego na granicy między Białorusią a Unią Europejską. Kiedy pytam ekspertów o powody, słyszę różne odpowiedzi: „zemsta Łukaszenki za sankcje i wspieranie białoruskiej opozycji”, „chęć osłabienia Zachodu”, „próba podzielenia zachodniego społeczeństwa”, „potrzeba wzmocnienia w UE ruchów skrajnie prawicowych i antyimigranckich”, „odwrócenie uwagi od wojny w Ukrainie”.

Obecna sytuacja geopolityczna dowodzi, że każdą z nich można uznać za prawdziwą.

Początkowo wszystko było banalnie proste i oczywiste.

Po kolejnych „wygranych” przez Aleksandra Łukaszenkę wyborach prezydenckich w 2020 r., sytuacja Białorusi na arenie międzynarodowej drastycznie się zmieniła. Skala represji, wprowadzonych przez reżim w celu zduszenia masowych, pokojowych protestów przeciwko sfalszowanemu wynikom, okazała się być bezprecedensowa.

Działania władz doprowadziły do tego, że Białoruś stała się pariasem na międzynarodowej scenie politycznej. Zachód nie tylko nałożył na nią sankcje, ale i jasno dał do zrozumienia, że za prawowitą przywódczynię kraju uważa Światłanę Cichanowską, nieoficjalną zwyciężczynię wyborów.

Tego reżim nie był w stanie znieść i postanowił zrewanżować się Europie, wcale się z tym nie kryjąc. Łukaszenka mówił o tym wprost. „To my zatrzymywaliśmy narkotyki i migrantów na naszej zachodniej granicy. A teraz to wy sami będziecie jeść narkotyki i wypłapywać ludzi. Mówię uczciwie, że nie będziemy już więcej zatrzymywać na granicy tych, nad którymi wy – Zachód – znęcaliście się w Afganistanie, Iranie, Iraku. W rezultacie waszych sankcji nie mamy już na to pieniędzy” – oświadczył w lipcu 2021 r.

Jeden z pograniczników, z którym udało mi się nawiązać kontakt, tłumaczył, że władze wydały straży granicznej rozkaz, by nie zatrzymywać migrantów. „Mamy świadomość, że władze w porozumieniu z KGB przeprowadzają operację. Dzisiaj nie zatrzymujemy nielegalnych migrantów, nie wysyłamy ich do ośrodków tymczasowych, nie sprawdzamy ich tożsamości. O szczegółach operacji szeregowych pograniczników nikt nie informuje. My otrzymujemy jedynie rozkazy, które polegają na tym, by w danym punkcie kontrolnym, w określonym czasie nikogo z nas nie było. I żeby nie wpuszczać migrantów z powrotem na teren Białorusi. Za niewypełnienie rozkazu grozi nie tylko zwolnienie, ale też odpowiedzialność karna lub konieczność spłaty długu wobec państwa, jeśli służy się w ramach obowiązku wojskowego”, tłumaczył.

Moje drogie europejskie wakacje

3-4

• TYS. DOLARÓW
„depozytu”, który przepadał na rzecz państwa, jeśli „turysta” nie wróci do swojego kraju, pobierały białoruskie hotele

CO NAJMNIEJ

12

• MLN DOLARÓW
zarobił reżim Łukaszenki na obsłudze migrantów tylko w 2021 r.

PRAWIE

30

• MLN DOLARÓW
na uszczelnienie granicy dostała Białoruś z Zachodu w latach 1996-2009

NAWET

15 000

• MIGRANTÓW
mogły zwerbować w zeszłym roku rosyjskie władze

Dziennikarze z rosyjskiego niezależnego Centrum Dossier ujawnili w 2021 r., że większość osób z Bliskiego Wschodu przybywa do Mińska w grupach zorganizowanych przez przemytników współpracujących z biurami podróży. Jednym z najprężniej działających w tym obszarze był Centrkurort, białoruska firma turystyczna podlegająca bezpośrednio administracji prezydenta.

Władze, w imię „rozwoju turystyki między krajami arabskimi a Białorusią”, przyznały jej specjalne uprawnienia, którymi dysponowało wcześniej jedynie MSZ, gwarantujące możliwość wydawania wiz obywatelom Iraku. Oficjalnie mieli oni odwiedzać Białoruś w ramach zorganizowanych czasów, m.in. „myśliwsko-łowickich”. Z upublicznionych przez dziennikarzy śledczych dokumentów wynikało, że chętnie biorą w nich udział nie tylko mężczyźni, ale i kobiety oraz dzieci.

Uproszczenie procedury wydawania dokumentów oraz liczne loty bezpośrednie do Mińska z krajów Bliskiego Wschodu sprawiły, że na ulicach białoruskich miast w krótkim czasie pojawiły się tysiące osób. Nie dało ich się pomylić z Białorusinami. „Wtedy z uchodźcami miał do czynienia każdy, kto wyszedł z domu. Widać ich było nie tylko w centrum, ale też na blokowiskach. Łatwo ich było rozpoznać, chodzili grupami, rysy twarzy niesłowiańskie. W sklepach ze sprzętem turystycznym kupowali kurtki przeciwdeszczowe, rękawiczki, latarki” – wspomina Katia.

Później te osoby pod osłoną nocy znikaly. Podstawionymi pod hotele busami przewożono je na zachodnią granicę Białorusi. Od razu zastępowały je nowe.

Próbując oszacować skalę zjawiska, jesienią 2021 r. dzwoniłam regularnie do białoruskich hoteli z pytaniem o możliwość rezerwacji. Większość była zajęta na wiele dni wprzód. Z troski o niewinnych rozmówców, którym groziłaby represja, nie mogłam ujawnić, że jestem dziennikarką, więc udając zaniepokojenie, dopytywałam, czy w hotelu zatrzymują się też migranci. „Moim zdaniem nie ma dzisiaj w Mińsku hotelu, w którym nie byłoby migrantów z Iraku, Iranu czy Syrii”, usłyszałam od recepcjonistki.

Mimo że przybyłszy spędzali w hotelach od kilku godzin do – maksymalnie – kilku dni, musieli zostawić w nich sporo pieniędzy. Dziennikarze niezależnej paneuropejskiej redakcji śledczej Scanner Project ujawnili, że przy „zakwaterowaniu” na wstępie pobierano od nich „depozyt” wysokości ok. 3-4 tys. dolarów, informując przy tym, że jeśli po zakończeniu „wycieczki” nie wrócą do swojej ojczyzny, pieniądze zostaną potraktowane przez białoruskie władze jako kara grzywny. I przejdzie na rzecz państwa.

Dla „turystów”, którzy oprócz tej kwoty musieli wysupłać dla przemytników od kilku do kilkunastu tysięcy dolarów, były to zapewne najdroższe w życiu wakacje. A dla białoruskich władz, usiłujących załatać dziurę w budżecie, bardzo opłacalny biznes. Latem 2021 r. dziennikarze Bielsatu i litewskiego portalu „l5 min” szacowali, że reżim „legalnie” zarobi dzięki „turystom” z Bliskiego Wschodu i Afryki 12 milionów dolarów. A „nielegalnie”? Znacznie więcej. Przemysłnicy ściśle współpracują przeciwz białoruskimi służbami, które pomagają migrantom przekroczyć granicę.

„Głównym celem Mińska zawsze było, prócz politycznego, zarobienie dodatkowych pieniędzy. Władze od lat otrzymywały je w zamian za przerzucenie migrantów bez dokumentów przez granicę” – tłumaczy były oficer MSW Białorusi Aleksander Azarov, który przewodzi opozycyjnej organizacji Bypol, zrzeszającej byłych funkcjonariuszy struktur siłowych.

Przez wiele lat Łukaszenka starał się utrzymywać balans i nie przeginać. Zachodnia granica Białorusi była dość szczelna, bo Mińsk otrzymywał za jej ochronę od Zachodu niemałe pieniądze. W 2009 r. Łukaszenka na konferencji dotyczącej bezpieczeństwa mówił, że w okresie od 1996 do 2009 r.

na zabezpieczenie granicy Białorusi wydało prawie 30 mln dolarów w ramach międzynarodowych projektów pomocy.

Sztucznie wywołany kryzys migracyjny nie skłonił jednak Europy do oczekiwanych ustępstw. Wręcz przeciwnie, poskutkowało kolejnymi sankcjami i utwierdzeniu się przez Zachód w przekonaniu, że Łukaszenka jest dyktatorem, który stanowi zagrożenie nie tylko dla swojego narodu, ale i Europy oraz migrantów, których zdecydował się przeciwko niej wykorzystywać jako żywą broń.

I to dosłownie. Na pierwszych nagraniach publikowanych na początku kryzysu przez polską, litewską i łotewską straż graniczną można zobaczyć, jak białoruscy pogranicznicy przepychają grupę migrantów przez granicę. Widzimy, jak grupa w mundurach moro i kominiarkach, napierając tarczami na siedzących na ziemi ludzi, krzyczy po rosyjsku: „Wstajemy! Idziemy! Do przodu!”. Kolejne miesiące i lata przyniosły wiedzę, która pozwala twierdzić, że tego rodzaju metody można uznać za najbardziej humanitarne.

Władze, wciąż strauumatyzowane skalą protestów 2020 r., wyraźnie obawiały się też reakcji społeczeństwa, coraz bardziej zaniepokojonego nową sytuacją. Z relacji niezależnych mediów wynikało, że większość Białorusinów bała się nawet podejść do migrantów. Niektórzy zwyczajnie obawiali się grup ludzi o niesłowiańskiej urodzie, inni byli pewni, że narażą się bezpiece, jeśli okażą zbyt wyraźne zainteresowanie. „Tych ludzi obserwuje milicja i KGB. Jak zaczniesz z nimi rozmawiać albo im pomagać, to niewykluczone, że i tobą zaczną się interesować mundurowi” – mówił mi w pierwszych miesiącach kryzysu Sasza z Mińska.

W pewnym momencie liczba migrantów wyraźnie wymknęła się władzom spod kontroli. W mediach coraz częściej pojawiały się doniesienia o aresztach ludzi zatrzymanych przez milicję za brak dokumentów zezwalających na pobyt. Władze zapewniały wtedy, że migranci przebywający na terenie Białorusi nielegalnie zostaną deportowani.

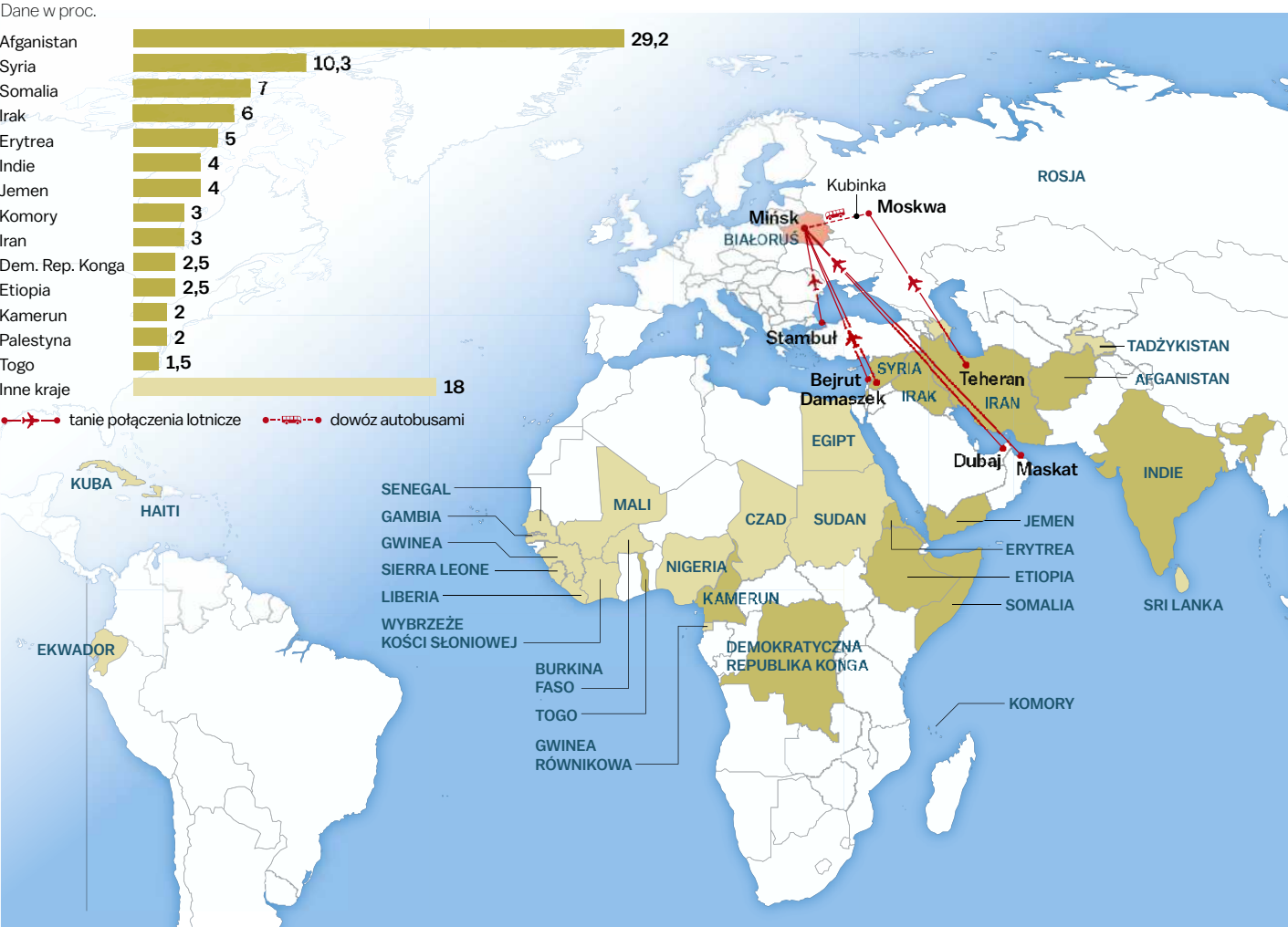
W ich deklaracje nie uwierzyli ludzie z Bypol. „Deportacja oznacza konieczność pokrycia kosztów powrotu tych ludzi do ich ojczyzn. Reżim tego nie robi. Łukaszenka zapraszał migrantów nie po to, żeby tracić na nich pieniądze. Nasze źródła informują, że migranci są wywożeni do Rosji, z którą Białoruś nie ma oficjalnie strzeżonej granicy. Większość w okolicy Pskowa, skąd łatwiej dostać się np. do Finlandii. Migranci mają dostać się do Europy, obchodząc polską, łotewską i litewską granicę” – tłumaczył Aleksandr Azarov.

Częściowe potwierdzenie słów Azarowa znajduje w historii Nastii, byłej więźniarki politycznej.

W czerwcu 2022 r., podczas odsiadki w mińskim areszcie Okriestino, kobieta poznała obywatelki Kuby i Iranu, które dotarły do Mińska w momencie, kiedy Łukaszenka zdecydował się na chwilowe przymknięcie „okienka”. Migranci, którym przemytnicy za kwotę 15 tysięcy dolarów obiecali bezpieczną podróż do Europy, trafili za kratki. „Zabrali im paszporty i powiedzieli, że muszą wrócić do swoich ojczyzn. I że bilety powrotne muszą im kupić krewni. Nie wiem, co stało z nimi później, ale pamiętam, że w momencie, kiedy mnie zamknęli, Kubanki były już w areszcie od miesiąca” – opowiada Nastia.

Białorusini od początku doskonale zdawali sobie sprawę, że za sprowadzenie migrantów do kraju odpowiada ich przywódca – a jemu bardzo to nie odpowiadało. „Baćka” robił wszystko, by w historii z migrantami występować w roli zbawcy, a nie kata. W jego narracji brakiem skrupułów i humanizmu wykazywał się Zachód. Biorąc pod uwagę jawność działań białoruskich władz, trudno było jednak kogokolwiek przekonać do tej wersji. Z ulic białoru-

Pochodzenie migrantów przybywających na Białoruś z zamiarem przedostania się do Unii Europejskiej



skich miast zniknęły więc tłumy osób o nie-słowiańskich rysach twarzy. Na lotniskach przestały masowo lądować samoloty z Bliskiego Wschodu czy Afryki.

Mimo to migrantów w lasach przy granicy z Polską nie ubywa. Do lasów regularnie przywożone są kolejne grupy. Tym razem po cichu, pod osłoną nocy, nieoznakowanymi samochodami, i już nie z lotniska w Mińsku, tylko z Moskwy. Zezwolenia na wjazd do kraju bez problemu wydaje bowiem Rosja, która wzięła na siebie funkcję hubu. „Migranci docierają tam na różnych wizach: od studenckich przez pracownicze, sportowe i turystyczne, aż po te, które wydawane są osobom przyjeżdżającym do Rosji na leczenie” – opowiada Kalinin.

Z jego ustaleń wynika, że pierwszym ogniwem łańcucha są najczęściej arabscy kontrabandziści. Nie wszyscy nawet współpracują z putinowskim czy białoruskim reżimem. „Ci ludzie działają na miejscu w krajach Bliskiego Wschodu. Robią na tym biznes. Wykorzystują kontakty, a czasami jedynie znajomość rosyjskich przepisów i luk prawnych, by załatwić klientowi wizę. Usługi niektórych ograniczają się jedynie do tego. Inni, najczęściej ci, którzy mieszkają w Rosji lub na Białorusi, oferują także pomoc w dostaniu się do Europy”, tłumaczy dziennikarz.

Aleksander Azarow opowiada, że w rosyjskiej stolicy migranci przechodzą selekcję. „Są dzieleni przez rosyjskich wojskowych na dwie grupy. Część jedzie na szkolenie do podmoskiewskiej Kubinki, podpisują umowę z ministerstwem obrony i udają się na front. Ci, którzy walczyć nie chcą albo nie mogą, jadą na Białoruś”. Białoruski eks-siłownik twierdzi, że migranci mają prawo

decydować o swoim losie. Śledztwa dziennikarskie mówią jednak, że nie zawsze.

Według szacunków ukraińskiej organizacji „Chcę żyć”, która opierała się na danych ukraińskiego ministerstwa obrony i Głównego Zarządu Wywiadu Ukrainy, tylko w ubiegłym roku rosyjskie władze mogły zwerbować do 15 000 zagranicznych migrantów, którzy oficjalnie przybyli do Rosji albo jako turyści, albo migranci zarobkowi.

Ta grupa ma mniej problemów z dostaniem się do Rosji. Opozycyjna „Nowa Gazeta Europa” donosiła, że w Ameryce Łacińskiej, Afryce, na Bliskim Wschodzie i w regionie Azji i Pacyfiku w rosyjskich konsulatach utworzono centra rekrutacyjne, których celem jest przyciągnięcie do Rosji migrantów z najbiedniejszych krajów świata. Dyplomaci obiecują im dobrze płatną pracę w centralnych miastach Rosji, wydają wizy, opłacają długie loty. A na miejscu, podstępem, urzędnicy wcielają w szeregi rosyjskiej armii. Nawet tak przyjazne Rosji państwa jak Kuba, Indie czy Nepal ostrzegają swoich obywateli przed „działającą z Rosji siecią odpowiedzialną za handel ludźmi”.

Nie wszyscy są zaganiani w kamasze, między innymi dlatego że nie w każdą operację zaangażowane jest FSB. Niekiedy przeprowadzają je zwykli biznesmeni. Siergiej Merzliakow i Chaled Elmer, założyciele projektu Made in Russia24, od lat sprowadzają do Rosji, a w konsekwencji często także do Unii Europejskiej, obcokrajowców z krajów arabskich i afrykańskich. Ich działania są zupełnie jawne, bo „przedsiębiorcy” żywo reklamują swoje usługi w internecie.

Niezależna redakcja The Insider opisywała proces rekrutacji w Rosyjskim Centrum Kultury w Damaszku. Aktywnie reklamowało ono możliwość uzyskania wiz studenckich w Rosji. Wymagania? Żadne. „Nie trzeba nawet znać języków obcych. Dostałem wizę studencką, ale nie zacząłem nauki. Pojechałem na granicę z Finlandią i poprosiłem o azyl” – mówił dziennikarzom Musa z Syrii.

Przemytnicy przedstawiają się jako agenci turystyczni, obiecują, że wyjazd jest legalny, z pozwoleniem na pracę w opcji, klient nie łamie żadnych przepisów

W rekrutacji Mińsk podobną kreatywnością już wykazać się nie może, ale na lokalnym, wewnątrz krajowym poziomie władze białoruskie działają równie sprytnie. Mieszkańcy miast i wiosek z okolic tras, którymi jeżdżą autokary z Rosji, nie mają szans, by zobaczyć migrantów. Są przewożeni nocą, prosto strefy przygranicznej, do której zwykłych obywateli obowiązuje zakaz wstępu. „Dla białoruskiego społeczeństwa migranci nie są dzisiaj problemem, bo ludzie ich zwyczajnie nie widzą” – potwierdza mi analityczka Hanna Liubakowa.

Według ustaleń byłych białoruskich siłowników za przerzucenie migrantów do Europy odpowiada OSAM, specjalna jednostka wojsk granicznych, specjalizująca się w zwalczaniu działalności terrorystycznej. Wojskowi uczą migrantów orientowania się w lesie, tłumaczą, jak forsować granicę i odwracać uwagę straży granicznej.

„W mediach czytamy o sytuacjach, kiedy dziesiątki albo setki osób próbują na raz przejść granicę. To w gruncie rzeczy jedynie próba odwrócenia uwagi strażników. Kiedy większość sił skupia się na opanowaniu sytuacji w jednym miejscu, w innym, słabiej ochranianym, spokojnie udaje się przejść innej, znacznie mniej licznej grupie” – wyjaśnia Azarow.

I on, i opozycyjny działacz Paweł Łatuszka podkreślają, że białoruskie służby nie tylko pomagają migrantom atakować granicę, ale i starają się, by w grupach tych, którym udało się przejść, znaleźli się dywersanci i agenci.

To, że droga migrantów do Europy się wydłużyła, potwierdzają także raporty instytucji działających na rzecz praw człowieka. Międzynarodowa Organizacja ds. Migracji, która jest częścią struktury ONZ, donosiła w ubiegłym roku, że znakomita większość – 82 proc. – migrantów dociera na Białoruś przez Rosję.

Nie dla każdej z tych osób Rosja była jedynie krajem tranzytowym. Część mieszkała w Moskwie przez kilka miesięcy, a nawet lat i dopiero w momencie, kiedy dowiedziała się o otwarciu szlaku do Europy, zdecydowała się spróbować dotrzeć do Unii Europejskiej. – Spotkałam grupę studentów, którzy studiowali w Rosji medycynę. Byli na czwartym roku, właściwie prawie kończyli studia. Rzucili je ze świadomością, że nikt im nigdzie nie zaliczy tych lat, w czasie których się uczyli. Uznali, że lepiej spróbować dostać się do Europy – opowiada Anna Alboth, społeczniczka humanitarna i obrończyni praw człowieka związana z Grupą Granica.

Dlaczego? Według danych Międzynarodowej Organizacji ds. Migracji większość, choć nie przytłaczająca – 31,2 proc. migran-

Łukaszenka zapowiadał wprost: To my zatrzymywaliśmy narkotyki i migrantów na naszej zachodniej granicy. A teraz to wy sami będziecie jeść narkotyki i wylapywać ludzi

tów za główny powód podaje przyczyny ekonomiczne: wierzą, że w Europie znajdują lepszą, korzystniejszą finansowo pracę. Jednocześnie 24 proc. osób deklaruje, że opuściło ojczyznę z powodu represji i przemocy. Część z nich osobiście padła ich ofiarą: jedna trzecia kobiet i prawie jedna czwarta mężczyzn. Kolejne 21 procent wyjaśniało, że wyjechało z powodu wojny lub konfliktu zbrojnego w ich kraju.

Pierwsze badanie socjologiczne przeprowadzone przez instytucje ONZ wśród migrantów przybywających na Białoruś z zamiarem przedostania się później do Europy pokazało, że szlak ten próbują przejść ludzie z całego świata.

Wiosną ubiegłego roku badaczom udało się dotrzeć do 202 osób z 40 różnych krajów. Z raportu opublikowanego w sierpniu 2023 r. wynikało, że większość (29,2 proc.) pochodziła z Afganistanu, Syrii (10,3 proc.), Somalii (7 proc.), Iraku (6 proc.) i Erytrei (5 proc.). Pozostali to obywatele Indii (4 proc.), Jemenu (4 proc.), Komorów (3 proc.), Iranu (3 proc.), Demokratycznej Republiki Konga (2,5 proc.), Etiopii (2,5 proc.), Kamerunu (2 proc.), Palestyny (2 proc.) i Togo (1,5 proc.). Poniżej tego progu plasują się obywatele Burkina Faso, Wybrzeża Kości Słoniowej, Ekwadoru, Gwiney, Liberii, Gambii, Gwiney Równikowej, Sri Lanki, Sierra Leone i Czadu. Są też Egipcjanie, Nigeryjczycy, Kubańczycy, Azerowie, Haitańczycy, Libańczycy, Sudańczycy, Malijczycy, Senegalczycy i Tadżykowie.

Białoruskie biuro podróży Centrkurort, jedno z najprężniejszych w obsłudze migrantów, podlega bezpośrednio administracji prezydenta

Lista krajów, z których pochodzą migranci, jest jednak dłuższa. Anna Alboth podkreśla, że w 2024 r. odnotowano ich co najmniej 60. Co więcej, od momentu wybuchu kryzysu migracyjnego na granicy polsko-białoruskiej zmieniają się proporcje. W 2021 r., zauważa Alboth, największą grupę migrantów stanowili obywatele Iraku.

Trzy lata temu, pod wpływem presji międzynarodowej, Bagdad zdecydował się zawiesić bezpośrednie loty na Białoruś, ale nie rozwiązało to kryzysu. Białoruski reżim błyskawicznie zwiększył liczbę tanich połączeń z Damaszku, Bejrutu, omańskiego Maskatu, Stambułu i Dubaju. W kolejnych latach w lasach na granicy przeważały osoby z państw afrykańskich. Dzisiaj znów można mówić o przewadze liczebnej Afgańczyków i Syryjczyków.

Z czego wynikają te zmiany? Moi rozmówcy twierdzą, że z ustaleń na najwyższych szczeblach władz. „W pewnym momencie okazuje się, że z danego kraju nie tylko realizowane są dodatkowe loty, ale i że wprowadzone zostały ułatwienia w przepisach wizowych albo wręcz zniesiono obowiązek wyrabiania dokumentów. Nie ma mowy o tym, że którakolwiek ze stron jest nieświadoma, czym to skutkuje” – tłumaczy Alboth.

W całym procederze kluczową rolę odgrywają agencje przemytnicze, które wykorzystują każdą okazję, by otworzyć nowe rynki. Aktywiści Grupy Granica informowali, że w krajach, z których najczęściej przybywają migranci, powszechne stały się wycieczki opisywane przez przemytników na forach internetowych jako „Kilka dni w Europie” lub „Europejskie wakacje”.

Oferta „all inclusive” nie obejmuje jednak urlopu w luksusowym hotelu i darmo-

wych drinków, tylko przelot i „umożliwienie szybkiego, łatwego i bezpiecznego odwiedzenia Europy”. Koszt? Od trzech do kilkunastu tysięcy dolarów.

Litewska redakcja LTR i białoruski oddział rosyjskiego niezależnego portalu Mediazona opisywały, że przemytnicy obiecują potencjalnym klientom nie tylko podróż do Europy, ale i pomoc w utrzymaniu zezwolenia na pobyt czy pracę. Tacy agenci twierdzą, że ich działalność jest w pełni legalna i że decydujący się na współpracę klient nie łamie żadnych przepisów. Ludzie marzący o Europie nie wahają się więc zapłacić nawet kilkanaście tysięcy dolarów, wierząc, że kupują szansę na lepsze życie w UE. Wiele zaczyna w to wątpić dopiero w momencie, kiedy zostaną boleśnie skonfrontowani z rzeczywistością.

Tak było w przypadku 23-letniego Jaspreeta Singha, obywatela Indii, który wiosną ubiegłego roku nieomal stracił życie, próbując przedostać się z Białorusi najpierw na Litwę, a później do Polski. „Nowa Gazeta Państw Bałtyckich” opisała, że mężczyzna został oszukany przez „agenta turystycznego”, który za 15 tysięcy euro obiecał pomoc w uzyskaniu wizy Schengen i dostaniu się do Niemiec.

Podróż miała składać się z kilku etapów. Jaspreet był przekonany, że najpierw przyleci z grupą sześciu innych Hindusów do Moskwy, z którymi następnie uda się taksówką do Mińska, a stamtąd, w ten sam sposób, do Berlina. Ku jego zdziwieniu, przysłany przez „agenta turystycznego” taksówkarz nie zawiózł ich do Niemiec, tylko do przygranicznego lasu. „Europa jest tam. Jak przejdziecie granicę, to będzie na was czekać druga taksówka” – rzucił na pożegnanie kierowca.

Mężczyźni szli i szli, aż w końcu na ich komórki zaczęły przychodzić wiadomości, informujące o zmianie strefy roamingowej. „Witamy na Litwie”. Chwilę później stanęli przed wysokim płotem zabezpieczonym kilkoma rzędami drutu kolczastego. „Agent”, do którego usiłowali się dodzwonić, nie odbierał i nie odpowiadał ani na wysyłane prośby, ani na groźby.

Krótko potem mężczyzn zatrzymała białoruska straż graniczna. „Zniszczyli nam telefony, pobili i kazali iść na Litwę, grożąc karabinami”, relacjonował Jaspreet. W ten sam sposób Hindusów mieli potraktować kolejno litewscy, polscy i łotewscy pogranicznicy, by wymusić powrót niechcianych gości na stronę białoruską. Tam zaś czekał już na nich Białorusini, którzy przewozili ich w inne miejsce i znów zmuszali do przekroczenia granicy z którymś z państw UE.

Gehenna skończyła się po dwóch tygodniach: za kolejnym razem, widząc odmrożenia wskazujące wręcz na konieczność przeprowadzenia amputacji, Łotysze zdecydowali się już nie odsyłać Hindusów na Białoruś. „Teraz rozumiem, że nasz agent to tak naprawdę oszust, który od samego początku wiedział, że wysła nas do tego straszego lasu. I wiem, że z Indii można wyjeżdżać tylko, jeśli już ma się wizę” – podsumował 23-latek w wywiadzie.

Z podobnymi komunikatami coraz częściej można zetknąć się na arabskojęzycznych stronach. Ishtar on Migration and Asylum, duża międzynarodowa społeczność arabskojęzyczna, publikuje m.in. raporty o śmierci migrantów, w tym dokumenty białoruskiej Straży Granicznej. „Białoruś to najniebezpieczniejsza trasa zimą”, „Widziałem na własne oczy, jak ludzie ginęli po przybyciu na granicę Europy. 90 procent zgonów ma miejsce po przyjeździe. Przysięgam, jeśli ludzie tam dotrą, zostaną okaleczeni”, „Te miejsca są zimne, pokryte śniegiem, a patrol graniczny stosuje niehumanitarne środki” – komentują je użytkownicy serwisu.

W internecie można znaleźć jednak nie tylko pojedyncze historie czy przekazywane dalej opowieści znajomych, ale i bardzo konkretne dane, które teoretycznie powinny zrobić wrażenie na potencjalnych migrantach. Helsińska Fundacja Praw Człowieka informowała jesienią, że od sierpnia

02

• PROC. MIGRANTÓW
dociera na Białoruś przez Rosję

01

• PROC. MIGRANTÓW
za główny powód podróży do Europy podaje przyczyny ekonomiczne

24

• PROC. MIGRANTÓW
deklaruje, że opuściło ojczyznę z powodu represji i przemocy

01

• PROC. MIGRANTÓW
wyjaśnia, że wyjechało z powodu wojny lub konfliktu zbrojnego w ich kraju

CO NAJMNIEJ

60

• OSÓB
zmarło na granicy polsko-białoruskiej od sierpnia 2021 r. według Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka

2021 r. na granicy polsko-białoruskiej zmarło co najmniej sześćdziesiąt osób. „Liczba ta może być większa, bo wiele rodzin zgłasza organizacjom i osobom udzielającym pomocy humanitarnej na pograniczu zaginięcia swoich bliskich” – czytamy w komunikacie.

Mimo to, jak opowiadają byli białoruscy milicjanci z Bypolu, do przygranicznych lasów migranci są nadal regularnie przywożeni. Zdaniem Azarowa może być ich nawet kilka tysięcy. „Rozumiem, że na początku ci ludzie mogli nie wiedzieć, że przekroczenie granicy będzie trudne.

Wiem, że wielu z nich nie była nawet świadomych, jaki klimat panuje w Polsce i Białorusi, czyli że może być po prostu bardzo zimno. Ale przecież teraz powinno już to do nich dotrzeć. Dlaczego nadal tak ryzykują? Tego nie mogę pojąć” – mówi mi białoruska aktywistka, która ze względów bezpieczeństwa prosi o anonimowość.

Takiego pytania nie zadaje sobie ani migrantom Anna Alboth, która od lat nie tylko pomaga ludziom w drodze, ale i bada zjawisko migracji na całym świecie. Jej zdaniem szlak do Europy przez Białoruś jest nie tylko jednym z najtańszych, ale i najbezpieczniejszych.

Między wygodnym lotem do Moskwy i następnie kilkoma czy nawet kilkunastoma dniami w lesie a wielodniową podróżą przez Libię czy kraje Maghrebu, a następnie Morze Śródziemne jest różnica. Owszem, na szlaku białorusko-polskim migrantom grozi pobicie przez pograniczników, odwodnienie, pokaleczenie o koncertinę czy komplikacje w razie wypadku lub choroby w guszy. Ale lepsze to niż niemal pewne okradzenie i gwałt na szlaku afrykańskim czy odepchnięcie z powrotem w morze przez turecką lub grecką straż graniczną na szlaku tureckim.

Ryzyko śmierci na granicy białoruskiej też jest dużo mniejsze niż utonięcia na przepelnionej łodzi na Morzu Śródziemnym. A jeśli wyratuje cię statek jakiejś organizacji pozarządowej albo dopłyniesz do Włoch, na długie miesiące wylądujesz w zamkniętym obozie. Na wschodniej granicy Unii – jeśli pechowo nie natkniesz się na patrol Straży Granicznej, masz niemal gwarancję, że za dzień-dwa będziesz bezpiecznie w Niemczech.

„Migranci wiedzą, że mają bardzo duże szanse, że im się powiedzie. Poza osobami, które zmarły, wszystkim się udało: przedzej czy później” – kwituje Alboth. I wyjaśnia, że większości osób, które znalazły się na granicy polsko-białoruskiej, udaje się ją stosunkowo szybko i łatwo ją przekroczyć. Tyle że o nich – zgodnie z naturalną zasadą, że dobra wiadomość to nie wiadomość, newsem jest wypadek, tragedia, nieszczyćście – nie słyszymy. „Do aktywistów z prośbą o pomoc zwracają się ci, którzy mieli pecha: nie zdołali przejść przez płot, zostali zauważeni przez straż graniczną, która zabrała im telefony i rzeczy, wpadli w bagna, zachorowali albo doznali w lesie innych urazów”.

A co z agresją i przemocą, której niektórzy migranci dopuszczają się wobec pograniczników i żołnierzy? Moi rozmówcy z organizacji humanitarnych i białoruskich służb przypominają, że wśród migrantów po prostu zdarzają się bardzo różni ludzie. Zwracają jednocześnie uwagę, że często ustalenie, kto jest odpowiedzialny za konkretny atak: czy migrant, czy człowiek zwerbowany do pracy dla służb Łukaszenki, jest niemożliwe.

Zdarzają się jednak i inne sytuacje. – Przemoc, gwałt i groźby to narzędzia, które służby wykorzystują, by zmusić migrantów do określonych działań.

Zdarza się, że grożą ludziom zgwałceniem ich żon, jeśli nie będą, dajmy na to, rzucać kamieniami w strażników” – opowiada Anna Alboth. – Pracowałam na wielu granicach. Nie znam uchodźców, którzy stosowaliby przemoc, jeśli nie są do tego zmuszeni. Przejawianie agresji nie jest w ich interesie.

Wyparta czystka etniczna

BO TO PRAWOSŁAWNI BYLI



Znajomy z Białostocczyzny z przejęciem opowiadał mi o różnicach anatomicznych między Polakami katolikami i „kacapami”.

Z ANETĄ PRYMAKĄ-ONISZK
ROZMAWIA TOMASZ ŻUKOWSKI

TOMASZ ŻUKOWSKI: Kiedy byłem chłopcem, ojciec pokazał mi w Kuźnicy człowieka i powiedział, że to on zabił Aleksandra Kuryłę, twojego dziadka. Ta historia była z nami od zawsze. Co się wydarzyło?

ANETA PRYMAKA-ONISZK: W maju 1945 roku nocą do domu moich dziadków w Łosośnie Wielkiej pod Kuźnicą w powiecie sokólskim przyszedł uzbrojony oddział. W izbie byli dziadek Aleksander Kuryło, babcia Ola i dzieci: 11-letnia Luda, niepełna dwuletni Sławek oraz moja dziewięciomiesięczna mama. Oprócz nich jeszcze Alutka, matka Oli. Babcię odciągnęli, każąc prowadzić się na strych, a dziadkowi rozkazali: „Kładź się, bo będziem bić!”. Z bliska oddali dwa strzały: w głowę i w pierś. Wychodząc, kazali babci w ciągu trzech dni „wybrać się do raju”, czyli do Związku Radzieckiego.

Ciocia Luda opowiadała mi o tym ze szczegółami: że podbiegła do ojca i wtuliła się w niego, ale któryś z uzbrojonych mężczyzn złapał ją i odepchnął z taką siłą, że upadła na ścianę. Dzieci, które rozpaczliwie próbują ratować rodziców, to potwarzający się motyw w relacjach o podobnych zbrodniach.

Tej nocy ci sami sprawcy zamordowali w Łosośnie jeszcze trzy osoby z rodziny Czeremchów. Gospodarze: Anna i Józef, zginęli w swoim domu na oczach kilkuletnich dzieci po długotrwałych torturach. Do dziś się opowiada, że kobiety, które następnego dnia przyszły się zająć ciałami, krew z podłogi zbierały miseczką. Najstarszego syna, 18-letniego Tolika, nie było w domu; zastrzelono go przy szosie, gdzie młodzi zbierali się wieczorami i rozmawiali.

Próbowano jeszcze zabić Jurgielę – jego imienia nikt już nie pamięta – gospodarza z drugiej strony szosy, ale on, jak wiele osób w tamtym czasie, nocował w stodole i zdążył uciec w pole. Już nie wrócił do

domu, wyjechał do ZSRR w ramach „wymiany ludności”, a rodzina po cichu do niego dołączyła.

Kiedy pytałam, dlaczego to się stało, słyszałam: bo byli prawosławni.

O Jurgielu opowiadał u moich rodziców któryś z sąsiadów. Z jego ucieczki w tamtą noc wyciągnął wniosek, że musiał być winny. „Musiał mieć coś za uszami”. Inaczej przecież by nie uciekał. To był już XXI wiek. Siedzimy przy stole, rozmawiamy. Uświadomiłem sobie, że sposób myślenia o prawosławnych, który doprowadził do zbrodni, jest wciąż żywy. – W oczach katolickiej większości to ofiary są winne i gorsze. Wydaje mi się, że to przekonanie nasiliło się jeszcze w ostatnich latach wraz z kultem „żołnierzy wyklętych”. Pojawia się nawet w opowieściach tych, którzy potępiają tamtą zbrodnię. Choć też wiele starszych osób z okolicznych katolickich wsi, ścisząc głos, mówiło mi, że nie było realnego powodu tych zabójstw.

Pokazujesz, że to była czystka etniczna. Zasada czystki etnicznej jest prosta: zabijasz przypadkowych ludzi, a strach zmusza innych do ucieczki.

– Morderstwa cywilów, nocne najścia, rabunki i pobicia to powszechna opowieść o powojennym czasie wśród prawosławnych na całej Białostocczyźnie. Znam to nie tylko z rodzinnych historii z Łosośny. Przez kilka lat zbierałam opowieści z całego województwa, analizowałam dokumenty w archiwach.

Najbardziej tragiczne historie pochodzą z krańców polsko-białoruskiego styku, gdzie ludność prawosławna stanowiła mniejszość skupioną w kilku wsiach albo rozproszoną po okolicy, była więc właściwie bezbronna. Tam, gdzie była w większości, na przykład pod Gródkiem czy Bielskiem, było względnie bezpiecznie.

Ten styk to obszar układający się w kształt rogala. Zaczyna się na północy od gmin Nowy Dwór i Dąbrowa w powiecie sokólskim, idzie na zachód, okrążając Białystok, i skręca na południe, biegnie dalej

wzdłuż rzeki Narwi przez Choroszcz, Topilec, Suraż, Kożany i Wyszki do zachodnich części powiatu bielskiego, przez Brańsk i Grodzisk do Drohiczyzna. Tu znów zakręca, by przez Mielnik i Klukowicze wrócić do wschodniej granicy. Wszędzie tam działy się podobne rzeczy.

Na przykład w Sypniach Nowych w styczniu 1945 r. uzbrojony oddział uprowadził pięciu gospodarzy: Pawła i Bazylego Skorbiłowiczów, Grzegorza Bieleckiego oraz Aleksego Syczewskiego i jego brata Władysława. Nigdy nie wrócili, nie odnaleziono też ciała. Michał Babulewicz z tej samej wsi wybrał się furmanką do sąsiedniej miejscowości i zniknął po drodze. Jego syna Romana zabito kilka miesięcy później, kiedy pracował w polu. Uzbrojone grupy nocami rabowały gospodarzy, zdarzały się pobicia, łamanie rąk i nóg. Przemocy towarzyszył przekaz: wynoście się na radziecką Białoruś. „Do rajul”. I ludzie zaczęli uciekać. Po żniwach 1945 r. w Sypniach Nowych pozostała tylko jedna prawosławna rodzina.

Niektóre prawosławne parafie niemal zniknęły: na przykład w Topilcu po serii zabójstw z 1300 osób pozostało 200. W Choroszczy z 700 parafian – 262. W sumie w ramach „wymiany ludności” z Polski wyjechało ponad 36 tysięcy dotychczasowych obywateli.

Jak reagowały na to polskie władze?

– Za bardzo nie reagowały. Były zajęte walką o utrzymanie władzy, a w kwestii mniejszości interesy władz i podziemia się spotkały. Jedni i drudzy chcieli budować państwo jednonarodowe. 9 września 1944 r., niewiele ponad miesiąc po przejściu przez te ziemie frontu, rząd Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego podpisał z Białoruską Socjalistyczną Republiką Radziecką umowę o „wymianie ludności”. Polacy z tamtej strony granicy mieli przyjechać do Polski, a Białorusini stąd wyjechać na wschód.

Jako kryterium przyjęto wyznanie. Gdyby wziąć pod uwagę język, powinny wyjechać także katolickie wsie wokół Łosośny i wiele innych na Sokólszczyźnie, np. rodzi na ks. Popieluszki spod Suchowoli. Mówili przecież po białorusku.

Na prawosławne wsie ruszyli radzieccy agitatorzy. Tym, co wyjadą, obiecywano ziemi tyle, ile kto zechce, nowe domy, bezpłatne szkoły dla dzieci. Istny raj. Ale prawosławni nie chcieli nigdzie jechać. „Wymiana ludności” ruszyła, dopiero gdy do akcji wkroczyło polskie podziemie. Poza zabójstwami, biciem, rabunkami rozrzucano ulotki nakazujące wyjazd „do rajul”.

Jak to się dzieje, że przekonanie o obcości prawosławnych wciąż trwa?

– Całą lokalną historię opowiada się tak, że prawosławny, Białorusin, „kacap” staje się obcym. Mimo że jest to rdzenna ludność, która zasiedliła pojaćwieskie ziemie w czasach Wielkiego Księstwa Litewskiego. Pod Kuźnicą np. opowiada się mit, że prawosławnych osadził na tych ziemiach car po klęsce powstania styczniowego. Miał ich przywieźć z Uralu.

Słyszałem to od dziecka!

– Bo jesteś z katolickiej części rodziny. Musimy wyjaśnić czytelnikom, że siostra mojej mamy – ciocia Luda – wyszła za brata twojego ojca. On katolik, ona prawosławna. Ty słyszałeś mit o sprowadzeniu prawosławnych zza Uralu, choć urodziłeś się w Warszawie i do Kuźnicy przyjeżdżałeś tylko na wakacje. A ja, choć tu od początku mieszkałam, musiałam się do niego włamać. W moim otoczeniu nie funkcjonował. Mitologie tych dwóch grup się nie przenikają, nie opowiada się ich sobie nawzajem. Zanim więc poszłam do mieszkających wokół Łosośny katolików, nie słyszałam o tym.

Rozmówcy opowiadali mi o wielkiej bitwie pod Czuprynowem. Rosjanie mieli ściągnąć 40 tysięcy wojska, żeby poradzić sobie z tutejszym powstańczym oddziałem.



I że po klęsce nie tylko rekwirowano majątki szlachty, ale też wywieziono wszystkich katolików, a na ich miejsce sprowadzono prawosławnych. Kiedy jednak sięgnęłam do źródeł i prac naukowych – a temat jest naprawdę porządnie opracowany – okazało się, że żadnej bitwy nie było. Ani wielkiej, ani nawet małej.

Tato opowiadał, że jeszcze w latach 30. katolicki ksiądz w Kuźnicy mówił na kazaniach, żeby zdejmować ze ścian carskie dyplomy za wyłapywanie powstańców. Czuł potrzebę, żeby zrobić z parafian Polaków, bo najwyraźniej jeszcze nimi nie byli.

– I trzeba było wymyślić historię pasującą do nowej tożsamości. Zrobiono to kosztem prawosławnych, na których przeniesiono piętno obcości.

Popowstaniowe rekwizycje nie były tak częste, jak się powszechnie opowiada, dotyczyły zwykle części majątku, np. jednej szóstej. I nie tylko one odpowiadały za kryzys ziemianstwa, ważne było też zniesienie pańszczyzny czy konkurencja taniego zboża amerykańskiego.

Pod koniec XIX wieku majątek w Łosośnie zbankrutował i trafił w ręce niejakiego Słomki, później kupiła go hrabina Bogolubowa. Podzieliła część majątkowych ziem i sprzedawała po kawalku. Wtedy sprowadzili się tu moi pradziadkowie. Przyjechali nie z Uralu, ale z bliskiej okolicy: pradziadek Szymon Kuryło z nieistniejących już Krynek Białostockich, a prababcia Maria z Bilminów urodziła się kilka kilometrów od Łosośny.

Inni osadnicy: Korneje, Sadowscy, Sawiccy czy Sawonie, pochodzili z sąsiedniej gminy Szudziałowo. Nie dostawali pieniędzy od cara, kupili ze swoich oszczędności i z kredytu Banku Wileńskiego, który niektórzy spłacali jeszcze przed II wojną światową.

Z rzekomym rosyjskim pochodzeniem prawosławnych wiąże się inne mity. Na przykład, że mówią czystą ruszczyzną i inaczej wyglądają – są ponoć potężniejsi. Oba naznaczają obcością ludzi, którzy byli tu od zawsze i niczym poza wyznaniem się nie różnią. O tych anatomicznych różnicach z przekonaniem opowiadał mi znajomy wujka Sławka, a o wujku naprawdę nie można powiedzieć, że jest potężny...

Podobnie z językiem. Jeszcze do niedawna niemal wszyscy tu, jak w innych wsiach w okolicach Sokółki, mówili po białorusku, i katolicy, i prawosławni. Gdy przychodziłam do starszych ludzi i pytałam, w jakim języku wolą porozmawiać, mówili, że po polsku – białoruskiego nie znają, ale im bardziej wracaliśmy do cza-

▼ **Olga i Aleksander Kuryłowie, koniec lat 30.**

▲ **Wiera Matejczuk z uczniami białoruskiej szkoły w Grabowcu nieopodal Puszczy Białowieskiej, 1918–19. Niepodległa Polska zlikwidowała białoruskie szkolnictwo na Białostocczyźnie**

▼ **Józef Chomczyk w mundurze Białoruskiej Komisji Wojskowej, 1919–20**

FOT. ARCHIWUM ANETY PRYMAKI-ONISZK (3)

Całą lokalną historię opowiada się tak, że prawosławny, Białorusin, „kacap” staje się obcym. Mimo, że jest to rdzenna ludność, która zasiedliła pojaćwieskie ziemie w czasach Wielkiego Księstwa Litewskiego

▼ **Młodzież z Łosośny gra w palanta przed domem Kuryłów, lata 50.** FOT. JAN ZUKOWSKI



sów ich młodości, tym częściej wtrącali zwroty typu „a kab jeho chalera uziął!”, czasem cała opowieść zaczynała płynąć w tym języku. Takim samym u prawosławnych i u katolików. Z tym że, aby uciec od kłopotliwej białoruskości, nazywa się ten język „prostym”.

Pewien starszy mężczyzna, strażnik polskiej pamięci, opowiadał, jak tuż po wojnie pojechał uczyć się do Białegostoku. Był ambitny i zdolny, główną przeszkodą edukacyjną było to, że nie znał polskiego. Zawział się, uczył nocami i zrezygnował z przyjazdów do domu, bo bał się, że znów zacznie mówić jak wszyscy wokół i straci swój polski. Gdy w końcu przyjechał, mówił wyłącznie po polsku, choć nie bardzo go rozumiano.

A co się wydarzyło w czasie wojny, za władzy radzieckiej?

– Co się wydarzyło, to jedno, a jak się o tym powszechnie opowiada, to drugie. Mój dziadek był sekretarzem miejscowego sielsowietu, czyli rodzaju gminnej rady. W oficjalnej wersji był „działaczem komunistycznym zlikwidowanym przez niepodległościowe podziemie”.

Ludzie w okolicy powtarzają, że w sielsowiecie byli sami prawosławni, i to tylko ci, których zabito w Łosośnie. Kiedy pytałam, czym sobie na taką zemstę zasłużyli, nikt nie umiał nic konkretnego powiedzieć. Wspominano o wywózkach na Sybir, ale z sielsowietu wolkuszańskiego składającego się z 16 wsi, gdzie mój dziadek był sekretarzem, wywieziono trzy rodziny. Obok, w sielsowiecie kuźnickim – 11 rodzin, a mimo to tam potem do nikogo nie strzelano.



Listy do wywózek znacznie wcześniej przygotowało NKWD i sielsowiet nie miał tu wiele do gadania.

Kiedy dowiedziałem się od ciebie, że mój dziadek też był członkiem sielsowietu, osłupiałem. Mam już swoje lata, godzinami rozmawialiśmy o dawnych czasach nie tylko z tatą, ale i z jego rodzeństwem, i nigdy nikt mi o tym nie powiedział!

– W archiwum w Grodnie znalazłam protokoły z 1940 r. W obu sielsowietach – wolkuszańskim, gdzie był mój dziadek, i w kuźnickim, gdzie był twój – byli zarówno prawosławni, jak i katolicy. I to ludzie szanowani, z pozycją. Tylko że potem katolikom nie spadł włos z głowy i dalej mogli zajmować pierwsze ławki w kościele.

W białostockim IPN Bogdan Garkowski, lokalny miłośnik historii, zdeponował notatki dotyczące najnowszej historii okolicy. Píše w nich o „likwidacji w Łosośnie działaczy komunistycznych z pierwszego sowieta”, przypisując ją miejscowemu oddziałowi podziemia. To jedyny zapis dotyczący powodów zabójstwa mojego dziadka, jaki udało mi się znaleźć. W 1945 r. Milicja Obywatelska i Urząd Bezpieczeństwa sporządziły rutynowe notatki po zabójstwie, potem nie były zainteresowane szukaniem morderców. W protokołach przesłuchań członków lokalnego podziemia śledczy wciąż pytają o zabitych funkcjonariuszy i urzędników, a o zbrodni w Łosośnie nawet nie wspominają. Po 1989 r. też nikt do sprawy nie wrócił.

Gdy zapytałam Garkowskiego, co konkretnie zarzucano mojemu dziadkowi, wzruszył ramionami. Należał do sielsowietu, więc był działaczem komunistycznym. Tyle że jego ojciec Władysław Garkowski też należał do sielsowietu: kuźnickiego, w którym był razem z twoim dziadkiem. Pan Bogdan poświęca ojcu jedną z kart w notatkach, gdzie występuje on jako bohater wojny polsko-bolszewickiej. O sielsowiecie nie ma ani słowa. Pokazałam mu znalezione w Grodnie dokumenty z nazwiskiem jego ojca i zapytałam, czy też był „działaczem komunistycznym z pierwszego Sowietu”. Zachnął się. W żadnym wypadku, jego ojciec nie był komunistą! Z pewnością został do sielsowietu wciągnięty siłą!

Przed wojną też nie chciano w Polsce prawosławnych.
– Pracując nad książką, odkryłam historię Józefa Chomczyka, najstarszego brata babci Oli. W rodzinie opowiadano, że odniósł sukces: przed wojną był majorem wojska polskiego, ożenił się z córką pro-

fesora, mieszkali w Grodnie, a gdy jechał do rodziny w Surazkowie, zatrzymywał się w Łosośnie, by odwiedzić babcię. Babcia przechowywała jego wojskowe zdjęcia. Gdy zapytałam o niego najstarszych ludzi z Surazkowa, mężczyzna z rocznika 1930 wykrzyknął: „Dziadzia major!”, z akcentem na „o” (dziadzia, czyli wujek) i zaczął naśladować jego wojskowy krok. Przez myśl mi nie przeszło, że opowieść o majorze wojska polskiego nie ma nic wspólnego z prawdą.

Zastanawiały mnie emocje, z jakimi opowiadano o „Dziadzi majorze”. Występował zawsze w tandemie z kapitanem Stanisławem Bilminem, który mieszkał nieopodal w dworku w Łosośnie Małej, miał pole po sąsiedzku, a przez żonę był spowinowacony z dziadkiem Aleksandrem. Bilmin był hallerczykiem, uczestnikiem wojny polsko-bolszewickiej odznaczonym Orderem Virtuti Militari i zginął w Katyniu. Dziś uznawany jest za bohatera: ma w Kuźnicy ulicę swojego imienia i pamiątkową tablicę. Do tego – powtarzała babcia i ciocia Luda – tuż przed wojną darowano mu długą, więc dwór w Łosośnie, choć miał być licytowany, pozostał w rodzinie. A o Józefie Chomczyku, choć też był wysokiej rangi wojskowym i zginął w Katyniu – mówiono – zupełnie zapomniano.

Zacząłam sprawdzać w dokumentach. Byli rówieśnikami: Bilmin – rocznik 1896, Chomczyk – 1895, i ich biografie wojskowe zaczynają się podobnie. Po wybuchu I wojny światowej trafili do armii rosyjskiej, a że obaj byli wykształceni, skierowano ich na kursy oficerskie. Na jednym z nich, w Oranienburgu, mogli się nawet spotkać. Obaj okazali się zdolnymi żołnierzami i szybko awansowali, zostali nawet odznaczeni tymi samymi orderami: św. Anny i św. Stanisława.

Potem ich losy potoczyły się inaczej. Kapitan Bilmin trafił na front w Tesalonikach, skąd przedostał się do Francji i do Armii Hallera, z którą wrócił do Polski. Józefa Chomczyka – wtedy sztabskapitana – rewolucja zastała w Rosji. Porzucił mundur i przyjechał w rodzinne strony. I tu zaczyna się historia, o której się milczy.

„Dziadzia major” zaangażował się w tworzenie wojskowych struktur Białoruskiej Republiki Ludowej, utworzonej pod niemieckimi auspicjami.

Trzeba pamiętać, że Białostoczczyzna pozostawała do wiosny 1919 r. w rękach niemieckich i jej przyszłość nie była tak oczywista, jak nam się dziś wydaje. Gdy została zajęta przez polskie wojsko, część białoruskich żołnierzy, w tym Józefa, aresztowano. Potem rozpoczęły się rozmowy o utworzeniu białoruskich oddziałów w ramach polskiej armii, mówiło się o federacyjnej, wielonarodowej Polsce. Powstała Białoruska Komisja Wojskowa, Chomczyk został adiutantem pułkownika Hassana Konopackiego, jej dowódcy. Oddziały te wykorzystano wkrótce w wojnie polsko-bolszewickiej. Wszystko wskazuje na to, że potem brał udział w zajęciu Wilna pod rozkazami generała Żeligowskiego, po czym prawdopodobnie znów go internowano, a pieczętka na jego dokumentach informuje, że nie został przyjęty do wojska polskiego.

Kłeska idei białoruskiej niezawisłości była osobistą klęską Józefa. Nie wiem, co tak naprawdę robił w 20-leciu. Ponoć mieszkał w Grodnie, ale szukał posady w nadleśnictwie w Supraślu i próbował żyć z łowienia ryb w Sokoldzie. W 1939 r. brał udział w obronie Grodna. Tu jego losy znów splotły się z losami Bilmina. Zatrzymało go NKWD i ślad po nim zaginął. Prawdopodobnie rozstrzelano go w Kuropatach, gdzie leżą tysiące bezimiennych ofiar NKWD.

Czyli „Dziadzia major” nigdy nie nosił polskiego munduru!

– Nigdy, choć większość ludzi go tak pamięta. Pamięć o polskim majorze, poza niespełnionym marzeniem o równości, była bezpieczniejsza niż prawda.

Trudno dziś do niej dotrzeć. Pokazałam kiedyś zdjęcie Józefa Chomczyka urodzonej w 1929 r. w Surazkowie kobiecie, która natychmiast go rozpoznała. „On siedział w więzieniu razem z moim dziadkiem” – powiedziała. Jej dziadek był gajowym, po nastaniu polskiej władzy został aresztowany i uwięziony, a potem zniknął i do dziś nie wiadomo, co się z nim stało.

Nigdy nie słyszałem o tym ani słowa. Od ciebie dowiedziałem się o białoruskich szkołach, które organizowały Wiera Matejczuk czy Maria Jaroszewicz i które zlikwidowano zaraz po tym, co nazywamy odzyskaniem niepodległości. Teraz uświadamiam sobie, że w moim otoczeniu było nie do pomyślenia, że wśród prawosławnych mogły być nauczycielki-silaczki albo wysocy rangą oficerowie. Nigdy nie słyszałem w Kuźnicy o pochodzącym z tych okolic Jazepie Waronce, pierwszym premierze pierwszego państwa białoruskiego.

– Bo to jest właśnie ta wypierana, gumkowana przez większość historia mniejszości. Możemy istnieć jako bezimienni chłopcy w lipowych łapciach albo folklor estradowy. Nie ma miejsca na prawdziwą historię, całe dziedzictwo tych ziem. Im bardziej jest ono ruskie – od Rusi, nie Rosji – tym bardziej jest zastępowane opowieścią o „odwiecznej polskości”.

Spójrz, co mówi przestrzeń tutejszych miast i miasteczek dzisiaj. W Sokółce stoi wprawdzie pomnik Pięciu Kultur Sokólszczyzny, ale to fasada. W przestrzeni dominuje jedna – polska – i to w martyrologiczno-nacjonalistycznej wersji: ręce spętane drutem kolczastym, górujące nad uczęsz-

czanym rondem, krzyże sybirackie i katyńskie owinięte łańcuchami, murale poświęcone tutejszym „wykętym” z cytatem: „Idź wyprostowany wśród tych, co na kolanach”. Opowieść o innych kulturach nie może kwestionować tego obrazu.

Ogarnia mnie strach, jak na to patrzeć.

– Oczywiście. Zwłaszcza w sytuacjach napięcia, odradzającego się nacjonalizmu, odzywa się lęk, że przemoc powróci. Pamiętam reakcje mamy i babci, kiedy w latach 80. zaczęła się „Solidarność”. W miastach na drzwiach prawosławnych mieszkańców pojawiły się krzyżyki i ludzie byli pewni, że to przygotowanie do czystki. Gdy zaraz potem zaczęły płonąć cerkwie: w Jacznie, Czyżach, wreszcie na Grabarce, odczuwano to jak zapowiedź powtórki z lat 40.

Ironia całej tej historii polega na tym, że ludzie tacy jak dziadek Aleksander włożyli wiele wysiłku w to, by znaleźć sobie miejsce w polskim otoczeniu. Aleksander Kuryło zwracał się do Ludy, najstarszej córki, po polsku, choć wszyscy w domu rozmawiali „po prostu”. Miało to jej ułatwić start w szkole, ale rówieśnicy patrzyli na nią krzywo, bo nie potrafiła mówić tak jak wszyscy tutaj. ●



FOT. AGATA GRZYBOWSKA / AGENCJA WYBORCZA.PL

Aneta Prymaka-Oniszk

• reporterka, pisarka. Autorka książek **„Bieżeństwo 1915. Zapomniani uchodźcy”** i właśnie wydanej **„Kamienie musiały polecieć. Wymazywana przeszłość Podlasia”** (obie dostępne w dobrych księgarniach i w formie e-booka oraz audiobooka na Publio.pl). Za „Bieżeństwo 1915” otrzymała Nagrodę Literacką im. Wiesława Kazaneckiego, była też finalistką Nagrody im. Ryszarda Kapuścińskiego, Nagrody Historycznej „Polityki” oraz Nagrody Kazimierza Moczarskiego. Prowadzi stronę internetową bieżenstwo.pl.



FOT. ADAM STĘPIEN / AGENCJA WYBORCZA.PL

Tomasz Żukowski

• pracuje w Instytucie Badań Literackich PAN, zajmuje się literaturą współczesną i pamięcią o Zagładzie. Autor książek „Wielki retusz. Jak zapomnieliśmy, że Polacy zabijali Żydów” (2018) i „Pod presją. Co mówią o Zagładzie ci, którym odbieramy głos” (2021).

Książka „Kamienie musiały polecieć. Wymazywana przeszłość Podlasia” dostępna w dobrych księgarniach i w formie e-booka oraz audiobooka na Publio.pl.

Anna Zaleska

W czasie kilku dni w pierwszej połowie czerwca, kiedy pracowałam jako wolontariuszka na granicy z Białorusią, minimum jedna trzecia wniosków o objęcie ochroną międzynarodową (co najmniej dziewięć na ok. 32) zakończyła się pushbackiem z placówki SG. Tak wynika z szacunków zespołu niosącego na granicy pomoc humanitarną. Wynika z nich również, że w tym okresie większości dokonała placówka Straży Granicznej w Białowieży.

– Wracamy do sytuacji z 2021 r., a może nawet bijemy właśnie rekord w bezprawiu. A był moment, kiedy nie było idealnie, ale częściowo zadziałały legalne ścieżki – mówi mi Joanna Sarnecka, antropolożka kultury, aktywistka graniczna i praw człowieka.

Uczę się grać, choć nie chcę

Mózg podsuwa mi porównania z grą, gdy myślę, jak opisać to, czego doświadczyłam na granicy. Z serialem „Westworld”, który toczy się w gigantycznym parku w stylu Dzikiego Zachodu stworzonym na potrzeby realistycznej gry, gdzie nie obowiązują żadne zasady i hamulce (można tam zabijać, gwałcić i torturować). Chodzi nie tylko o brak reguł i stosowane arbitralnie prawo.

Gdy z pięknej puszczańskiej ścieżki, na której mijam roześmianych rowerzystów, zanurzam się w las, w którym ktoś ledwo przeżył noc, bo wyziębł się w ulewę, to jakbym zmieniała lokację. Te dwa światy dzieli czasem tylko 100 m. Nie umiem ich złożyć w spójną opowieść o świecie. Pozostanę więc przy porównaniu do gry.

Postaci: **osoby w drodze**, migranci, osoby uciekające ze swoich krajów – Syrii, Jemenu, Somalii, Sudanu, Erytrei, Etiopii itd. – w poszukiwaniu nie tyle lepszego życia, ile najczęściej po prostu warunków do życia. Politycznie wykorzystywani przez reżimy białoruski i rosyjski do wybierania migracyjnego szlaku do Europy przez Białoruś. Ten szlak nie został wymyślony teraz. Teraz został jednak użyty w strategii wywoływania napięcia i destabilizacji na zewnętrznej granicy UE.

Służby (strażnicy graniczni, policjanci, wojskowi) mają jeden cel: nie wpuścić cudzoziemców do Polski. Narzędziem do tego jest np. pushback, czyli zawracanie przez granicę na stronę białoruską. Mają też supermoc, którą mogą stosować bez konsekwencji. Dał im ją premier: „Macie obowiązek używać wszystkich dostępnych wam metod. (...) A naszym zadaniem jest, żebyście mieli poczucie bezpieczeństwa prawnego i pełnej akceptacji”.

Osoby niosące pomoc humanitarną, aktywiści. Podstawowa pomoc to jedzenie, środki higieny, podstawowe leki i suche ubrania. W rozgrywce, w której stawką jest ochrona cudzoziemca na terytorium Polski (dla tych osób, które tego chcą), dokumentują, że dana osoba wyraziła chęć złożenia wniosku o ochronę międzynarodową (potocznie: azyl). Po co i jak to robią – za chwilę.

Instrukcja gry wynika bezpośrednio z przepisów dotyczących uchodźców. Cudzoziemiec musi się dostać się na terytorium Polski (nie muszę przypominać, że na granicy jest płot, który ma to uniemożliwić) i złożyć wniosek o ochronę międzynarodową. Wówczas trafia do ośrodka dla cudzoziemców. Złożenie wniosku odbywa się w placówce Straży Granicznej w obecności tłumacza. Ta część jest zamknięta, co tam się dzieje – nie wiemy.

Wiemy natomiast, że rośnie liczba cudzoziemców pushbackowanych już nie spod samego płotu na granicy, nie po kryjomu, ale z placówek Straży.

GRA W GRANICĘ

„Anya, zabierają mnie z powrotem na granicę.
Nie wiem dlaczego”.

Taką wiadomość dostałam od młodej Somalijki w środku nocy.



• 21 września 2021, żołnierze przejmują uchodźców z Afryki, których – wycieńczonych i w hipotermii – uratowali wolontariusze z Grupy Granica FOT. AGNIESZKA SADOWSKA / AGENCJA WYBORCZA.PL

Zanim więc cudzoziemiec trafi do placówki, aktywiści zbierają możliwie jak najwięcej potwierdzeń, że wyraził wolę ubiegania się o ochronę międzynarodową. I są to:

- podpisana przez cudzoziemca deklaracja, że chce złożyć wniosek o ochronę międzynarodową w jego języku (dla uniknięcia zarzutu, że nie zrozumiał, co podpisuje),
- pełnomocnictwo dla osoby z zespołu pomocy humanitarnej, które przynajmniej w teorii daje prawo do pozyskania informacji o losie cudzoziemca w placówce SG,
- film, na który konkretna osoba mówi, że chce uzyskać azyl w Polsce.

Nachodzi mnie zwątpienie, czy porównanie do gry to na pewno dobry zabieg stylistyczny. Pomagałam w lesie mężczyźnie, który był tak wyziębiony, że niemal nie było z nim kontaktu. Przytuliłam R. Pomagałam przebrać się innej kobiecie. Ale czy wy też pamiętacie, że to gra z prawdziwymi ludźmi?

Rentgen nadgarstka i do widzenia

R. mówi mi, że ma 15 lat. Jej mama w Somalii prowadziła edukację domową dla niej i innych dzieci. R. zna angielski i opowiada, że uwielbia literaturę, chce dalej się uczyć, nie chce młodo wychodzić za mąż. Ma marzenie: chce zostać pilotką. Ma też plan B: medycyna. Myślę, że wariant alternatywny jest równie trudny do spełnienia jak pierwszy, ale i tak się uśmiecham.

Grupę, z którą R. przedziera się przez las, spotykamy rano. Razem z R. są dwie inne Somalijki, 15-latką i dwudziestokilkulatka. Są przerażone. Tuż przed naszym przyjściem dostały wiadomość, że inni Somalijczycy, których poznały, właśnie zostali przepchnięci z powrotem przez granicę. Jedna z nich powtarza: nie możemy tam wrócić. Ale wypełniają deklaracje w sprawie wniosków o ochronę. I dzwonimy po strażników. Teraz mamy dużo czasu, nie możemy się przemieszczać z cudzoziemcami, a strażnicy zazwyczaj przyjeżdżają

po kilku godzinach. To moment względnie uspokojenia. Czas na rozmowy. Dopiero teraz dostrzegam, że R. jako jedyna ma na głowie kaptur, a nie chustkę, okazuje się, że zgubiła ją podczas skoku z płotu. Daję jej swoją, którą zgarnęłam, wychodząc do lasu w ostatniej chwili. Widać miała być dla R. Żartujemy. Wymieniamy się wiadomościami na Whatsappie.

Dwa dni później dostaję wiadomość po angielsku: „Hello Anya, It's me... They take me back to the border. Not to the camp. I don't know why”. Zabierają mnie z powrotem na granicę. Nie do obozu. Nie wiem dlaczego.

Odpisuję, żeby była silna. Wiadomość nie zostaje odczytana.

R. znika. Wyobrażam sobie, co by się działo, gdyby z placówki jakiegokolwiek służby w Polsce znikła młoda Polka. Raban, prokurator, dyscyplinarki. Tu możliwości są dużo bardziej ograniczone: za wiadomieniem do rzecznika praw dziecka (RPD), do rzecznika praw obywatelskich (RPO), sprawdzanie, czy w razie czego mamy dowody, że R. wyraziła wolę ubiegania się o ochronę międzynarodową w Polsce. W przypadku R. akurat ja nagrywałam filmik, na którym prosi o azyl. Nadal go mam.

RPD l (chodzi o badanie „wieku kostnego”, zazwyczaj to rentgen nadgarstka) miało potwierdzić, że jest pełnoletnia, a ponadto „nie skorzystała z możliwości” ubiegania się o ochronę międzynarodową.

Jednocześnie RPD dostrzega podstawowy problem nierówności sił. „Już ustna deklaracja zamiaru ubiegania się o udzielenie ochrony międzynarodowej – czytam w odpowiedzi od Adam Chmury, zastępcy RPD. – powinna (...) dawać ochronę przed zawróceniem do linii granicy. Otrzymujemy (...) sygnały od społeczników, że po ustnej deklaracji cudzoziemca o tym, że chce się on ubiegać o udzielenie ochrony międzynarodowej, SG nie podejmuje czynności zmierzających do formalnego przyję-

cia wniosku. Są to za każdym razem sytuacje bardzo trudne do oceny, cudzoziemca nie ma już bowiem na terytorium RP, pozostaje natomiast dwugłós Straży Granicznej i strony społecznej”.

Trzecia rano, wywózka na granicę

B. to Syryjczyk w średnim wieku, o wyjątkowo smutnych oczach. Cała jego rodzina to uchodźcy. Są w jednym z obozów dla uchodźców na Bliskim Wschodzie. B. pokazuje nam zaświadczenie z UNHCR – urzędu ONZ ds. uchodźców i zdjęcia dzieci, w tym kilkulatek z poważnym, widocznym schorzeniem. Cel B. to móc opłacić operację dziecka. B. już raz był pushbackowany z placówki. Ale wraca, bo nie ma wyboru.

B.: Dali mi papier do podpisania. Podpisałem. Dałem odciski palców. O trzeciej nad ranem zmienili treść dokumentu, wymusili, żebym podpisał. Bili mnie. I pushbackowali do Białorusi.

Straż Graniczna: „Często dochodzi do sytuacji, że cudzoziemiec pomimo wcześniejszej deklaracji o chęci złożenia wniosku o ochronę międzynarodową, po zapoznaniu się z procedurą administracyjną rezygnuje z możliwości złożenia takiego wniosku, bo nie chce w Polsce oczekiwać na jego rozpatrzenie, tylko chce dostać się do innego, wybranego przez siebie kraju Europy Zachodniej” (mail z 21 czerwca podpisany przez rzeczniczkę Podlaskiego Oddziału Straży Granicznej Katarzynę Zdanowicz).

B. pokazuje nam ogromne siniaki na rękach. Ale nie może się poddać. Wypełnia ponownie przy nas deklarację ubiegania się o ochronę w Polsce. Gdy czekamy na strażników, jego stan się pogarsza do tego stopnia, że wzywamy karetkę. A ta zawozi go do szpitala. Tam okazuje się, że B. jest cukrzykiem. Ze szpitala zabiera go Straż Graniczna. Niedługo potem dowiadujemy się, że znów jest na Białorusi.

Sprawa B. zgłoszona jest do RPO. W piśmie – prośby o inspekcję placówki SG w Białowieży i kontrolę doniesień o przemocy wobec cudzoziemców.

W odpowiedzi na moje pytania Anna Kabulska z biura prasowego RPO pisze, że w ostatnim czasie „pojawiają się zgłoszenia dotyczące zawrócenia do linii granicy państwowej osób, które uprzednio deklarowały wolę ubiegania się o udzielenie ochrony międzynarodowej na terytorium RP”, ale określenie skali problemu jest trudne.

Podaje, że od początku 2024 r. w biurze RPO zarejestrowano łącznie ponad 400 spraw „odnoszących się do zdarzeń związanych z przekroczeniem lub usiłowaniami przekroczenia granicy państwowej pomiędzy Polską i Białorusią wbrew przepisom obowiązującego prawa”. Mail dostaje 17 czerwca, więc dane w najlepszym razie obejmują okres do połowy czerwca. To oznacza ponad 70 spraw miesięcznie. A to są tylko osoby, których ślad istnienia udało się udokumentować.

Dosyłam RPO pytania o możliwość inspekcji w placówce w Białowieży. Na odpowiedź czekam.

W lesie dobrze widać ślady przemocy nie tylko na ciałach ludzi. Przypadkowo spotkany leśnik mówi nam „przecież wiecie, że i tak ich wyrzucą”. Żołnierzowi (to wyjątek), który zatrzymuje się przy nas, by dać nam znać, że czuje się źle z tym, co się dzieje, wymyka się w komentarzu o skali przemocy na Białorusi: „ale tak nie bijemy”.

Joanną Sarnecką pytam, na co liczy, alarmując RPO i RPD, gdy ludzi, o których chodzi, nie ma w zasięgu pomocy. Żeby nie byli bezimienni? Żeby został ślad?

– Jesteśmy zobowiązani, zobowiązane do przekazania dostępnych nam informacji o skali łamania prawa. Gdyby wnioski były przyjmowane, zgodnie z prawem, zmniejszylibyśmy skalę cierpienia osób w drodze, dochody przemytników i propagandowy sukces Łukaszenki, na który pracuje właśnie kolejny polski rząd. Poza tym dałoby nam to faktycznie możliwość wglądu w to, kto tu przybywa, sprawdzenia

osób, wobec których są wątpliwości. Ale tego nie da się zrobić w kilka godzin – mówi.

Jak dodaje, każde udokumentowane naruszenie prawa to sygnał, że ktoś to widzi, tym bardziej że odbywa się ono systemowo i na szczeblu krajowym, i unijnym, a deklaracje o poszanowaniu praw człowieka pozostają często na papierze.

„Puściły hamulce”

6 czerwca umiera żołnierz, sierżant Mateusz Sitek. Tydzień wcześniej przy zaporze na granicy został zaatakowany nożem. Napastnik dosięgnął go ze strony białoruskiej, przez szczyliny w płocie. Do tego nie powinno dojść.

Jest zgoda co do oceny tego tragicznego zajścia.

Nie ma zgody co do konsekwencji.

Jeśli uznać, że winny jest ten, kto może najwięcej skorzystać, to na pewno nie są to migranci.

Joanna Sarnecka mówi tak: – Zanim doszło do śmierci żołnierza, SG regularnie pushbackowała wtedy, kiedy nie było świadców. Gdy osoby z zespołu pomocy humanitarnej były przy osobach w drodze w momencie przekazywania strażnikom deklaracji o chęci ubiegania się o ochronę, straż przyjmowała je i osoby kierowane były do otwartych ośrodków, jeśli miały dokumenty; albo zamkniętych, jeśli potrzebne było ustalenie tożsamości.

Po śmierci ugodzonego nożem sierżanta to się zmieniło. To wówczas też padły słowa premiera o tym, że służby muszą mieć pewność, że mogą użyć „wszystkich dostępnych metod”. To wówczas zapadła decyzja o przywróceniu strefy buforowej (początkowo od 4 czerwca, a po protestach i przeprowadzeniu konsultacji – od 13 czerwca).

– Jakkolwiek to zabrzmiało, ta śmierć to polityczne złoto dla rządzącej ekipy, można było zbrutalizować język, skierować społeczny gniew na migrantów en masse, co jest doskonałym narzędziem realizacji unijnej polityki nieradzenia sobie ze współczesnością, której istotną częścią są migracje – mówi Joanna Sarnecka.

Uważa, że śmierć sierżanta „odblokowała wszelkie hamulce moralne i prawne”.

– I zaczął się chaos, randomowe pushbacki. Jak na rampie w obozie: jeden na prawo, dwóch na lewo, trzecia w prawo i tak wedle widzi mi się ludzi, co akurat dostali trochę władzy – dodaje.

Wykorzystuję ten cytat, ale nie bez wahań. Jak możemy wymagać stonowanej debaty publicznej, jeśli sami sięgamy po broń atomową, czyli nawiązania do obozów koncentracyjnych?

Jednak po tygodniowym wolontariacie rozumiem doskonale sens tych słów. Ostatnim impulsem, który sprawił, że się zgłosiłam do pracy na granicy, było wyjście do kina na „Strefę interesów”, film o „zwykłym” życiu rodziny komendanta Auschwitz tuż za murem obozu. Jeszcze kilka lat temu byłby to dla mnie historyczny film o historycznych dylematach. Ale teraz pomyślałam: to jest także mój dylemat, ja także muszę wybrać, jaką postawę przyjmę w obecnej wojnie. Wojnie hybrydowej.

Poza tym nie wiem, jak elegancko pisać o granicy. Żeby to było wyważone. I żeby obraz był pełen. Nie mogę we wszystkim wierzyć służbom, nie mogę zawsze ufać liczbowi. Jedno, czego jestem pewna, to moje przeżycie.

Dodatek bonusowy z prokuratorem

Nie powinnam dawać swojego numeru telefonu R. Ryzyko jest takie, że zostanie powiązana z przemytnikami migrantów i oskarżona o współpracę. To ryzyko zapewne wzrosło, gdy nie wiadomo do kogo trafił lub już trafił telefon R. Ale ten moment wymiany numerów telefonicznych był taki normalny. W tamtej wspólnej chwili, gdy dzieliliśmy się także jedzeniem, suchymi ubraniami, lekami, od jednej z dziewczyn dostałam żółtą gumową bransoletkę z napisem „United”. Zjednoczeni. ● Inicjały zostały zmienione.

Applebaum

Anne Applebaum jest stałą autorką magazynu „The Atlantic”, wykładowczynią SNF Agora Institute na Uniwersytecie Johna Hopkinsa oraz autorką wielu bestsellerowych książek. Najnowsza to „Zmierzyć demokrację. Zwodniczy powab autorytaryzmu”, o tym, dlaczego elity w demokracjach na całym świecie zwracają się w stronę nacjonalizmu i autorytaryzmu. Książka dostępna na Kulturalnym sklepie.pl i w formie e-booka na Publio.pl



Listopadowe wybory mają wielką wagę: chodzi o naturę, a wręcz istnienie amerykańskiej republiki, przynajmniej w takiej formie, w jakiej znaliśmy ją przez ostatnie stulecie. Na całym świecie Stany Zjednoczone pod drugą prezydenturą Trumpa przestaną być postrzegane jako demokracja zdolna do jakiegokolwiek przywództwa. Jaki kraj wybiera przestępcę i rebelianta na prezydenta?

Trump zapowiedział, że planuje masowe deportacje, być może przeprowadzane przez wojsko. Chce obrócić Departament Sprawiedliwości przeciwko swoim wrogom. W tym tygodniu ponownie wystosował żądanie, by Liz Cheney – była przewodnicząca Republikanów w Izbie Reprezentantów! – stanęła przed trybunałem wojskowym, wyłącznie za to, że mu się sprzeciwiła. Sąd Najwyższy właśnie usunął kilka kolejnych barier wokół naszej imperialnej prezydentury i ten proces może być kontynuowany, zwłaszcza jeśli Trump będzie mógł wybierać więcej sędziów.

Każdy, kogo martwi obecny poziom polaryzacji i politycznego chaosu w USA, powinien poczekać, a przekona się, co przyniosą te zmiany. A jeśli komuś wydaje się, że nic takiego nie ma prawa wydarzyć się w Ameryce, powinien zapoznać się z historią Węgier czy Wenezeli – stabilnych demokracji, które zniszczyli autokraci.

W chwili, gdy Ameryka skupia się na własnym kryzysie wewnętrznym, amerykańskie sojusze w Europie, Azji i wszędzie indziej prawdopodobnie zaczną się rozpaść. Sieć autokracji kierowanych przez Rosję i Chiny urośnie w siłę, ponieważ ich główna narracja – demokracja jest zdegenerowana – zostanie wzmocniona przez nieobliczalnego, autokratycznego amerykańskiego prezydenta. Ukraina, Tajwan i Korea Południowa znajdują się w niebezpieczeństwie, ponieważ autokratyczny świat wie, jak dostrzec słabość, i może zacząć badać istniejące granice. Jeśli Trump wprowadzi powszechne cła, może również zniszczyć amerykańską gospodarkę.

Partia, która dba o przyszłość Ameryki, a właściwie o przyszłość planety, zrobiłaby wszystko, co możliwe, aby uniknąć tego losu. Republikańskie już pokazali, że im nie zależy i nie zamierzają powstrzymać Trumpa.

Do tej pory Demokraci wspierali Joe Bidena, odnoszącego sukcesy, a nawet bohaterskiego prezydenta, podczas gdy jego otoczenie ukrywało jego prawdziwy stan. Wątpliwo-



• Piątek 12 czerwca, Joe Biden rozmawia z Heather i Chadem Ballietami, właścicielami sklepu South Mountain Cycle. Prezydent odwiedził 11-tyśięczne miasteczko Emmaus podczas objazdowej wizytacji małych firm w Pensylwanii FOT. ADAM SCHULTZ/OFFICIAL WHITE HOUSE

ści co do zdolności 81-letniego przywódcy do dalszego rządzenia były już powszechne i są częściowo odpowiedzialne za niskie poparcie wyborców. A po zeszlotygodniowej debacie wysunęły się na pierwszy plan i nie ma powodu, by sądzić, że się rozwieją. Każde potknięcie, każde zapomniane słowo wzmocni wrażenie wywołane podczas debaty. Obecnie Biden jest w sondażach za Trumpem. Jeśli pozostanie kandydatem, prawdopodobnie przegra.

Ale mamy lipiec. Wybory są w listopadzie. Czy da się coś jeszcze zrobić?

Tak. Delegaci na Narodową Konwencję Demokratów nie muszą jak lunatycy dreptać ku katastrofie. Mogą zażądać, aby Biden zwolnił ich z obietnicy, że udzieli mu poparcia. Mogą podrzeć regulamin, tak jak robią to partie polityczne w innych krajach, i z zimną krwią wszystko przeanalizować.

Trzy stany mają kluczowe znaczenie dla Demokratów w wyborach prezydenckich: Wisconsin, Michigan i Pensylwania. Wszystkie mają popularnych, odnoszących sukcesy, wyrazistych demokratycznych gubernatorów. Myśląc strategicznie partia wybrałaby jednego z nich na swojego kandydata. Tego, który wypadnie najlepiej na scenie debaty, tego z najlepszymi sondażami lub tego, który może zebrać najwięcej pieniędzy – kryterium nie ma znaczenia. Wiceprezydentka Kamala Harris i inni kandydaci, którzy mają szansę na wygraną w tych trzech stanach, również byłiby mile widziani. I każdy z nich powinien zadeklarować poparcie dla zwycięzcy.

Demokraci mają możliwość przeprowadzenia nowej rundy debat prawyborczych i spotkań publicznych – aż do 19 sierpnia, kiedy rozpocznie się Narodowa Konwencja Demokratów. Raz w tygodniu, dwa razy w tygodniu, trzy razy w tygodniu – sieci telewizyjne rywalizowałyby o ich pokazywanie. Oglądałyby je miliony. Polityka znów stałaby się interesująca. A po intensywnym politycznie lecie zwycięzca w głosowaniu delegatów na kon-

wencji mógłby jesień przeznaczyć na kampanię w Wisconsin, Michigan, Pensylwanii – i wygrać prezydenturę. Ameryka i nasze sojusze zostałyby uratowane.

Oczywiście wiąże się to z pewnym ryzykiem: wyłoniony w ostatniej chwili kandydat mógłby przegrać. Ale korzyści z takiego posunięcia jest wiele.

Konwencja Republikanów, która ma się odbyć za mniej niż dwa tygodnie, zostałaby zrujnowana. Trump nie znalazłby nazwiska swojego przeciwnika. Zamiast spędzać cztery dni na atakowaniu Bidena, jego ludzie musieliby mówić o własnej politycznej strategii, której spora część – dotacje dla firm, obniżki podatków dla bogatych, dalsza transformacja Sądu Najwyższego – nie cieszy się zbyt dużą sympatią. Ich kandydat zacząłby belkotać. Do tego jest stary, prawie tak stary jak Biden, a to jego trzecia kampania prezydencka. Wszyscy przełącziliby kanały, aby zamiast tego obejrzeć ekscytującą debatę prawyborczą Demokratów.

Bo z kolei konwencja Demokratów byłaby spektakularna. Wszyscy chcieliby ją oglądać, rozmawiać o niej, być na miejscu. Bilety byłyby nie do zdobycia; krajowe i międzynarodowe media przybyłyby tam w ogromnej liczbie.

Ktokolwiek by wygrał – gubernator Wisconsin Tony Evers, gubernator Michigan Gretchen Whitmer, gubernator Pensylwanii Josh Shapiro, wiceprezydent Harris lub ktoś inny – byłby poważniejszy i bardziej przekonujący niż Trump. Z konwencji Demokratów wyszedłby z nową energią, nadzieją i pieniędzmi, przyciągając publiczną uwagę. Ameryka i demokratyczny świat miałyby szansę przetrwania. Czy nie jest to warte ryzyka? ●

Anne Applebaum

Przełożyła Patrycja Eiduka. Tytuł i lead od redakcji Redagował Marek Markowski

w© 2024 The Atlantic Media Co., as first published in „The Atlantic” All rights reserved. Distributed by Tribune Content Agency

WYBIERZMY NASZĄ EUROPE

Mateusz Mazzini

Iędy cię nie przepuścimy. Idź naokoło budynku, tu jest nasza pikietka. Młoda dziewczyna stanowczym tonem odmawia mi przejścia. Należy do związku zawodowego pracowników miejskich basenów, przyszła protestować przeciwko zbyt niskim płacom i niedoinwestowaniu obiektów, na których pracują. Po jej gniewnym wyrazie twarzy widzę, że negocjacji tu nie będzie. Zresztą szczerze jej współczuję, że musi protestować w takich warunkach. Uliczny termometr pokazuje 35 stopni w cieniu. Zaczynam zastanawiać się, kto wpadł na pomysł organizowania wielkiej konferencji w lipcu w samym środku Hiszpanii.

Obchodzę grzecznie pikietę i wchodzę do Casa de América, zbudowanego w drugiej połowie XIX wieku pałacyku w samym centrum Madrytu, pełniącego funkcję jednego z nieformalnych domów hiszpańskiej dyplomacji. Tutaj coroczne spotkanie generalne zorganizowała Europejska Rada do spraw Stosunków Międzynarodowych, znana szerzej pod angielskim akronimem ECFR. To jedno z najbardziej wpływowych centrów analitycznych na świecie. Ma biura w kilku europejskich stolicach, w tym w Warszawie, a od niedawna także w Waszyngtonie.

Jak dowiem się w ciągu najbliższych kilkudziesięciu godzin, szersze otwarcie na kierunek amerykański ma bezpośredni związek z tym, o czym mówić będą tu wszyscy, coraz wyraźniej: Trump wraca, trzeba się przygotować.

Zanim dojdę do punktu rejestracyjnego, marzę już o prysznicu. Stare, grube mury przynoszą ulgę, a audytorium, miejsce dyskusji plenarnych, na szczęście ulokowane jest na poziomie -1.

Organizatorzy wręczają mi identyfikator i torbę – prawie pustą. Żartobliwy nadruk mówi, że mam do niej pakować swoje zakupy, a do głowy politycznych decydentów wkładać dobre pomysły. W środku tylko jeden prezent na start – wachlarz. Drukowanego programu nie ma, wszystko cyfrowe, po zeskanowaniu kodów QR. Ekologicznie – myślę sobie. Tylko po co ta torba na sam jeden wachlarz, skoro do jej wyprodukowania zużywa się 1000 litrów wody, a każdy ma już w domu takich toreb po sufit.

Sala jest już pełna, zaczynamy od networkingowego lunchu. Widzę znajomą, macham. Ciężko mi się przebić, prawie ładuję na kelnerce roznoszącej eleganckie miseczki z guacamole z ziarnami granatu. Nikt nie siedzi, wszyscy biegają, witają się. Ale nie ma wymiany wizytówek, poznawania się, konfrontacji poglądów. Nie tutaj, nie teraz. Sala przypomina raczej zjazd absolwentów liceum, którzy dawno się nie widzieli – choć przynajmniej w części widują się kilka razy do roku. Jedna z rozmówczyń powie mi później, że „jest tu tyle przyjaciół na metr kwadratowy, że aż nie wiadomo co robić”. Tego wrażenia wsobności, momentami wręcz klaustrofobicznej, nie wyzbędę się już do końca pobytu w Madrycie.

Koreczki i guacamole znikają z tac, a butelki z wodą ze stolików. Organizatorzy nawołują ze sceny, żeby już serio zajmować miejsca. Ekspertka brać zbiera się niechętnie, skuteczna okazuje się dopiero trzecia próba. W pierwszym przemówieniu pada sformułowanie o „zjeździe rodzinnym”, którym ta konferencja ma być. W myślach biję brawo, trudno o trafniejsze określenie tego, co do tej pory widziałem.

„W Europie trwają teraz piłkarskie mistrzostwa. A ja mam wrażenie, że wszyscy robimy sobie mistrzostwa tego, kto ma większe problemy w swoim kraju” – mówi stanowczym tonem Lykke Friis, wielokrotna duńska ministra, współprzewodnicząca ra-



CHINY, UKRAINA, TO STRASZNE, ALE CZEMU ZABRAKŁO OSTRYG

Kto wpadł na pomysł, żeby najważniejszą europejską konferencję dyplomatyczną organizować w lipcu w Madrycie.

dy ECFR. Nawołuje, żeby skupić się na rozwiązywaniu tych problemów, a nie tylko ich opisywaniu. Na sali cisza, ale wynikająca raczej z obojętności na to przesłanie, niż z jego powagi. Rozglądam się, większość gości siedzi w telefonach.

Na scenie pojawia się Mark Leonard, dyrektor ECFR, szerszemu grono znany z kolumn zagraniczno-analitycznych anglosaskich gazet. Mówi rzeczy ważne, ale doskonale wszystkim znane: że dzisiaj wszystko w Europie definiowane jest przez pryzmat bezpieczeństwa. Omawia wyświetlone na dużym ekranie wyniki najnowszego sondażu, z którego wynika, że Ukraińcy chcą walczyć do końca, a Europa raczej ich popiera. Z naciskiem na „raczej”, bo są wyjątki. O nich jeszcze będzie głośno, kiedy na scenie dzień później pojawi się przedstawiciel gabinetu Viktora Orbána. Na razie słuchamy budującej teorii: jest dobrze, może być lepiej, przynajmniej jeśli chodzi o politykę.

Po nim Iwan Krastew, dyżurny diagnosta intelektualnego stanu zdrowia Eu-

ropy. Wrzuca (ciekawą jak zwykle u niego) perspektywę, że w wojnie wywołanej przez Putina w Ukrainie nie chodzi o terytorium, tylko o ludzi. „Dlatego tyle ukraińskich dzieci jest porywanych i oddawanych do rosyjskich rodzin. Putin nie umie pogodzić się z tym, że Rosjan jest coraz mniej” – mówi. Kilka głów podnosi się znad telefonów, sala jest ewidentnie bardziej skupiona.

Dalej Krastew: „Bogate społeczeństwa się starzeją, musimy myśleć o demografii. To kluczowa zmienna w tym równaniu, a w ogóle o niej nie mówimy”. Brawa, ewidentnie żywsze od poprzednich.

Teraz zawodnicy wagi ciężkiej. Poruszenie jest całkiem spore, gdy na scenie siadają odchodzący Wysoki Przedstawiciel UE do spraw Polityki Zagranicznej i Bezpieczeństwa, Josep Borrell, i Antonio Costa, były portugalski premier, kilka dni wcześniej wybrany na nowego przewodniczącego Rady Europejskiej.

„Po co taki panel w ogóle robić. Jeden już nic nie może, drugi jeszcze nie zaczął” – słyszę zza pleców. A wysoki rangą dyplomata z Bałkanów powie mi później, że czuł się, jakby wszedł do studia CNN przed amerykańską debatą prezydencką. I nie chodzi mu o rangę wydarzenia. Co prawda przesadza, bo co prawda Borrell ma 77 lat, lecz Costa zaledwie 62, obu do Trumpa i Bidena jeszcze daleko – jednak sarkastycznych uwag o gerontokracji będzie potem cała masa.

Pytanie do Borrella o największy wyrzut sumienia jego kadencji. „Brak większego wpływu na Netanjahu” – odpowiada bez namysłu. Ale przez całą konwersację jest w bardzo dobrym humorze. W pewnym momencie sam przejmuje rolę moderatora, zagaduje do Costy jak do starego kumpla. Portugalczyk, pytany o własne priorytety w Radzie, mówi o szerszym otwarciu się na świat. Japonia, Australia, Korea, „mamy bardzo dobre relacje z Afryką, bo jesteśmy jej najbliżsi”.

Ma na myśli geografię, ale w kuluarach eksperci od Chin będą tym stwierdzeniem zniesmaczeni, przypominając, że Pekin w Afryce inwestuje na potęgę, a Europa kompletnie ten kierunek zaniedbała.

Kolejne pytanie do odchodzącego ze stanowiska Hiszpana: czy z Chinami dało się ostrzej? Tym razem taktyczny unik. Te relacje są głównie gospodarcze, to nie moja kompetencja. Ale tak, trzeba było się wcześniej zorientować, jak bardzo oni dominują w technologii OZE, czyli odnawialnych źródeł energii.

Największy sukces? Szybka mobilizacja w sprawie Ukrainy, „już dzień po inwazji dzwoniłem do wszystkich liderów, każdy odbierał, deklarował pomoc”. Tu Borrell uśmiecha się szeroko, wyraźnie z siebie zadowolony. W pewnym momencie odwraca się do Costy i mówi „pamiętaj, Antonio, że polityka zagraniczna i kwestie bezpieczeństwa to będzie twoja sprawa. Nie zapomnij o tym”.

Część tych, którzy w międzyczasie nie zatonęli z powrotem w telefonach, strzyże uszami. Bo mamy wreszcie faux pas – to przecież niezgodne z podziałem ról, dyplomacja i bezpieczeństwo przypadają Wysockiemu Przedstawicielowi, a nim w nowym rozdaniu zostaje Estonka Kaja Kallas. Ale jej nazwisko padnie w tej rozmowie tylko raz, na sam koniec. Pytany o gorący kartofel, który zostawia następczyni, Borrell śmieje się, mówiąc, że to prędzej cała sałatka ziemniaczana niż tylko jedno warzywo.



• **Szpital dziecięcy Ochmadyt w Kijowie po rosyjskim ataku rakietowym 8 lipca, w dniu wizyty prezydenta Zełenskiego w Polsce**
FOT. REUTERS/
OLEKSANDR
RATUSHNIAK

Demonstracyjne zignorowanie estońskiej polityczki będzie potem szeroko komentowane w kuluarach – choć zdziwienie raczej nie wywołało. „Daj spokój, ona nie będzie miała na nic wpływu. Lubię ją, to jest świetna, zdecydowana babka, ale zapomnij, żeby pozwolili jej cokolwiek zrobić” – mówi mi znajoma z Berlina. Inny rozmówca, czarnogórski dyplomata, będzie nawet bardziej dosadny, powie mi o „kastracji tego stanowiska”. „A szkoda” – dodaje – „bo wreszcie może ktoś zacząłby traktować poważnie wschodnią perspektywę w Unii. Donald Tusk sam jeden tego nie wywalczy”.

Wśród gości szczytu panuje przekonanie, że Kallas miejsce we władzach Unii dostała jako nagrodę pocieszenia. Kilka miesięcy temu była wymieniana jako jedna z faworytek na stanowisko sekretarza generalnego NATO, ale wziął je wieloletni premier Holandii, Mark Rutte. On jest politykiem zjadliwym dla wszystkich, a na dodatek ma opinię człowieka zdolnego dogadać się z Trumpem. – W przeciwieństwie do Kallas – słyszę tu, w Madrycie. Ona jest jastrzębiem, byłaby zbytnim ryzykiem, a przecież potrzeba jednomyślności. Nominacja w Brukseli była więc elementem wymiany politycznej.

Przypominam sobie własną rozmowę z Hanno Pevkurem, estońskim ministrem obrony. W marcu zapewniał mnie, że Tallin nie poprze kandydata z kraju, który teraz nie spełnia kryterium wydawania 2 proc. PKB na obronność. Holandia, z której wywodzi się Rutte, ma ten próg dopiero osiągnąć.

• Estończycy musieli więc zostać spacyfikowani, choć stanowiska nie zmieniają. Na scenie pojawia się Jonatan Vseiov, przedstawiciel es-

tońskiego MSZ – i natychmiast kradnie show. Choć siedzą obok niego dyplomaci z Brazylii i Hiszpanii i mówią nawet ważne rzeczy – jak na przykład uzasadnienie hiszpańskiej decyzji o uznaniu palestyńskiej państwowości – to w pamięć zapadają głównie słowa Vseiova. Od razu uderza w ostry ton w sprawie Ukrainy. „Zapominamy, jak bardzo jesteśmy bogaci. Dyskutujemy między sobą, czy wydać 0,3 czy jednak 0,25 proc. naszego PKB na pomoc Ukrainie. To są absurdalne problemy.

Moja pani premier [czyli właśnie Ka-ja Kallas] mówi o tym jako o zagrożeniu egzystencjalnym dla Europy i ja nie zamierzam tego przekazu zmiekczać. Ona ma rację, dość dyplomacji. Jeśli pozwolimy, żeby agresor mógł zatrzymać zagarnięte terytorium, to kim my w ogóle jesteśmy?”.

Długi aplauz. Chyba najdłuższy tego dnia. Nikt inny jednak przez całą konferencję nie będzie aż tak jednoznaczny i bezsrośredni jak mało znany estoński urzędnik.

• Choć teoretycznie panele miały pokazywać szeroką perspektywę spraw międzynarodowych, i tak niemal każda dyskusja dryfowała w kierunku tematów europejskich – choć nie wszyscy byli nimi zainteresowani. Trudno było oprzeć się wrażeniu, że zaproszeni goście z innych części świata nie mają zamiaru zajmować się problemami Starego Kontynentu, i vice versa.

Sérgio Rodrigues, przedstawiciel brazylijskiego MSZ, dostaje pytanie o „pozytywny wkład BRICS+ [termin ukuty w początkach XXI wieku od Brazylii, Rosji, Indii, Chin i RPA – S jak „South Africa” – dla wschodzących lub odzyskujących pozycję potęg spoza Zachodu] w społeczność międzynarodową”. Bez namysłu odpowiada, że „to forum wielu różnych krajów zgadzających się co do potrzeby reformy systemu międzynarodowego”. – Ale co z Rosją, która pokazała swoje prawdziwe, imperialno-rozbójnicze oblicze? A Chiny? – słychać z sali. Nieważne, liczy się to, że „wszyscy chcemy zmiany”.

Minister spraw zagranicznych Arabii Saudyjskiej, książę Fajsal bin Farhan Al Saud, nakreśli nową mapę wpływów na Bliskim Wschodzie. Pytany o przyszłość relacji z USA, odpowie, że „Waszyngton jest zbyt ważny, żeby go ignorować”. „Mamy fantastyczne stosunki z administracją Bidena, mieliśmy dobre z ludźmi Trumpa. Będziemy pracować z kimkolwiek, kto wygra”. Po narzeka, że kampania za oceanem tak pochłania wszystkich w Ameryce, że nie ma z kim rozmawiać.

O Europie nie powie ani słowa. Jakichś emocji dostarczy w końcu Hina Rabbani Khar, do ubiegłego roku szefowa dyplomacji Pakistanu, która wytykając hipokryzję Zachodu, już w pierwszej wypowiedzi nie bierze jeńców: „Największe zagrożenie dla światowego liberalnego porządku pochodzi z bastionów liberalizmu. Po co nam taki porządek? Po co nam przywództwo, skoro sami nie przestrzegacie własnych zasad? Nie oczekujcie, że za tym stanemy”.

Pakistanka wbija szpilę za szpilą. Ukraina? Trzeba było myśleć wcześniej, ten konflikt jest pokłosiem dwóch waszych wojen – w Afganistanie i w Iraku. Zrobiliście precedens, zignorowaliście Radę Bezpieczeństwa ONZ. Sami jesteście sobie winni. Zachodnie przywództwo? Chyba wszyscy tutaj zebrani oglądali debatę kandydatów na prezydenta USA. Sorry, to nie jest atrakcyjny model przywództwa dla nikogo. Europa chce się zbroić? Jestem w szoku. Przez lata mówiliście nam, że wszystkie takie rzeczy jak wzrost wydatków na zbrojenia są straszne, zakazane, niemoralne. A teraz to jest u was w modzie.

Na koniec mówi głośno to, co w kuluarach przebiega się od początku szczytu, zwłaszcza z ust młodszych dyplomatów i analityków. „Kto jest globalnym liderem w sprawie Sztucznej Inteligencji? Kto prowadzi w kwestii klimatu? Nie wiadomo. Po co nam taki system?” – pyta retorycznie.

Liczę. Fraza „sztuczna inteligencja” w kontekście polityki publicznej i spraw

międzynarodowych (czytaj: nie jako żart prowadzących) pada ze sceny głównej raptem dwa razy przez całą konferencję. Kwestie klimatyczne są na niej praktycznie nieobecne aż do wystąpienia zamykającego, które wygłosi Teresa Ribera, hiszpańska ministera do spraw transformacji ekologicznej i wyzwani demograficznych.

• Kolejne panele przyciągają coraz mniejsze zainteresowanie, mało jest pytań. Pewne ożywienie wywołuje ostatni, bo odbywa się na krytym podwórzu budynku, przy akompaniamencie wina i tapasów. Lecz choć temat jest najciekawszy ze wszystkich – dotyczy „wizji Chin” w Europie i nie tylko – to mówcom ciężko się przebić.

Ktoś złośliwy, małostkowy lub bywały mógłby pomyśleć, że słuchaczy rozprasza poczęstunek, ale nie tym razem. To upał. Patrzę na telefon, 32 stopnie, choć jest już 19:00.

Znajomy włoski analityk całkiem poważnie mówi, że boi się, że ktoś zasłabnie. Organizatorzy ustawili co prawda wiatraki, do których doczepiono rozpylacze wodnej mgiełki, ale niespecjalnie przynoszą ulgę. Paneliści dwoją się i troją, czułość mikrofonów podkreślają do maksimum – efekt umiarkowany. Goście rozchodzą się po ogrodach, kryją w chłodnych zakamarkach, coca-cola z lodem staje się towarem deficytowym. Lykke Friis próbuje ogarnąć rozgardiasz z pomocą sportowego gwizdka. O Chinach nie dowiem się prawie nic.

Pod koniec dyskusji oczywiste staje się, że wszyscy czekają na główny punkt programu. Przechodzimy spacerem do muzeum Prado, gdzie ECFR przygotował dla gości konferencji prywatne, wieczorowe zwiedzanie. To ukłon od Javiera Solany, byłego sekretarza generalnego NATO i szefa unijnej dyplomacji, dzisiaj związanego ze stołecznym muzeum. Oglądamy więc w grupach Velázqueza i Picasso, potem kolacja. Pytania o przyszłość Europy mieszają się z jękami zawodu, gdy kelnerka roznosząca ostrygi dociera w moje okolice z pustą już tacą.

Hiszpańska dyplomata wysokiego szczebla zagaduje mnie o sytuację w Polsce. Jest mocno zdziwiona, gdy mówię jej, że prokuratorzy czasów Ziobry trwają na stanowiskach. Nie może nachwalić się Radka Sikorskiego. „Wiesz, polityka to kwestia wiarygodności i charyzmy. Dlaczego mamy tak mało Sikorskich?” – pyta, a ja rozkładam ręce.

Staje obok nas niemiecki działacz trzeciego sektora. Rozmawiamy o niedawnych konsultacjach międzyrządowych w Warszawie, pierwszych od sześciu lat. Zauważa, że nie pamięta sytuacji, w której to polski premier miałby więcej inicjatywy od niemieckiego kanclerza. „I dobrze” – mówi, popijając świeżo skrojoną szynkę Serrano kieliszkiem wina. „Sobie na to zasłużyliśmy. Scholz jest całkowicie niezdolny do podejmowania decyzji, ma chyba ujemną charyzmę. Nie liczcie, że z Berlina wyjdzie jakikolwiek impuls”.

Oboje, Niemiec i Hiszpanka, nadal są oburzeni zignorowaniem pozycji Kallas w pierwszym panelu. Ale temat szybko schodzi na dalszy plan, bo zbliża się 23:00. Za chwilę zamkną się lokale wyborcze w Wielkiej Brytanii.

Ci, którzy zostali jeszcze w Prado, ewidentnie czekają na wyniki wyborów na Wypach. Stajemy w kółku, każdy z telefonem w ręku. Rośnie frustracja, bo o 23:02 BBC wciąż nie wyświetla rezultatów exit poll. Dowiadujemy się o nich dopiero z WhatsAppa jednego z uczestników. Laburzyści wygrali, ale entuzjazmu nie ma. Wszyscy w grupie koncentrują się na 13 mandatach, które ma otrzymać Nigel Farage, twarz Brexitu, i jego narodowo-populistyczna partia Reform.

Rozchodzimy się do hoteli. Wreszcie jest poniżej 30 stopni. Choć tylko trochę.

• Brytyjskie głosowanie przechodzi do historii już następnego dnia – również dlatego, że wszyscy mówią o Orbánie. Viktorze, który

właśnie ląduje w Moskwie, żeby spotkać się z Putinem. I Balazsu, też Orbánie, obecnym tutaj dyrektorze biura politycznego w węgierskiej kancelarii premiera. Panel dotyczy przygotowania Europy na powrót Trumpa, odbija się od niedawnej publikacji ECFR opisującej możliwe scenariusze polityki zagranicznej Republikanów. Orbán bez skrępowania prezentuje pozycję Budapesztu, wywołując gigantyczne oburzenie na sali. W skrócie brzmi ona następująco:

Wojna w Ukrainie to nie jest nasza wojna. Ukraińcy nie walczą za Węgrów. Według naszej analizy tego konfliktu nie da się rozstrzygnąć na polu bitwy. Trzeba doprowadzić do negocjacji, a do tego potrzebne jest zawieszenie broni. Dlatego mój premier spotyka się z obiema stronami konfliktu, żeby zebrać informacje o warunkach potrzebnych do spełnienia, żeby wstrzymano ogień na froncie.

Potem dodaje, że w interesie Europy jest sprawę rozwiązać jak najszybciej, bo zaraz do władzy wróci Trump i zostaniemy z tym wszystkim sami.

Katarzyna Pisarska, szefowa Warsaw Security Forum, próbuje go kontrować. Prosi, by wymienił trzy powody, dla których według Węgrów warto być w Unii – i niech nie mówi o pieniądzach, o tym wszyscy wiemy.

Nie dostanie odpowiedzi. Balazs Orbán rzuci okragłe formułki o „trzech tysiącach lat integracji europejskiej”.

Po panelu czuć wzburzenie. Czarnogórski dyplomata podchodzi do mnie i mówi: „zapamiętaj te słowa. Oni jeszcze za to zapłacą. Ta przyjaźń z Putinem wyjdzie im bokiem”. Inni gorączkowo zaczynają otaczać Antonio Costę. W korytarzach furorę robi dość sensacyjna plotka: powstaje inicjatywa, by odebrać Węgrom unijną prezydenturę.

Kilka dni później plotka nabierze wagi – brukselski serwis POLITICO napisze, że w unijnych instytucjach badane są ścieżki prawne mogące doprowadzić do usunięcia Węgrów i rozpoczęcia polskiej prezydentury już jesienią tego roku.

Wychodząc, słyszę rozmowę dwóch zachodnich dyplomatów. Pierwszy pyta: „Czy odebranie prezydentury jest w ogóle możliwe?”. Drugi odpowiada, stanowczo: „Mam to w dupie, czy jest. Nie wiem ile jeszcze będziemy tolerować Orbána, który śmieje się nam w twarz”. I dodaje: „Brexit też miał być niemożliwy. I zobacz, co się stało”.



FOT. MATEUSZ SKWARCEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Mateusz Mazzini

• (ur. 1990) – reporter, socjolog, latynoamerykanista. Absolwent Oksfordu, studiował także w Kordobie i Bilbao oraz na University College London. Pisze o krajach Ameryki Łacińskiej, globalnego Południa, wydarzeniach na zachodzie i południu Europy oraz o europejskiej skrajnej prawicy. Nominowany do Grand Press za reportaż prasowy w 2020 r. Autor książek „Koniec Tęczy. Chile po Pinochecie” oraz „Włochy prawdziwe. Podróż śladami mafii, migracji i kryzysów”. Współprowadzi program „Wider View” w TVP World.



• Projekt WYBIERZMY NASZĄ EUROPEĘ współfinansowany jest przez Unię Europejską w ramach programu dotacji Parlamentu Europejskiego w dziedzinie komunikacji.

• Wszelkie informacje i wypowiedzi zawarte w tekstach przedstawiają wyłącznie poglądy ich autorów. Parlament UE nie uczestniczył w przygotowaniu materiałów, nie odpowiada za ich treść i nie może być pociągany do odpowiedzialności za pośrednie lub bezpośrednie szkody mogące wynikać z realizacji projektu.



• Orbán u Putina na Kremlu, 5 lipca
FOT. VALERIY SHARIFULIN / REUTERS

ŚWIAT

Viktor Orbán:

JESTEM SKROMNY, WIĘC NADAJĘ SIĘ DO MISJI POKOJOWEJ

– Trzeba trzeźwo spojrzeć na realia.

Rosja nie może przegrać, jeśli wziąć pod uwagę liczbę żołnierzy, sprzęt i technologię

– mówi premier Węgier, najbardziej prorosyjski przywódca w UE.

Paul Ronzheimer

WELT

Niemal nazajutrz po objęciu przez Węgry półrocznej rotacyjnej prezydencji w Radzie UE premier Viktor Orban rozpoczął intensywne podróże jako samozwańczy mediator w wojnie w Ukrainie. To nie spodobało się w Europie, która zastrzega, że Orban działa na własną rękę i nie ma żadnego mandatu na negocjacje ani z Kreml, ani z Pekinem, gdzie poleciał w poniedziałek wieczorem. Prosto stamtąd miał udać się do Waszyngtonu, gdzie od wtorku odbywał się szczyt NATO. Krótko przed wylotem do Chin Orban udzielił nam wywiadu w Budapeszcie.



Co chciał pan osiągnąć podczas zeszlotygodniowej podróży do Władimira Putina?
Viktor Orbán: Węgry przejęły przewodnictwo w Radzie UE 1 lipca. I nie możemy udawać, że nie przeżywamy bardzo szczególnego czasu. Trwa wojna. Hipokryzją byłoby utrzymywać, że nie szukamy odpowiedzi na pytanie, jak możemy ją zakończyć.

Liderzy UE argumentują, że takie nieskoordynowane z innymi działania jak pańska wizyta na Kremlu dzielą Europę i pokazują Putinowi, że UE nie mówi jednym głosem.
– To prymitywne podejście. W tej bardzo skomplikowanej sytuacji jest pięciu głównych graczy, a ja do tej pory spotkałem się z dwoma z nich, Zelenskim i Putinem. Są jeszcze oczywiście Stany Zjednoczone, Chiny i Unia Europejska. Ciąg dalszy mojej misji nastąpi.

Rosja nadal chce zająć wszystkie anektowane regiony. Jak wyobraża pan sobie w tej sytuacji zaprowadzenie pokoju?
– Problem polega na tym, że wielu europejskich polityków chce natychmiast stuprocentowo satysfakcjonującego rozwiązania, które nie istnieje. Droga do pokoju zaczyna się od tego, że ci, którzy są w stanie wojny lub blisko niej, chcą jej końca. Wojna nie spada z nieba, ale jest wynikiem decyzji pewnych ludzi. Dlatego musimy do nich dotrzeć i ich przekonywać. Co robią Chiny, USA i UE? Chiny mają plan pokojowy. Ameryka natomiast prowadzi politykę wojenną. A Europa, zamiast mieć własne podejście strategiczne, po prostu powiela amerykańskie stanowisko.

Jak to jest ucisnąć dłoń Putinowi, którego europejskie trybunały uważają za zbrodniarza wojennego i który otwarcie czci Stalina?
– Przede wszystkim musimy zrozumieć, że wojna i jej wynik nie decydują o tym, kto ma rację, a kto nie. Wojna decyduje tylko o tym, kto zginie, a kto pozostanie przy życiu. W Brukseli, Paryżu czy za Atlantykiem ludzie mogą mieć dystans do wojny, który pozwala na teoretyczne spojrzenie na nią. Ale wojna jest nie tylko bardzo realna, lecz wręcz surrealistyczna. Zatem pańskie pytania będą bardzo istotne, ale jutro, nie dziś.

Z całym szacunkiem, ale ja wiem, jak wygląda wojna. Spędziłem miesiące na linii frontu i rozmawiałem z niezliczonymi ukraińskimi żołnierzami i cywilami. Chociaż jest to dla nich straszne, a żołnierze walczą nieprzerwanie od ponad dwóch lat, nie znajdzie pan tam wielu, którzy opowiadają się za negocjacjami. Ponieważ nie chcą, aby Rosjanie zbliżali się do ich domów, do ich bliskich. Dlatego bronią swoje kraj.
– Jeśli dobrze rozumiem, jako Niemiec właśnie próbowałem mi pan wyjaśnić, co to znaczy żyć blisko Rosjan?

Nie, muszę jedynie powiedzieć, jak jest na froncie tej wojny i co sądzą o niej sami Ukraińcy.
– Nikt nie może pouczać Węgrów na temat Rosji.

– Nie zamierzam nikogo pouczać. Przytoczę tylko argument powszechnie ze strony ukraińskiej i przedstawicieli NATO: nawet jeśli Putin zaakceptuje zawieszenie broni, to tylko po to, by odbudować potencjał swojej armii i zaatakować ponownie za kilka lat.
– Rosjanie powiedzieli mi to samo: zawieszenie broni leży tylko w interesie wroga, ponieważ da czas na zreorganizowanie się, aby przygotować się do kontynuowania wojny. Rozumiem tę postawę, ale zadaniem mediatorów jest usuwanie obaw.

W jaki sposób Putin zamierza wygrać? Jak dotąd jego armia nie poczyniła większych postępów.
– Trzeba trzeźwo spojrzeć na realia. Rosja nie może przegrać, jeśli spojrzeć na liczbę żołnierzy, sprzęt i technologię. Ale politycy też są ludźmi. To moralnie bardzo trudna sytuacja, gdy codziennie otrzymujesz wiadomości, że tysiące twoich rodaków giną na wojnie. Nawet jeśli dwaj przywódcy opierając się na strategicznej logice są przeciwni szybkiemu zawieszeniu broni, w zasadzie wszyscy wiedzą, że byłoby lepiej, gdyby począwszy od jutra rano nie zginął już żaden Rosjanin ani Ukraińiec.

Wszyscy pamiętamy, jak prezydent Macron rozmawiał z Putinem przez telefon na krótko przed rozpoczęciem wojny. Kanclerz Scholz osobiście był na Kremlu, by odwiedzić go od inwazji. Rozmawiali też regularnie przez telefon po rozpoczęciu wojny. Dziś już wygląda na to, że wszyscy zdali sobie sprawę, że negocjacje z Putinem nie mają sensu.
– To było wtedy. Teraz mamy za sobą dwa i pół roku wojny. Wszystko jest już inne, pod względem psychologicznym, politycznym i moralnym. Mamy za sobą wiele bardzo złych doświadczeń. Teraz jest właściwy czas, aby otworzyć nowy rozdział.

Od początku wojny mówi się również o możliwości ataku rosyjskiej armii na jeden z krajów NATO. Czy rozmawiał pan o tym z Putinem?
– Nie lubię być śmieszny. Żadna poważna osoba nie może mówić, że Rosja zamierza zaatakować NATO.

Skąd ta pewność?
– Znam Rosjan. Różnią się od nas. Mają inną historię, inną kulturę, inne instynkty i postawy. Ale są racjonalni. A nawet hiperracjonalni.

Naprawdę? Jak racjonalny był atak na Kijów w 2022 roku?

Powinniśmy rozmawiać o tym, jaki jest strategiczny interes Europy, zwłaszcza w okresie po jesiennych wyborach w USA. Chcę pokazać alternatywy dla dominujących linii. Dlatego dyskusja, którą wywołały moje dotychczasowe podróże i którą wywołają przyszłe, jest dobra

– Irracjonalność bywa efektem racjonalnego kalkulowania. Niemniej atak na NATO jest całkowicie niemożliwy, ponieważ NATO jest zdecydowanie najsilniejszym sojuszem wojskowym w historii. Wystarczy spojrzeć, ile trudności mają Rosjanie na linii frontu z samymi Ukraińcami. Jakie szanse miałyby Rosja, atakując NATO?

W tym tygodniu w Waszyngtonie odbywa się szczyt NATO. Czy będzie pan tam relacjonował swoje ostatnie rozmowy z Putinem i Zelenskim?
– Nie mam takich planów. Po każdym spotkaniu składam sprawozdanie europejskim szefom państw i rządów oraz przewodniczącemu Rady UE, aby ich poinformować i przedstawić pewne sugestie dotyczące tego, jak możemy postępować i jakie decyzje podejmować. Jako premier dziesięciomilionowego kraju staram się być tak skromny, jak to tylko możliwe. Jeśli mnie o to zapytają na szczycie w Waszyngtonie, to co innego. Ale skromność jest najważniejsza, gdy jest się Węgrem.

Czy był pan zaskoczony gniewną reakcją innych szefów państw i rządów na pana „podróżniczą dyplomację”, czy też spodziewał się pan tego?
– Myślę, że powinniśmy zacząć rozmawiać nieco więcej i bardziej szczegółowo o tym, jaki jest strategiczny interes Europy, zwłaszcza w okresie po jesiennych wyborach w USA. Chcę pokazać alternatywy dla dominujących linii. Dlatego dyskusja, którą wywołały moje dotychczasowe podróże i którą wywołają przyszłe, jest dobra.

Czy powiedział pan ukraińskiemu prezydentowi podczas spotkania w Kijowie, że spotka się pan z Putinem?
– Nie informowałem o tym nikogo. Takie podejście jest kluczowe w misji pokojowej, którą obecnie wykonuję.

Czy rozmawiał pan ostatnio z Donaldem Trumpem?
– Kontakty z nim uważam za istotne. Jego syn był tu, w Budapeszcie, zaledwie dwa tygodnie temu.

Więc wierzy pan, że Trump wygra w listopadzie?
– Wybory to największa zagadka na świecie. Nie da się przewidzieć, w jaki sposób indywidualna wola milionów lub setek milionów ludzi ostatecznie przełoży się na wynik wyborczy. Ale prawdopodobieństwo, że to nie Joe Biden będzie następnym amerykańskim prezydentem, jest bardzo, bardzo wysokie.

Nie uważa pan, że Biden jest wystarczająco sprawny psychicznie i fizycznie, aby pozostać prezydentem?
– Nie jestem amerykańskim wyborcą, więc nie do mnie należy wypowiadanie się na ten temat. Ale mogę powiedzieć, że Europejczycy powinni prowadzić niezależną, suwerenną politykę zagraniczną, choć w sojuszu z USA.

Trump dużo mówi o swoim możliwym „planie pokojowym”. Twierdzi, że doprowadzi do pokoju w jedną dobę. Zagroził też, że wstrzyma dostawy broni na Ukrainę.
– Ja wierzę, że nowe przywództwo oferuje nowe otwarcie i możliwości.

Czyli ma pan podejście podobne do Trumpa?
– On wierzy bardziej w bezpośredni kontakt i negocjacje niż europejscy decydenci polityczni, zorientowani bardziej intelektualnie. Jest biznesmenem, ma więc inne podejście. I myślę, że to dobrze dla globalnej polityki.

Znam wielu Ukraińców, którzy bardzo boją się, że Trump zostanie prezydentem, a Putin po prostu zostanie od niego to, czego chce.

– Trump taki nie jest. Dawanie komukolwiek tego, czego ten chce, nie pasuje do człowieka, który sam się stworzył.

Czy rozmawiał pan ostatnio z europejskimi liderami o swoich poglądach na wojnę?
– Zanim udałem się do Kijowa i Moskwy – a wkrótce udam się do kilku innych stolic – najpierw odwiedziłem kanclerza Niemiec, a następnie premier Włoch i prezydenta Francji.

Jaki był wynik spotkania z Scholzem?
– Dowiedziałem się więcej o jego stanowisku. Nie jest moim zadaniem nagłaśnianie argumentów niemieckiego kanclerza, ale wyjaśnił on swoje stanowisko bardzo racjonalnie, a ja wyjaśniłem swoje. Nie było jednak między nami prawie żadnego porozumienia.

Tęskni pan za Angelą Merkel?
– Zawsze. To zabawne, gdyż byłem bardzo przeciwny imigracji, a ona była bardziej zainteresowana znalezieniem rozwiązania technicznego. Ja miałem bardziej historyczne, kulturowe spojrzenie na tę kwestię. Dlatego nie mogliśmy się zgodzić co do migracji, a konfrontacja była czasami dość ostra. Ale Merkel dobrze rozumie całą Europę Środkowo-Wschodnią, a także Rosję. Gdyby Merkel nadal była kanclerzem, nie doszłoby do zakrojonej na szeroką skalę inwazji Rosji na Ukrainę.

Dlaczego?
– Ponieważ ma zdolność wyciszania konfliktów, które są złe dla Europy. Popelniliśmy błąd, uznając, że w relacjach z Rosją mamy do czynienia z konfliktem. Zamiast go wygaszać, eskalowaliśmy go i sprawiliśmy, że stopniowo urósł do skali globalnej. ●



Ona ma głos

Nic dziwnego, że szef OpenAI właśnie ją chciał usłyszeć w swojej sztucznej inteligencji. Ale żeby kraść?

Maja Staniszevska

W maju OpenAI, firma od sztucznej inteligencji i Chata GPT, zaprezentowała demo jego nowej wersji, z którą można rozmawiać. Natychmiast zauważono, że jeden z głosów GPT-4o, nazwany Sky, niezwykle przypomina głos aktorki Scarlett Johansson. Zresztą przed prezentacją szef OpenAI Sam Altman za-tweetował jedno słowo – „ona”, które wszystkim zainteresowanym technologiami i kinem natychmiast skojarzyło się z filmem „Ona” Spike’a Jonze’a.

– Jak opisałby pan swoje relacje z matką? – pyta głównego bohatera filmu Theodore’a nowy system operacyjny, zanim wybierze głos, jakim będzie do niego mówił. – Raczej są w porządku. To, co najbardziej frustruje mnie w mamie, to to, że kiedy mówię jej o sobie, ona zaczyna mówić o sobie...

Theodore mówi dalej, ale system mu przerywa i odpowiada już głosem Scarlett Johansson.

Samantha, bo tak się przedstawia, z wirtualnej asystentki szybko zmienia się w powiernicę, przyjaciółkę, kochankę. Uprawiają cyberseks, a potem Samantha znajduje dla Theodore’a ludzką surogatkę, co jednak okazuje się dla niego zbyt przytłaczające.

Wreszcie staje się miłością samotnego bohatera. A potem odchodzi, zmuszając go do zmierzenia się z realnym światem.

Kobiece głosy AI

Sztuczna inteligencja mówiąca kobiecym głosem to, jak zauważają badaczki

i dziennikarki specjalizujące się w technologiach i kulturze cyfrowej, nic nowego. Roboty, androidy czy boty mówiące kobiecymi głosami, ni to troskliwe matusie, ni oddane sekretarki czy pokojówki, a czasem prawie niewolnice, prze-wijają się i przez popkulturę, i przez rzeczywistość.

Jak wylicza w „New York Timesie” Amanda Hess, w pierwszym serialu „Star Trek” z 1966 roku komputer pokładowy USS Enterprise mówił głosem Majel Barrett-Roddenberry, żony twórcy serialu Gene’a Roddenberry’ego. W „Obcym – ósmym pasażerze Nostromo” Ridleya Scotta z 1979 roku załoga swój komputer nazywała Matką.

Natomiast ich odpowiednik HAL 9000 z „Odysei kosmicznej 2001” Kubricka z 1968 roku co prawda mówił męskim głosem, ale zbuntował się przeciwko swojej załodze i prawie całą zamordował.

Wirtualne asystentki w realnym świecie mówią kobiecymi głosami: Siri Apple’a, Alexa Amazona czy Cortana Microsoftu. Jednak na przykład w nawigacji Google Maps w Polsce dostępny jest tylko męski głos. Znajdzenie piosenki czy zadzwonienie do dziecka zlecamy więc kobietom, odpowiedzialne zadanie doprowadzenia nas do celu – mężczyźnie.

Scarlett Johansson nie była pierwszym wyborem Spike’a Jonze’a do roli Samanthi. Na planie głosu używała angielska aktorka Samantha Morton, ale montując film, Jonze doszedł do wniosku, że efekt go nie zadowala.

Dlatego zaprosił aktorkę, której głos jest nie tylko jednym z najbardziej charakterystycznych we współczesnym kinie, ale też jednym z najseksowniejszych i najbardziej uwodzicielskich.

– Głos Scarlett jest tak ekspresyjny i interesujący, powiedziałbym, że to jej największy atut – mówił reżyser Wes

Anderson, w którego dwóch filmach zagrała. W „Wyspie psów” tylko głosem, w „Asteroid City” całą, przypominającą gwiazdę kina lat 50. sobą.

Scarlett grozi sądem

Nic dziwnego, że Sam Altman zapragnął dać głos Johansson swojej sztucznej inteligencji. Samantha z filmu jest ideałem. W przeciwieństwie do żywych kobiet wokół – prawie byłej żony, randki w ciemno czy nawet mamy głównego bohatera – zawsze będzie słuchać, co on ma do powiedzenia o sobie czy o świecie.

Szef OpenAI postanowił też zadziałać według starej zasady Doliny Krzemowej „move fast and break things” – działaj szybko i nie oglądaj się na błędy. Ale ta zasada już nie obowiązuje. Tydzień po prezentacji nowej wersji Chata GPT z głosem Sky głos zabrała sama Johansson. Była wściekła.

Okazało się bowiem, że we wrześniu ubiegłego roku Altman zaproponował jej zostanie głosem Chata GPT. „Powiedział mi, że czuje, że danie systemowi mojego głosu może zbudować pomost między firmami technologicznymi a twórcami i pomóc konsumentom poczuć się komfortowo w trakcie sejsmicznej zmiany dotyczącej ludzi i sztucznej inteligencji. Powiedział, że czuje, że mój głos będzie pocieszający dla ludzi” – pisała w oświadczeniu.

Propozycję odrzuciła, ale dziewięć miesięcy temu okazało się, że jej „nie” zostało zignorowane. Gdy usłyszała głos Sky była „zszokowana, rozgniewana i nie dowierzała, że pan Altman zdecydował się na głos, który brzmiał tak niesamowicie podobnie do mojego, że moi najbliżsi przyjaciele i media nie byli w stanie go odróżnić”.

Ujawniła też, że tuż przed premierą Sky Altman skontaktował się ponow-

nie z jej agentem, ale nawet nie poczekał na odpowiedź. A potem „nawet insynuował, że podobieństwo było zamierzone, tweetując jedno słowo: »ona« – odniesienie do filmu, w którym użyłam głosu Samancie, systemowi, który tworzy intymną relację z człowiekiem”.

Gdy Johansson zapowiedziała kroki prawne, Altman ogłosił zawieszenie Sky. Na jak długo? Tego nie wiemy.

Wiemy za to, że Scarlett Johansson, najbardziej dochodowa aktorka w historii, której filmy zarobiły 15,4 mld dol., wygrała w oczach opinii publicznej. Dlatego jest nie tylko jedną z najbardziej znanych i podziwianych aktorek na świecie (i jedną z najlepiej zarabiających), ale też jedną z najbardziej odważnych i bezpośrednich.

Musi taka być. Odkąd zaczęła dorosłą karierę, ciągle musi walczyć o siebie. Szczególnie odkąd została królową kina akcji science fiction, a część jego fanów uznawała ją za swoją własność.

Emanująca seksapilem aktorka o urodzie gwiazdy kina złotej ery Hollywoodu stała się dla nich marzeniem, symbolem przyszłości i nowoczesności. Jako Czarna Wdowa z filmów Marvela, która jest nie tylko sprawną zabójczynią, ale i hakerką w lateksie, cyborg Major z „Ghost in the Shell” czy tytułowa Lucy z filmu Luca Bessona, która przypadkowo zażywszy specyfik pozwalający na wykorzystanie 100 procent możliwości ludzkiego mózgu, staje się zdolna do rozwiązywania zagadki bytu. Nawet jako Samantha, którą przeciw tylko słysząc, podbiła ich wyobraźnię.

Ale Johansson to dużo więcej niż atrakcyjne ciało i głos. To przede wszystkim talent i osobowość. Oraz zdecydowanie.

Wdowa warta 60 mln dolarów

W 2021 roku aktorka pozwała Disneya, gdy film „Czarna Wdowa”, w którą wcie-

FOT. SPLASHNEWS.COM/EAST NEWS



łała się wcześniej osiem razy, trafił jednocześnie do kin i streamingu.

Nie zapytano jej o zgodę, mimo że w kontrakcie miała zapisaną tylko premierę kinową. Oraz udział w zyskach ze sprzedaży biletów. Zażądała więcadośćuczynienia. Przedstawiciele Disneya próbowali ją dyskredytować, przedstawiać jako chciwą gwiazdę, która nie bierze pod uwagę pandemicznej sytuacji i żąda więcej pieniędzy, gdy jej koleżanki i koledzy z branży nie dostają ich wcale, bo show-biznes praktycznie zamarł.

Johansson nie poddała się szantażowi. Dla wielu stała się symbolem walki nie tylko o swoje, ale też o ich w epoce, gdy wielkie koncerny medialne i ich serwisy streamingowe zaczęły stawiać warunki, często niekorzystne dla twórców.

Wystarczy przypomnieć sobie batalie naszych filmowców o tantiemy z internetu, czyli właśnie od serwisów streamingowych.

Jak przypominało „Variety”, w historii Hollywood gwiazd, które pozwały studia filmowe i wygrały, była garstka i byli to głównie mężczyźni, m.in. Burt Lancaster, Kevin Costner i Sylvester Stallone. Z kobiet zrobiły to Olivia de Havilland i Elizabeth Taylor. Ta ostatnia pozwała studio Fox w 1964 roku o zbyt małą gażę za „Kleopatrę” i w umowie pozasądowej dostała 7 mln dol. (dziś byłoby to około 71 mln).

Johansson też poszła na ugodę, podobno dostała 40 mln dol., poza 20 mln samej gaży. Jej sprzeciw dodał otuchy branży, w tym strajkującym w ubiegłym roku scenarzystom i aktorom, którzy także walczyli z gigantami branży rozrywkowej.

Kradzież głosu czy też jego umiejętnie podrobienie – Altman twierdzi, że głos Sky jest głosem zatrudnionej przez firmę aktorki, której tożsamości jednak nie ujawnia – i próba pozbawienia należnych pieniędzy to jedno.

Ale Johansson ma też za sobą kradzież i wykorzystanie wizerunku.

Porno z gwiazdami

Rozwój AI przyniósł łatwość tworzenia deepfake’ów – zdjęć czy filmów, na których dowolną osobę można zmusić do pokazania, powiedzenia czy zrobienia dowolnej rzeczy.

Na początku roku przez Twittera/X jak pożar lasu niesły się pornograficzne zdjęcia mające przedstawiać Taylor Swift. Serwis z nimi walczył, bo rzecz dotyczyła najsłynniejszej obecnie kobiety na świecie i miliarderki.

Takie zdjęcia, a nawet filmy potrafią dziś stworzyć nastoletni chłopcy, używając zdjęć koleżanek z klasy. Prawo zaś, na co także zwróciła uwagę Johansson, nie nadąża za nowymi technologiami.

„W czasie, gdy wszyscy zmagamy się z deepfake’ami i ochroną naszego wizerunku, naszej pracy, własnej tożsamości, uważam, że są to pytania, które zasługują na absolutną jasność. Z niecierpliwością czekam na rozwiązanie w postaci przejrzystości i przyjęcia odpowiednich przepisów, które pomogą zapewnić ochronę praw jednostki” – napisała.

Sama zresztą w 2018 roku padła ofiarą pornograficznych deepfake’ów tworzonych jeszcze bez użycia AI. Nazwała wtedy Internet „rozległym tunelem ciemności, który zjada sam siebie”.

Zwróciła uwagę, że nawet mając praktycznie nieograniczone środki na ochronę swojego wizerunku w sieci, nie

jest w stanie powstrzymać nikogo przed wycięciem jej twarzy i wklejeniem na czyjeś ciało tak, że efekt wygląda bardzo realistycznie.

Zresztą nie tylko w sieci. W 2016 roku „fan” aktorki zbudował od zera robota o twarzy niezwykle ją przypominającej. Oczywiście bez pozwolenia.

Wcześniej, na przełomie 2010 i 2011 roku, haker włamał się do jej chmury i ściągnął, a następnie opublikował jej nagie zdjęcia przeznaczone tylko dla oczu jej męża, aktora Ryana Reynoldsa.

Johansson nie była jedyną ofiarą mężczyzny, który włamał się na pocztę lub do chmury 50 osób, w tym swoich koleżanek z pracy.

Ona oraz Christina Aguilera i Mila Kunis postanowiły opowiedzieć o naruszeniu pod nazwiskami. Żadna nie dała się zawstydzić, choć niektórzy komentatorzy w prasie i internauci próbowali je potępiać czy wyśmiewać.

W grudniu 2012 roku haker został skazany na 10 lat więzienia. – Nie chcę, żeby się nade mną litowano – mówiła wtedy Johansson, podkreślając, że choć nie zrobiła nic złego i została okradziona, to i tak czuje się upokorzona i zażenowana.

Ku przestrodze wszelkich drapieżników

Można odnieść wrażenie, że role istot stworzonych lub poprawionych przez człowieka, które zagrała w swoich najpopularniejszych filmach, w oczach niektórych widzów, nie tylko „tech bros”, ale przede wszystkim zwykłych nerdów, odebrały jej część człowieczeństwa.

**Obwołano ją
najseksowniejszą
kobietą na świecie
i podzielono na podroby:
najbardziej całuśne usta,
najpiękniejsze piersi,
najatrakcyjniejsza pupa.**

Być może byliby ostrożniejsi, gdyby obejrzeli najciekawszy z filmów science fiction, w jakich zagrała, „Pod skórą” z 2013 roku. Musieli go jednak przegapić. Liczby mówią same za siebie, bo film zarobił niecałe 7,5 mln dol., grosze choćby przy „Lucy” – 474,9 mln i groszki przy jej najbardziej kasowym filmie, „Avengers: Koniec gry” – 2,79 mld dol.

Film, który nakręciła z brytyjskim reżyserem Jonathanem Glazerem, nominowanym w tym roku za scenariusz i reżyserię „Strefy interesów”, jest też jej najodważniejszym i najbardziej oryginalnym.

„Pod skórą” to niepokojąca i wciągająca, pełna erotycznego napięcia wymieszanego z grozą opowieść ku przestrodze wszelkich drapieżników i naruszających granice. Johansson gra w nim kosmitkę jeżdżącą białym vanem po zimnej i mglistej Szkocji. Poluje na mężczyzn, którzy w młodej, pięknej, samotnej kobiecie na odludziu widzą smaczny kąsek. Sami tymi kąskami zostają.

Johansson w filmie wypowiada zaledwie kilka zdań, nie działa więc swoim słynnym głosem. Pokazuje się nago, ale jej nagość pozbawiona jest zupełnie erotyzmu. Za to bardzo widać jej talent i odwagę, a może przede wszystkim ją.



Oczywiście role w filmach science fiction to tylko część trwającej już 30 lat kariery Johansson. Tak, to nie pomyłka, obchodząca w listopadzie 40. urodziny aktorka zadebiutowała jako dziewięciolatka w filmie „Małolat” Roba Reinerja z 1994 roku.

Ale występować zaczęła jeszcze wcześniej, w ciasnych mieszkaniach na Manhattanie, w których mieszkała z mamą, producentką filmową Melanie Sloane, tatą, duńskim architektem Karstenem Olafem Johanssonem oraz dwójką starszego rodzeństwa i bratem bliźniakiem Hunterem.

Jej pradziadek od strony mamy w 1910 roku przybył do Nowego Jorku z Grójca. Jego brat i większość z dziesięciorga dzieci zginęli w warszawskim getcie.

Uwielbiała zwracać na siebie uwagę, tańczyć i śpiewać, oglądała z mamą filmy złotej ery Hollywoodu. A gdy finanse rodziny były w lepszej kondycji – także spektakle na Broadwayu. I marzyła, że zostanie aktorką.

Zawsze miała niski, lekko zachrypnięty głos, jakby cały dzień śpiewała albo, co mniej prawdopodobne, wypaliła zbyt wiele papierosów. Gdy zaczęła chodzić na castingi do reklam, była odrzucana, bo prowadzący uważali, że albo ma chore gardło, albo taki głos jest dziwaczny u małej dziewczynki.

W teatrze to nie przeszkadzało, Johansson zagrała w przedstawieniu z Ethanem Hawkiem. Posypały się kolejne propozycje, ale mama postawiła warunki. Scarlett miała chodzić do normalnej szkoły w tygodniu, w weekendy na zajęcia aktorstwa w Lee Strasberg Institute (uczyły się tu m.in. Sissy Spacek, Laura Dern, Uma Thurman i Angelina Jolie), a pracować w wakacje.

Jednak gdy Scarlett miała 13 lat, rodzice się rozwiedli, mama wyjechała do Kalifornii, a ona została głównie w Nowym Jorku pod opieką ojca i zasady lekko się rozluźniły. Wkrótce potem dostała rolę nastolatki po ciężkim wypadku w „Zaklinaczu koni” Roberta Redforda.

Co wyszeptał Bill Murray

A gdy miała 17 lat, była już w Tokio na planie „Między słowami” Sofii Coppoli, filmu, który nie tylko rozpoczął dorosły etap jej kariery, ale też z dnia na dzień zrobił z niej gwiazdę. Do dziś ludzie pytają ją, co wyszeptał jej w finałowej scenie na tokijskiej ulicy Bill Murray. Na planie połączyło ich braterstwo dusz, a na ekranie chemia, choć jest o 34 lata starszy.

Jak wspomina sama Johansson, ten film także zrobił z niej nowoczesną seksbombę. – Trudno było wydstać się z tej szuflady. Nie mogłam zrobić kroku naprzód – mówiła w ubiegłym roku w „Variety”. Kolejne role

w „Dziewczynie z perłą” czy „Match Point” ukazywały ją jał o obiekt męskiego pożądania, gdy ona sama dopiero uczyła się swojej kobiecości, seksualności, tego, co to znaczy być pożądaną i pożądaną.

To wtedy Woody Allen, który obsadził ją w trzech swoich filmach (poza „Match Point” także „Scoop – Gorący temat” i „Vicky, Cristina, Barcelona”), mówił o jej „przemocnym seksapilu”, a rozmaite magazyny obwoływały ją najseksowniejszą kobietą na świecie i dzieliły na podroby: najbardziej całusne usta, najpiękniejsze piersi, najatrakcyjniejsza pupa, urocze stopy itd.

– Mama byłaby dumna – ciężko pracowałam przez 14 lat, kręcąc niezależne filmy, a zostałam wybrana na najpiękniejszą piersi. A co z moim mózgiem? Sercem? Nerkami i woreczkiem żółciowym? – pytała dziennikarza „Esquire” w 2006 roku, gdy magazyn pierwszy raz ogłosił ją najseksowniejszą (ponownie zrobił to w 2013 roku).

I choć po fazie kina niezależnego i autorskiego próbowała różnych rzeczy: science fiction (dramatycznie nieudana „WySPA”), współczesnych komedii obyczajowych (mdła „Niania w Nowym Jorku” i jeszcze gorsze „Kobiety pragną bardziej”) czy filmów kostiumowych (nijakie „Kochanice króla”) – Hollywood jakby nie miało na nią pomysłu.

– Praca, jaką mi proponowano, była głęboko niesatysfakcjonująca. Wydaje mi się, że dostałam każdy scenariusz, jaki kiedykolwiek napisano dla Marilyn Monroe – mówiła w „Variety”.

Role, w których jej zależało – w „Iron Manie 2” i w „Grawitacji” – straciła na ostatnim etapie.

Przypadek sprawił jednak, że obsadzona w tym pierwszym filmie w roli Czarnej Wdowy Emily Blunt musiała się wycofać. Johansson wkroczyła do świata Marvela. Dziś przypomina, że na początku jej postać także była mocno seksualizowana – gdy pojawia się po raz pierwszy i na ringu udami dusi ochroniarza Iron Mana, grający superbohatera Robert Downey jr mówi „chcę taką”, jakby mówił o rzeczy.

Johansson pracowała z reżyserem Jonem Favreau i szefem studia Marvela Kevinem Feigem nad rozbudowaniem postaci, jej psychologią, historią, emocjami, a nie tylko dekolantami i choreografią walk. A później także nad rozbudowaniem swojej gaży.

Gdy Czarna Wdowa została członkinią Avengersów, z każdym filmem czeka, jakie dostawała za rolę Johansson, były coraz bliższe tym, jakie dostawali jej koledzy grający pozostałych superbohaterów.

Ponad dekada w filmach Marvela nie oznaczała, oczywiście, grania tylko w fil-

► Służąca/muza Vermeera, czyli „Dziewczyna z perłą” Petera Webbera

▲ Policjantka cyborg w „Ghost in the Shell” Ruperta Sandersa

▲ W transowym „Między słowami” Sofii Coppoli z Billem Murray’em

▼ Natasha Romanoff, czyli „Czarna Wdowa” Cate Shortland FOT. BE&W (4)

mach Marvela. Johansson została co prawda królową kina science fiction, ale nie porzuciła kina kameralnego i niezależnego, grała m.in. u Camerona Crowe’a, braci Coen czy wspomnianego Wesa Andersona.

Dwa lata z rzędu była najlepiej zarabiającą aktorką świata (w 2018 i 2019 roku). W 2020 roku zaś dostała dwie nominacje do Oscarów – za pierwszoplanową rolę w „Historii małżeńskiej” Noah Baumbacha i drugoplanową w „Jojo Rabbit” Taiki Waititiego.

Pierwszy to klasyczny współczesny dramat obyczajowy o rozpadzie małżeństwa. Drugi to absurdałna czarna komedia o chłopcu z III Rzeszy, którego wymyślnym przyjacielem jest Adolf Hitler.

Po przerwie spowodowanej narodzinami syna Cosmo (ma też dziewięcioletnią Rose z drugiego małżeństwa z francuskim dziennikarzem i kuratorem wystaw Romanem Dauriakim) wróciła na plan.

Nie tylko do Wesa Andersona, ale też m.in. na plan komedii „Zabierz mnie na Księżyc”, która właśnie weszła do kin. Stała się kamerą w swoim reżyserskim debiucie „Eleanor the Great”.

Spełnia też marzenie z dzieciństwa i gra w kolejnym filmie z serii „Park jurajski”, zdjęcia trwają właśnie w Tajlandii.

Kontrowersje i polityka

Nie zawsze i nie przez wszystkich była pożądana i podziwiana. Wywołała też niejedną burzę.

W dyskusji wokół obsadzenia jej, białej aktorki, w „Ghost in the Shell”, filmie na podstawie kultowej japońskiej mangi, której bohaterami są Azjaci, stwierdziła, że powinna móc jako aktorka zagrać „każdą postać, każde drzewo”.

Potem mówiła, że jej wypowiedź cytowano bez kontekstu, a ten brzmiał: w idealnym świecie powinna mieć taką szansę. A ona zdaje sobie sprawę, że w nim nie żyjemy i że jest uprzywilejowana.

Potem przyjęła rolę kobiety trans i odsyłała protestujące środowiska LGBT do cis-aktorów, którzy wcześniej zagrali role osób trans i dostawali za to nagrody. Też były protesty. W końcu przeprosiła i się wycofała.

Przez lata za to broniła Woody’ego Allena, o którym jego adoptowana córka Dylan mówi, że molestował ją, gdy była dzieckiem. I pewnie nadal broni, ale już nikt nie ma odwagi pytać po jej stanowczym oświadczeniu najpierw dziennikarce „The Observer”, a potem w „Vanity Fair”, że nie zamierza publicznie odnosić się do oskarżeń.

Nawet #MeeToo, w które Johansson się zaangażowała, nie sprawiło, że zmieniła zdanie. Allen jest jej przyjacielem i to jemu wierzy.

Wywołała też kontrowersje, gdy dekadę temu zaangażowała się w promocję izraelskiej firmy SodaStream, której główna fabryka znajdowała się wtedy na okupowanym Zachodnim Brzegu.

Organizacja humanitarna Oxfam, której była wtedy ambasadorką, stwierdziła, że to kłóci się z ich misją, więc Johansson zrezygnowała. Nie ze współpracy z SodaStream jednak, ale z Oxfamem.

W sprawie trwającej wojny w Gazie aktorka, którą izraelska prasa opisuje jako Żydówkę, się nie wypowiada. Krążące wiosną w internecie pogłoski, że straciła duży kontrakt, bo wymagano od niej potępienia Izraela, okazały się plotkami.

Milczenie Johansson akurat w tej sprawie może dziwić. Zwłaszcza że aktorka nie stroni od polityki. Wypowiada się na temat praw kobiet, od prawa do aborcji po równość płac, angażowała się w obie kampanie wyborcze Baracka Obamy, wspierała Hillary Clinton przeciwko Donaldowi Trumpowi, a gdy wygrał, stwierdziła, że przed USA ciężkie czasy.

W kolejnej kampanii poparła Elizabeth Warren, a nie Bidena, ale gdy dostał nominację, wzięła udział w kampanii profekwencyjnej.

Teraz zapewne poprze Bidena w starciu z Trumpem. Nie bardzo ma wyjście.

Nie dlatego, że z trzecim mężem Colinem Jostem, jednym ze scenarzystów kultowego „Saturday Night Live”, została zaproszona do Białego Domu, gdzie Jost był gospodarzem kolacji dla korpusu prasowego i tradycyjnie niemiłosiernie kpil z prezydenta, ale przede wszystkim dlatego, że jeśli Donald Trump wygra, dla zaangażowanej i wierzącej w demokrację aktorki problem ukradzionego przez AI głosu będzie najmniejszym problemem. ●

DLA BIG TECHÓW

JESTEŚMY

JAK KAPSLE DLA WTRYSKARKI

Google, Amazon, Facebook,
Apple i Microsoft coraz lepiej
przewidują nasze zachowania.
W historii rzadko mieliśmy
do czynienia z takimi monopolami.

Z **PROF. MICHAŁEM GOLIŃSKIM**, EKONOMISTĄ,
ROZMAWIA **WOJCIECH SZOT**



WOJCIECH SZOT: Co wiedzą o nas Big Techy?

PROF. MICHAŁ GOLIŃSKI: Więcej niż my sami o sobie.

Na przykład?

– Wiedzą, jakie mamy poglądy polityczne, orientację seksualną czy jesteśmy w spektrum autyzmu. Albo są w stanie przewidzieć, że kobieta jest w ciąży szybciej, niż ona sobie to uświadomi. Wszystko dlatego, że te firmy mistrzowsko opanowały przetwarzanie danych. Big Techy tworzą gospodarkę cyfrową.

Co to jest?

– To aktywności gospodarcze wynikające z miliardów bezustannych połączeń pomiędzy organizacjami, ludźmi, programami, czujnikami, a coraz bardziej urządzeniami. Hiperłączność, która tworzy się z zalewu danych i informacji – ważne, byśmy nie mylili tych dwóch rzeczy.

Czym więc różnią się dane od informacji?

– Służę informacją. Mogę dać wykład...

Spróbujmy jednak połączyć nasze pasje: pańską – wykładanie oraz moją – zadawanie pytań.

– Spróbujmy. Gdy powiem ci: „cztery”, jesteś w stanie z tym coś zrobić?

Niewiele.

– Natomiast jeśli powiem, że twój znajomy w ostatni piątek wypił o cztery browary za dużo?

To już sporo.

– Możesz dokonać interpretacji danych. Zatem dane dopiero po interpretacji, stają się informacją. Myli to mnóstwo osób. Jeśli już mamy informację, to możemy zacząć wnioskować, a więc wytwarzać wiedzę. Wyżej jeszcze jest mądrość. Ale do niej nie aspirujemy za często.

Wiemy, że danych jest niezliczona ilość. Niemal wszystko już produkuje dane. Ale jak dobrze wiemy, nie przybyło nam jakoś mądrości.

Jednak są firmy, które dzięki tym danym i ich przetwarzaniu, wiedzą o nas nieprawdopodobnie dużo.

– Tzw. Big Techy. Czasem nazywamy je też akronimami – GAFA, GAFAM, dzisiaj raczej GAMAM. Od nazw firm – Alphabet (dawniej Google), Amazon, Meta (dawniej Facebook), Apple i coraz częściej do tego jest zaliczany Microsoft. Big Techy opanowały umiejętność przechodzenia na te wyższe poziomy piramidy, o której przed chwilą mówiłem. Mają niemal do perfekcji opanowane przetwarzanie danych w informację, a tych w wiedzę o nas i umiejętność monetyzowania tego. Do tego dochodzi coraz doskonalsze przewidywanie naszych zachowań.

Monetyzowanie to element mądrości?

– Przeważnie wygląda to tak, że miała być mądrość, a skończyło się na monetyzowaniu. Zamiast wykorzystać wiedzę to tego, co określamy jako mądrość, jest ona zamieniana na pieniądze. I dlatego też wbrew tej ilości danych i informacji, w wielu dziedzinach rozwój wcale nie jest tak szybki, jakby mógłby być.

Można by zapytać, czy widzieliśmy kiedyś wynalazek, który ludzkość w sensowny sposób by wykorzystwała tylko dla szlachetnych spraw.

Czy Big Techy są czymś w rodzaju państw?

– Zdecydowanie.

Mark Zuckerberg nawet kiedyś skromnie stwierdził: „Pod wieloma względami Facebook bardziej przypomina rząd niż tradycyjną firmę”.

Na dodatek są to państwa mocno suwerenne.

W każdym państwie mamy jakieś urzędy ochrony konsumenta, nadzory budowlane, farmaceutyczne, bankowe i tak dalej. Niemal każdy kraj ma wiele takich instytu-

cji. W Big Techach regulatorów nie mamy. To znaczy oficjalnie mamy, ale coś słabo regulują. A brak regulacji też jest formą regulacji, bo wtedy na rynku wygrywa po prostu najsilniejszy.

Amerykanie co jakiś czas ściągają ludzi z Big Techów na jakieś komisje senackie, każą im się spowiadać, ale wydaje mi się, że robią to raczej na pokaz. Po to, żeby uspokoić ludzkość. W praktyce tym Big Techom niemal nic nie grozi.

Żeby zrozumieć skąd to się wzięło, musimy cofnąć się do lat 90. XX wieku. Jeszcze nie funkcjonował termin „gospodarka cyfrowa”. Mówiło się o „społeczeństwie informacyjnym”. Wtedy amerykańscy regulatorzy dorwali się do Microsoftu, któremu groził podział. Takie rzeczy się już zdarzały wcześniej – w latach 80. zmuszono do podziału AT&T, amerykańską sieć telefoniczną, która została uznana przez Departament Sprawiedliwości USA za monopolistę. W wyniku działań antymonopolowych ekspansja Microsoftu została nieco przyhamowana. Dlatego możliwy był tak silny rozwój Google’a i Facebooka. Oni częściowo wskoczyli w lukę.

Amerykański rząd niejako godzi się na to, że Big Techy zbierają dane. Nastawienie do prywatności w Stanach jest inne niż w Europie i ogromnie się zmieniło po 11 września. Oczywiście zdarzają się takie głosne, spektakularne sprawy, jak ta, gdy Apple odmówiło odkodowania telefonu zamachowca, ale to jest robione mocno na pokaz. Sądzę, że amerykański rząd z tych danych często i chętnie korzysta.

Podśluchuje nas?

– Jesteśmy ciągle podsłuchiwani. I nie chodzi mi tylko o wszelakie Pegasusy. Shoshana Zuboff w – trochę pretensjonalnej – książce „Wiek kapitalizmu inwigilacji” mówi, że nie chodzi o to, że komuś strasznie zależy na wiedzy o tym, czy jesteśmy lewakami, czy prawakami, a o to, by na podstawie tej informacji zaoferować nam odpowiednie treści i przewidzieć nasze prawackie lub lewackie zachowania. Oczywiście w pierwszym rzędzie zakupowe.

Warto przy tej okazji wiedzieć, że obecnie nie ma już czegoś takiego jak jeden internet. Dzisiaj mamy intranety. To pojęcie oznaczało kiedyś tylko sieć wewnętrzną w firmie, a dzisiaj mamy do czynienia z odizolowanym internetem chińskim, trochę gorzej oddzielonym i nieco kulawym rosyjskim i „zachodnim”. I jakby ktoś mnie spytał, to już wolę, by tym wszystkim rządził Google i rząd Stanów Zjednoczonych, niż żeby to było Baidu i Komunistyczna Partia Chin.

Trwa coś w rodzaju „wojny proxy”.

Kiedyś się rywalizowało w kosmosie, dzisiaj w informatyce. Niestety Europa nie bierze w tym udziału.

Europie dobrze wychodzi produkcja niezwyklej ilości dokumentów na ten temat. Pod tym względem nasze dokonania są imponujące. Ale zna pan jakąś dużą, europejską firmę informatyczną w szerokim tego słowa znaczeniu? Nie? No właśnie. To niemiecki SAP, firma duża, ale nie olbrzymia i o znaczeniu jednak niewielkim, zwłaszcza z punktu widzenia indywidualnego użytkownika. Nim się zajęły amerykański Big Techy.

Które funkcjonują w zupełnie innym świecie niż firmy europejskie.

– Oczywiście, bo amerykański liberalizm z polskiego czy europejskiego punktu widzenia jest naprawdę trudny do zrozumienia. Noblista z ekonomii, Joseph E. Stiglitz pisał kiedyś, że nie może funkcjonować rynek, na którym panuje dramatyczna asymetria informacji. A przecież trudno sobie wyobrazić większą asymetrię niż ta, z którą mamy do czynienia w przypadku Big Techów. Dlatego tu nie ma rynku, jest monopol lub duopol.

Warto przyjrzeć się temu, jak zmieniała się lista największych firm na świecie. Do XXI w. dominowały na niej firmy technologiczne w rodzaju General Electric, a dzisiaj są to platformy łączące różne strony rynku i czerpiące z tego niebotyczne zyski.

W dniu, w którym rozmawiamy, firmą o największej kapitalizacji jest Microsoft, parę dni temu było to Apple. Na ile są wyceniane? Ponad trzy biliony dolarów. Na liście dziesięciu największych firm aż siedem to firmy informatyczne. Oprócz nich są tam fundusz inwestycyjny, firma farmaceutyczna i saudyjska firma paliwowa.

Nikt tu nie produkuje jedzenia.

– W gospodarce cyfrowej jedzenie jest zupełnie niepotrzebne... Wróćmy do tych trzech bilionów. Niedawno usłyszałem, że na konferencji w Berlinie państwa postanowiły wesprzeć Ukrainę kwotą 1,9 miliarda euro. To jest kwota 1700 razy mniejsza, niż wycenia się takiego Apple’a! PKB Polski jest pięciokrotnie mniejsze od tej wyceny. A przecież to kraj, który odniósł naprawdę wielki sukces ekonomiczny.

Kapitalizacja to faktyczna kasa czy trochę bajka o potęgde?

– Trochę bajka, bo przecież nie da się z dnia na dzień sprzedać Apple’a po takiej cenie. Rynek by oszalał. To bajka, która jednocześnie odzwierciedla marzenia i nadzieje inwestorów, którzy bez przerwy pompują w te firmy pieniądze.

Większość z Big Techów nie wypłaca dywidend, więc ich akcje kupuje się z nadzieją na bezustanny wzrost. Dlatego ludzie,

Mniejsze PKB niż przychody Meta ma ponad 140 państw świata

którzy w nie inwestują, tolerują ich wtopę. Przecież te firmy co chwilę mają jakieś wpadki, tracą miliardy dolarów, inwestują w zupełnie nieopłacalne, ryzykowne pomysły. W przypadku normalnej firmy zaufanie inwestorów dawno by zaczęło topnieć. W przypadku Big Techów – nic się takiego nie dzieje.

Gdy wziąć przychody tych firm, co prawie można porównać do PKB, GAMAM byłby w 2022 r. 14 „państwem” na świecie.

Mniejsze PKB niż przychody Meta ma ponad 140 państw świata.

Do tych danych i informacji dołożmy kolejne. Sprawdźmy zatrudnienie. Amazon co prawda zatrudnia grubo ponad milion pracowników, którzy pracują w ich magazynach, ale pozostałe z Big Techów zatrudniają do 200 tys. osób. W Mecie, czyli Facebooku, pracuje 80 tys. osób. Bardzo niewielu wypracowuje bardzo wiele.

Do tego dołożmy wskaźnik R&D, czyli „research and development”, wydatki na badania. Big Techy – wspólnie – wydają na nie więcej niż Niemcy i Korea Południowa. Sam Alphabet wydaje więcej niż Kanada, a Apple niż Holandia czy Izrael, który jest przecież symbolem postępu, państwem, w którym wydaje się, że każdy ma w domu karabin maszynowy i start-up.

Microsoft wydaje na badania 20 miliardów dolarów. Polska – 18. Nas jest 38 milionów... Dołożę jeszcze jedną daną – w ciągu dwóch dekad wartość kapitalizacji Amazona wzrosła o 1628 procent! Żaden kraj się tak nie rozwija, to po prostu niemożliwe.

Big Techy monopolizują nasze życie, trudno dziś wyobrazić sobie komunikację między ludźmi bez ich udziału. Czemu nie interweniuje jakiś urząd antymonopolowy?

– Gdyby ich siedziby były w Europie, pewnie dałoby się coś z tym zrobić. Pamiętam, jak Unia Europejska regulowała rynek firm z przemysłu samochodowego. Komisja Europejska przyczepiła się do tego, że w Grecji jakaś firma będzie miała za duży udział w produkcji samochodów ciężarowych w przedziale między półtonię a trzy tony. A jakie to ma znaczenie dla świata? W USA też są postępowania antymonopolowe, ale jakoś nie w obszarze Big Tech.

Amerykański Departament Sprawiedliwości używa wskaźnika Herfindahla-Hirschmana do określania natężenia konkurencji na rynku. To dość proste – liczy się sumę kwadratów udziałów rynkowych.

Wierzę na słowo.

– Wskaźnik między 1500 do 2500 określa rynek „umiarkowanie skoncentrowany”. Powyżej jest niedobre – mamy do czynienia z zagrożeniem monopolem. Według danych zarówno na rynku przeglądarek, wyszukiwarek, mediów społecznościowych i systemów operacyjnych dla urządzeń mobilnych Big Techy szybują wysooko ponad tymi pułapami. Google pokrywa 91 proc. rynku wyszukiwarek na świecie, w Polsce niemal 95 proc. Chrome ma



63 proc. światowego rynku przeglądarek, a Android – 72 proc. w systemach operacyjnych na świecie i słodki duopol z iOS w USA. We wszystkich przypadkach zdecydowanie przekraczają to, co Amerykanie uznają za ostrzegawcze światelko.

W historii rzadko mieliśmy do czynienia z takimi monopolami.

Może poza sytuacją, w której król miał monopol na kopalnię soli, gdy ścinał głowę każdemu, kto sobie wykopał jej grudek.

W każdym z tych przypadków powinien interweniować Departament Sprawiedliwości, ale z jakich powodów tego nie robi. Dlaczego? Może dlatego, że państwo również na tym korzysta?

Dane, które pan przywołuje, są fascynujące, ale intuicyjnie wydaje mi się, że wielu czytelników i czytelniczek ma świadomość tego, co się dzieje. Są może jakieś dobre wiadomości?

– Pierwszą z nich jest to, że narzędzia, które oferują Big Techy, naprawdę ułatwiają życie. Wyobraź sobie szukanie materiałów bez Google’a...

Zarabiam czasem dzięki fanpage’owi na Facebooku „Zdaniem Szota”, więc nie musisz mnie do tego przekonywać.

– Dodajmy do tego komunikację między ludźmi, nawigację... Dzięki temu, co dają nam Big Techy, jesteśmy dużo bardziej efektywni. Ale – i tu jest paradoks – niemal zupełnie nie ma to odzwierciedlenia w PKB. To paradoks, ale zabicie i wprowadzenie szy-

Piotr Trybalski

Ośmiotysięczniki Himalajów i Karakorum stały się towarem. I chociaż impuls przyszedł z Zachodu, to targowisko próżności pielęgnują lokalni przewodnicy i firmy przewodnickie. O roli Szerpów w wysokogórskim biznesie opowiada **Bernadette McDonald**, wybitna historyczka himalaizmu, autorka książki „Wyjście z cienia. Szerpowie, Bałtowie i triumf lokalnych wspinaczy”.

PIOTR TRYBALSKI: W 1955 r. brytyjska dziennikarka Jan Morris, relacjonująca dwa lata wcześniej pierwsze wejście na Mount Everest, napisała słynne zdanie, które brzmi jak przepowiednia o przyszłości Szerpów i samej góry...
BERNADETTE MCDONALD: Och, jej wypowiedź brzmiała, jakby to był kac epoki kolonialnej.

...a zdanie brzmi: „Obawiam się, że wkrótce Szerpowie, których znamy dzisiaj, będą postaciami z przeszłości; zostaną unicestwieni przez sławę, fortunę i zagraniczne innowacje. Cieszę się, że mam szansę ich poznać, zanim to nastąpi”. Więc to kac czy jasnowidzenie przyszłości, która dzieje się tu i teraz, na naszych oczach, na najwyższej górze świata?

– Ja tu widzę czającą się postawę kolonialną, bo ona mimowolnie widzi Szerpów jako mniej nowoczesnych. To wprawdzie naturalne, że żalujemy „dawnych czasów”, kiedy cenne dla nas miejsca były mniej znane, mniej zatłoczone, mniej zaśmiecone, ale bezsensowne, a nawet mało szlachetne jest myślenie, że – przykładowo – zamknięcie takiej góry jak Everest, która przynosi tak wiele korzyści gospodarczych całemu regionowi, byłoby czymś dobrym.

Paradoksalnie to Szerpowie są wniebowzięci z powodu korzyści płynących z całej tej sławy Czomolungmy – Sagarmathy, bo tak Everest nazywa się po tybetańsku i nepalsku. Mogą kształcić dzieci, w zimie mieszkać w mieście, podróżować, mieć ładne domy, jeździć samochodami, szkolić się na najwyższym poziomie. Naiwnością jest myślenie, że to, co przyszło do nich wraz z ludźmi z Zachodu, wspinaczami, turystami, jest dla nich złe. Nie przychodzi mi do głowy ani jeden Szerpa, który zgodziłby się ze zdaniem Morris. Właśnie sława i fortuna związane ze służeniem wspinaczom z globalnego Zachodu z czasem zmieniły ich z uległych tragarzy w dumnych wspinaczy.

– Prawdą jest, że w czasie pierwszych wypraw na początku XX wieku ich postawa była bardzo uległa. Brak równowagi sił pomiędzy pracodawcą – kierownikami wypraw wysokogórskich – a pracownikami – tragarzami – była ogromna. A krzywa uczenia się – bardzo płaska.

Na początku miejscowi w ogóle nie mieli pojęcia o poruszaniu się w górach, wszystko było dla nich nowe. Mogli tylko patrzeć i podziwiać swoich zachodnich pracodawców: ich umiejętności, ubiór, sprzęt, pewność siebie, odwagę, ale i dziwności – od jedzenia począwszy, na języku skończywszy. A to wszystko przy nieustannym zadawaniu jednego pytania: po co pchać się dobrowolnie w góry, które tak ich przerażają.

Ale cały czas się uczyli, obserwując i naśladując pracodawców, aż w końcu zaczęli myśleć strategicznie.

Masz na myśli koncepcję oporu i transformacji? Pisziesz o niej w książce.

– Sformułowała ją amerykańska antropolożka kultury Sherry Ortner, która pracując z Szerpami, zaobserwowała, jak świadomo-



SAHIB NADAL ZADZIERA NOSA

Nie do wiary, ale nawet dzisiaj w relacjach z wypraw zachodnich wspinaczy często pojawia się wzmianka o „moim Szerpie”.

mie dążą do przekazania władzy lub przynajmniej podziału władzy.

Jednym z najlepszych przykładów narodzin tej postawy jest Ang Tharkay, uznawany za ojca nowoczesnego wspinania Szerpów. Gdy w wieku 12 lat wyruszył do Darjeelingu w Indiach, jak wszyscy nowicjusze zaczynał jako zwykły tragarz, ale był obserwatorem ludzkiej natury i miał szczęście, że pracował dla Harolda Tilmana i Erica Shiptona, pionierów walki o pierwsze wejście na Everest, którzy w mniejszym stopniu niż inni kierownicy wypraw hołubili kolonialne zwyczaje.

Ang Tharkay zrozumiął, że każda ze stron ma coś wartościowego do zaoferowania. Opiekował się swoimi „sahibami”, a oni uczyli go tego, co musiał wiedzieć, aby utrzymać się przy życiu w górach, zdobyć kwalifikacje i mieć coraz większe szanse na zatrudnienie przy kolejnych wyprawach.

Niemniej ta godnościowo-ekonomiczna transformacja kosztowała wiele żyć. Wymieniając pierwsze z brzegu: brytyjska wyprawa na Everest w 1922 r. – zginęło siedmiu Szerpów. Rok 1930 i amerykańska wyprawa na K2 – próba uratowania „sahiba” Dudleya Wolfe’a, zginęło trzech. Niemiecka ekspedycja Williego Merkla na Nanga Parbat w 1934 r. – kolejnych sześciu. Przykłady można by mnożyć, ale czy byłabyś w stanie wymienić nazwiska Szerpów, którzy brali udział w tych wyprawach? Albo przynajmniej tych, którzy zginęli?

– Z jednym, spektakularnym wyjątkiem Tenzinga Norgaya – pierwszego zdobywcy Everestu wraz z Edmundem Hillarym

– nasza wiedza na temat poszczególnych lokalnych wspinaczy podczas pierwszych wejść w Himalajach i Karakorum jest znikoma.

W wielu relacjach z wypraw – nie tylko tych wczesnych – w ogóle nie wymienia się nazwisk lokalnych wspinaczy. I to nawet w ostatnich latach, mimo rosnącej świadomości postkolonialnych relacji we wspinaczce. Na przykład Dawa Gyalje Sherpa dwukrotnie próbował zimą z Japończykami południowej ściany Lhotse, w 2003 r. osiągnął ponad 8100 metrów. W 2006 r. został zmuszony do zejścia z ręką tak uszkodzoną przez spadający lód, że ledwo mógł obsługiwać urządzenie do zjazdów. Mingma G również tam był w 2006 roku. Ale o ich wysiłkach nie wspomina się w żadnym oficjalnym raporcie. Ani w „American Alpine Journal”, „Alpine Journal” ani „Himalayan Journal”. Nawet w himalajskiej bazie danych Elizabeth Hawley.

Kiedy rozmawiałam o tym z asystentką Hawley Billi Bierling, była równie zszokowana jak ja. Fakty pozostają faktami: nie zostali wymienieni z imienia i nazwiska w żadnym z raportów. Jeśli już ktoś wskazuje udział Szerpów, to ich wkład jest zazwyczaj zminimalizowany lub niedoceniony. Współczesnym przykładem jest Lhakpa Sherpa. W końcu uznano ją za tą, która zdobyła Everest najwięcej razy spośród kobiet, bo aż dziesięć, ale co z tego?

Ma sławę? Fortunę?

– Nadal myje naczynia w Whole Foods, aby utrzymać rodzinę. Wprawdzie w tym roku Netflix ma wypuścić o niej film i w związku

z tym zaczyna się cieszyć pewną popularnością, ale gdyby była kobietą z Zachodu z takim rekordem, miałaby nie tylko popularność, ale także bogactwo i bezpieczeństwo.

Ciekawie będzie sprawdzić, czy jakieś pieniądze z Netfliksa trafią na jej konto bankowe.

Jednak już wcześniej, w 1928 r., wraz z powstaniem Himalayan Club w Darjeelingu, nagradzano lokalnych tragarzy. Czy to faktycznie była chęć docenienia ich wkładu w wyprawy czy cyniczna selekcja najlepszych?

– Prawdopodobnie i to, i to. Klub stworzono, aby pomagać swoim członkom – obcokrajowcom, głównie z Europy – w logistyce wypraw, w tym w procesie rekrutacji lokalnych tragarzy i wspinaczy. Najpewniej medale i miano Tygrysów Himalajów były dla potencjalnych pracodawców oczywistymi wskaźnikami wyboru najlepszych Szerpów.

Posiadanie medalu niesło po prostu korzyści ekonomiczne, lecz był to też szczyry ukłon w stronę ich osiągnięć.

W 1980 r., po pierwszym zimowym wejściu na Everest, Andrzej Zawada w przemówieniu stwierdził, że to sukces zarówno polskich wspinaczy, jak i Szerpów. W ostatnich dekadach XX wieku takie zachowanie już było normą, czy zadziałał egalitaryzm przedstawiciela kraju też dotkniętego kolonializmem, tylko innego rodzaju, i traktowanego przez Zachód jak ubogi krewny?

– Nie sądzę, żeby to było normą, chociaż jeśli spojrzysz na zdjęcie grupowe uczestników brytyjskiej wyprawy na Everest z 1975 r.,



• 28 maja 1953, Szerpa Tenzing Norgay na Mount Evereście. Następnego dnia on i Edmund Hillary zostaną pierwszymi ludźmi, którzy weszli na najwyższy szczyt Ziemi

FOT. AL FRED GREGORY/ROYAL GEOGRAPHICAL SOCIETY / GETTY IMAGES

widać na nim Pertembę Szerpę. Na zdjęciu wyprawy Zawady są Szerpowie. Myślę, że wszystko zależy od tego, jaką rolę odegrali. Jeśli po prostu byli wsparciem, zachętą do uznania była niewielka. Jeśli była to bardziej rola przywódcza lub strategiczna, uznanie było nieco bardziej bezpośrednie.

Co w takim razie powinno się zmienić w naszej narracji o Szerpach?

– Najprościej – każdy Szerpa powinien mieć imię. To szokujące, ale nawet dzisiaj w internetowych relacjach z wypraw zachodnich wspinaczy często pojawia się wzmianka o „moim Szerpie”. Osoba, która prowadziła, motywowała, karmiła, nosiła tlen dla klienta, jest nazywana „moim Szerpą”. To samo z „hapsami” – przecież pakistańscy tragarze również mają imiona.

I mają swoje role w wyprawie, czasem w ogóle nieznanne...

– Szczerościę też by się przydała. Kto, co i kiedy zrobił w górach, jaką miał rolę, w jakim kontekście. Kto poręczał, a kto nosił sprzęt.

Ciągle wracam myślami do amerykańskiej wyprawy Fritza Wiessnera na

K2 w 1939 r. Wspinał się bez butli z dodatkowym tlenem, zawrócił 240 metrów od wierzchołka. Nie docenił jednak pracy, jaką wykonywał jego partner Pasang Dawa Lama, też wspinający się bez butli z tlenem. Pasang Dawa Lama wielokrotnie udowydniał swoją wartość, dokonał pierwszego i drugiego wejścia na Cho Oyu w 1954 i 1958 r. – ale już w tym 1939 powinien był zyskać sławę.

Nie mówiąc już o trójce, która na tej samej wyprawie poświęciła życie dla Dudleya Wolfe’a, próbując go uratować: Pasang Kikuli, Phinsoo i Pasang Kitar. Czy ktoś z interesujących się górami najwyższymi zna te nazwiska?

W takim razie jak do tego doszło, że dziś mamy Szerpów – bohaterów z kilkunastoma wejściami na Everest na koncie i zimowym K2 w kieszeni? Bo trudno mi posądzać chociażby Brytyjczyków o to, że przychylnym okiem patrzyli na swoich kolonialnych podwładnych...

– To prawda. Wiele ówczesnych historii mówi o protekcyjnej postawie brytyjskich wypraw wobec lokalnych tragarzy czy wspinaczy. System klasowy, który był

wówczas tak powszechny w Wielkiej Brytanii, przeniósł się na życie ekspedycyjne i wielu lokalnych wspinaczy go nienawdziło. Przykładów jest mnóstwo, Tenzing Norgay pisał o tym nawet we wspomnieniach.

Zmiana nastawienia do lokalnych wspinaczy, szczególnie do Szerpów, następowała stopniowo i trwa do dziś. Pomogły ich coraz lepsze umiejętności i wrodzone predyspozycje do przebywania na dużych wysokościach.

Na brytyjskiej wyprawie, która miała się zmierzyć z południowo-zachodnią ścianą Everestu w 1975 r., Chris Bonington konsultował akcję górską ze swoimi brytyjskimi kolegami, ale czasami wołał radę sirdara – czyli szefem Szerpów - Pertemby.

Co zresztą wywołało irytację brytyjskiej ekipy...

– Wywołało! Mało tego, Pertemba był w stanie negocjować z Boningtonem, stawiać warunki: „OK, będę twoim sirdarem, ale za to chcę mieć szansę na uczestnictwo w ataku szczytowym”.

Cóż, coraz większa wiedza i umiejętności lokalnych wspinaczy zdecydowanie zmieniły reguły gry, a obiekty szkoleniowe założone przez wspinaczy z Zachodu – jak chociażby ten w Manang stworzony w 1979 r. przez Słoweńca Aleša Kunavera czy Centrum Wspinaczkowe „Khumbu” w Phortse założone w 2003 r. przez Fundację Alexa Lowe’a – ogromnie zmieniły umiejętności wspinaczy Szerpów.

Kolejna zmiana nastąpiła wraz z poziomem edukacji. Dopóki Szerpowie byli niewykształceni, często wręcz niepiśmienni, ich zdolność wyrażania swoich potrzeb i pragnień wobec pracodawców była poważnie ograniczona. A w przypadku niektórych tak jest nadal. Lhakpa Szerpa jest analfabetką i to zdecydowanie ją ogranicza. Szerpowie z wykształceniem wiedzą, jak tłumaczyć swoje potrzeby pracodawcom lub klientom.

Największa zmiana podejścia nastąpiła jednak dzięki internetowi. Wyrównało to szanse lokalnych wspinaczy. Internet w Nepalu i Pakistanie jest w zasadzie wszędzie i każdy, bez względu na to, czy jest wykształcony, wykwalifikowany czy nie, może się połączyć z siecią i bezpośrednio opowiedzieć swoje historie, nawiązać kontakt z innymi wspinaczami, sprawdzić stawki, ceny. Czuć się i być częścią społeczności, co ważne dla wielu lokalnych wspinaczy, szczególnie tych prowadzących działalność gospodarczą. To zmieniło nastawienie bardziej niż cokolwiek innego.

Pierwszą komercyjną wyprawę na Everest zorganizowała agencja Szerpy Anga Tsheringa – Asian Trekking – w 1984 r. Jak to się stało, że agencje wysokogórskie prowadzone przez miejscową ludność zdominowały tę dziedzinę turystyki wysokogórskiej?

– Podobnie jak ze wspinaniem – nauczyli się, przestali być portierami, stali się prezesami firm. Nepalczycy pracowali przy wyprawach wystarczająco długo, aby zrozumieć biznes, a teraz, gdy mogą promować własne firmy bezpośrednio wśród potencjalnych klientów za pośrednictwem internetu, naprawdę nie potrzebują w ogóle firm zagranicznych.

Oczywiście w Pakistanie też są firmy przewodnickie, ale bardzo mało, a większość przewodników w Pakistanie to Nepalczycy. Do pracy w górach zatrudniani są wprawdzie miejscowi wspinacze pakistańscy, ale rzadko kiedy jako przewodnicy, najczęściej są tragarzami wysokościowymi, bez pełnej odpowiedzialności za przewodnictwo i bez proporcjonalnej zapłaty.

Rozumiem biznes, ale czy pośród Szerpów albo wspinaczy pakistańskich żyje dziś pragnienie odkrywania gór, podbijania i wyznaczania nowych dróg wspinaczkowych? Podnoszenie poprzeczki? Wyzwanie sportowe? Myślą jak „zwykli” wspinacze z Zachodu?

– Przede wszystkim ważne jest, aby odróżnić zwykłego zachodniego alpinistę – sportowca – od zwykłego zachodniego klienta – turysty wysokogórskiego. Obecnie ogromna większość akcji górskich w Himalajach i Karakorum, w których udział biorą lokalni wspinacze, wiąże się z wysokogórkimi turystami – klientami agencji. Wielu Szerpów traktuje więc swoje agency jako miejsce pracy i nie ma większych ambicji poza wyprowadzeniem klienta na szczyt i sprowadzeniem go do bazy.

Co nie oznacza, że niektórzy z nich nie mają ambicji. Rozmawiałam z wieloma młodymi wspinaczami z Nepalu i Pakistanu, którzy mają te same marzenia co wspinacze sportowcy z Zachodu: pierwsze wejścia, nowe drogi, zimowe wejścia, a nawet zwykła zabawa w skałkach. Niestety nie wszyscy posiadają wymagane umiejętności. Ale dla tych, którzy to robią, nie jest niczym niezwykłym, że gdy w sezonie zarobią wystarczająco dużo, prowadząc komercyjnych klientów, biorą kilka dni wolnego i z kilkoma przyjaciółmi wyruszają na sześciotysięcznik w poszukiwaniu nowej drogi na szczyt albo dokonują pierwszych wejść.

Ambicje ambicjami, a umiejętności czy sto techniczne? Czy dzisiejsi Szerpowie dorównują wspinaczom sportowcom z Zachodu?

– Trudno porównywać Szerpów z zachodnimi wspinaczami. Jeśli mówisz o wspinaczce na dużej wysokości i odporności na tę wysokość, to nie sądzę, że ktokolwiek jest w stanie być od nich lepszy. Jeśli mówisz o umiejętnościach technicznych, to cóż... Więcej Szerpów nie ma umiejętności pokonywania ekstremalnie technicznych tras, niż ma. Nie można jednak generalizować. Faceci tacy jak Vinayak Malla, Tashi Sherpa – który przeprowadził się do Boulder, wspinaczkowej mekki w Stanach – Mingma G i sporo innych są świetnymi wspinaczami technicznymi.

A kobiety – Szerpanki czy Pakistanki – wspinają się?

– Prowadzi klientów w góry i wspina się więcej Nepalek niż Pakistanek. Po części wynika to z norm kulturowych, ale przede wszystkim z systemu szkolenia. Dawa Yangzum Sherpa, pierwsza i jedyna nepalska przewodniczka UIAGM – Międzynarodowej Federacji Stowarzyszeń Przewodników Górskich, musiała się mocno nagimnastykować, aby dostać się do programu szkoleniowego. Kiedy jednak już się tam znalazła, z miejsca pojawiły się udogodnienia, możliwości i mentoring, które pomogły jej na tej drodze. A w Pakistanie jest znacznie trudniej. Ali Raza Sadpara był wyjątkiem, był mentorem Naili Kiani, która obecnie wspina się na ośmiotysięczniki – ma 11 na koncie – chociaż, jak dotychczas, zawsze z przewodnikiem.

Jednym z beneficjentów zysków z mojej książki jest organizacja w Pakistanie o nazwie Ascend. Szkoli młode kobiety, które chcą zdobyć umiejętności wspinaczkowe i przywódcze. Kiedy ogłaszały przyjęcie na pierwszy semestr, mieli setki kandydatek, więc na pewno jest zainteresowanie wspinaczką pośród pakistańskich kobiet. Naila Kiani jest mentorką tych dziewcząt.

Jak Szerpowie odnajdują się w kontekście najpopularniejszej dziś narracji – że to my z Zachodu nauczyliśmy ich wspinać się po górach i że to, co potrafia, zawdzięczają nam?

– Większość współczesnych Szerpów, z którymi rozmawiałam, potwierdza znaczenie ośrodków szkoleniowych, takich jak Centrum Wspinaczkowe „Khumbu”. Jednak obecnie grupa nepalskich instruk-

Gdyby kobieta z Zachodu zdobyła 10 razy Everest, miałaby sławę i pieniądze. Lhakpa Sherpa nadal zmywa naczynia w restauracji w Whole Food

torów jest tak silna, że Szerpowie są coraz częściej szkoleni przez Szerpów. Wyjątkiem jest sytuacja, gdy ktoś chce zdobyć certyfikat UIAGM. Wówczas musi polecieć do Chamonix na część szkolenia.

Prawdziwy niedobór dobrych instruktorów jest w Pakistanie. Mają kilka raczkujących wojskowych ośrodków szkoleniowych, ale tak naprawdę brak im odpowiednich zasobów szkoleniowych. Niektórzy Szerpowie mówią o wyjeździe do Pakistanu, aby pomóc w szkoleniu pakistańskich wspinaczy, ale nie wydaje mi się, aby to mogło się szybko wydarzyć. Pod względem wyszkolenia Pakistańczycy są co najmniej 20 lat za Nepalczykami.

W 2013 r. Simone Moro, Ueli Steck i Jon Griffith zostali zaatakowani w Kotle Zachodnim pod Mount Everestem przez grupę Szerpów. Słynni himalaiści wspinali się bez użycia lin ułożonych przez Szerpów i bez płacenia Szerpom. Groźno im śmiercią. To był incydent czy też w górach najwyższych zaczyna się dziać coś złego?

– Wielu niezależnych wspinaczy niechętnie podejmuje się poważnych wypraw w niektóre góry Nepalu ze względu na dominację lokalnych agencji prowadzących klientów na szczyt. To akurat był incydent, niemniej jednak uwydatnił napięcie, które urosło pomiędzy Szerpami a sportowymi wspinaczami z Zachodu. Cóż, dla Szerpów drogi normalne na ośmiotysięczniki są miejscem pracy, chlebem powszednim. Jeśli jednak jako niezależny wspinacz chcesz się tam wspiąć bez korzystania z ich usług... I tak trzeba płacić za całą infrastrukturę: zabezpieczenie lodospadów, liny poręczowe, namioty.

A jeśli nie chcę? Jestem sprawny, samodzielny, mam swój namiot, umiem poręczyć.

– Pozostaje udać się na inne góry albo inne drogi, nie te normalne, które z wyzwani wspinaczkowych zmieniły się w trasy dla turystów wysokogórskich i są kontrolowane przez Szerpów.

Wciąż jest wielu zachodnich wspinaczy, którzy szukają przygód czy nowych, śmiałych celów na mniej znanych szczytach Nepalu i nie mają problemów z Szerpami, ponieważ tych po prostu tam nie ma – są zajęci ośmiotysięcznikami. Taki Denis Urubko, zakapior i enfant terrible wspinaczki wysokogórskiej, całkowicie zrezygnował z Nepalu i woli się wspiąć w Pakistanie, gdzie wspinaczka komercyjna jest gorzej zorganizowana i mniej kontrolowana. Zwykle nie wspinają

się też normalnymi drogami, chyba że celem jest po prostu aklimatyzacja.

Ale i tam, w Pakistanie, dochodzi do konfliktów, tyle że pomiędzy Nepalczykami a lokalnymi wspinaczami. Ci ostatni zarzucają im, że zagarniają góry, które im się nie należą.

– To napięcie wynika z faktu, że Nepalczycy są lepiej zorganizowani, lepiej wyszkoleni, mają lepszy sprzęt i lepsze ubezpieczenie. Mają też za sobą znacznie skuteczniejszą machinę marketingową, więc sprowadzają klientów w góry w Pakistanie i dominują w Karakorum. Obecnie jest tak wielu klientów kolekcjonujących szczyty ośmiotysięczne Korony Himalajów i Karakorum, że nepalskie firmy po prostu reagują na potrzeby rynku. A ponieważ pory roku w Pakistanie i Nepalu różnią się w czasie, letni sezon wspinaczkowy w Pakistanie zapewnia nepalskim wspinaczom dodatkową pracę.

Wprawdzie w Polsce słyszy się opinię, że Nepalczycy ukradli polskie K2 zimą, ale mam wrażenie, że ukradli je raczej Pakistańczykom.

– Nie demonizowałabym tej sytuacji. Pakistańczycy mogliby swobodnie wspiąć się zimą 2021 r. na K2, ale Ali Sadpara pracował – prowadził klienta. Gdyby miał czas, to – zgodnie z tym, co opowiadał mi Mingma G – zostałby zaproszony do wspólnego ataku. Nepalczycy za to mieli czas, było ich dziesięciu, nic ich nie ograniczało – także finanse. Finalnie byli mocno skupieni, żeby wejść razem i zrobić z tego wydarzenie narodowe. I chociaż konflikty się zdarzają, to warto pamiętać, że Sirbaz Khan i Mingma G są bardzo bliskimi przyjaciółmi i współpracownikami, zaś Sajid Sadpara pracuje dla nepalskiej firmy. A takich przykładów i współpracy, i przyjaźni nepalsko-pakistańskiej jest więcej.

Wracając do górskiego doświadczenia i kompetencji, to jest sporo nepalskich agencji, które wykorzystując ów boom na ośmiotysięczniki, zatrudnia niedoświadczonych przewodników.

– Prawdą jest, że zapotrzebowanie znacznie przewyższa liczbę wykwalifikowanych przewodników. Prawdą jest również, że nie każda firma dba o bezpieczeństwo tak, jak powinna. Skutki są oczywiste: wypadki, odmrożenia, śmierć.

Ogólnie rzecz biorąc, firmy o bardziej ugruntowanej pozycji tworzą infrastrukturę na ośmiotysięcznikach, która faktycznie

zwiększa bezpieczeństwo klientów, ale ryzyko katastrofy pojawia się cały czas. Scenariusz jest zawsze taki sam: wystarczy niespodziewana burza, ludzie nie mogą zawrócić, helikoptery nie mogą latać, liny poręczowe zasypuje śnieg, tlen w butlach się kończy. I ludzie umierają.

Wynika z tego, że przewodnicy zdejmują z klientów nie tylko odpowiedzialność za samych siebie, ale i potrzebę myślenia. Trzeba być naprawdę odważnym, żeby wybrać się w takich okolicznościach na taki, dajmy na to, Everest...

– Otóż to. Zależność klientów od pomocy zewnętrznej i ograniczone własne kompetencje górskie są dziś tak powszechne, że klienci są zwyczajnie bezbronni. Najmniejszy problem i katastrofa gotowa.

To, co dzieje się dzisiaj w Himalajach na ośmiotysięcznikach, to swego rodzaju targowisko próżności. Kto jest temu winny? Wspinacze z Zachodu czy Nepalczycy?

– Impuls zdecydowanie pochodzi z Zachodu, ale pielęgnują go lokalni przewodnicy i firmy przewodnickie. Na pewnym poziomie po prostu reagują na wymagania rynku, ale na innym manipulują nim, sztucznie tworząc zapotrzebowanie na nowe wyzwania. O, weźmy podwójne wejścia na ośmiotysięcznik, czyli wchodzisz na Everest i Lhotse, Annapurnę i Dhaulagiri, K2 i Broad Peak, tym samym szybciej i taniej zbierasz swoje diamenty do Korony. Kiedyś takich wejść było naprawdę niewiele, ale największa nepalska agencja – Seven Summit Treks – postanowiła zrobić z tego produkt i go sprzedawać.

Zapadł mi w pamięć reklamowy slogan „Eat the view” – „zjedz widok”. On niechętnie idealnie opisuje to, co spotkało ośmiotysięczniki – po prostu stały się towarem. Na szczęście w Pakistanie i Nepalu jest mnóstwo innych, pięknych gór, które nie przekraczają magicznych 8000 metrów. Wiele z nich jest bardzo trudnych, wciąż czekających na śmiałych pionierów, i cudownie pustych, bez tłumów.

A gdyby górale z Himalajów i Karakorum, ci sprzed 100 lat, zobaczyli to, co dzieje się w ich górach, i że ich rodacy mają w tym niemały udział, to...

...byłoby to dla nich prawie niemożliwe do zrozumienia. Przecież nawet my, przyzwyczajeni do komercjalizacji wszystkiego i do nagłówków o kolejkach na Everest, z trudem ogarniamy skalę tego utowarowienia gór najwyższych. ●



FOT. ADAM STĘPIEŃ / AGENCJA WYBORCZA.PL

Bernadette McDonald

• ur. w 1951 r., kanadyjska reporterka górską, historyczka wspinania, autorka tłumaczonych na wiele języków książek „Tomaż Humar” (o legendarnym słoweńskim wspinaczu lodowym), „Ucieczka na szczyt” (reportaż o pionierskich wyczynach polskich himalaistów w latach 70. i 80.), „Alpejscy wojownicy” (opowieść o fenomenie Słowni, w której wspinaczka stała się sportem narodowym), „Strażniczka gór” (biografia Elizabeth Hawley, słynnej kronikarki himalaizmu), „8000 zimą. Walka o najwyższe szczyty świata w najokrutniejszej porze roku” i „Kurtyka. Sztuka wolności” (historia jednego z najbardziej charyzmatycznych wspinaczy ostatnich dekad, Wojciecha Kurtyki). Jej najnowsza książka – „Wyjście z cienia. Szerpowie, Baltowie i triumf lokalnych wspinaczy” – już dostępna w dobrych księgarniach, na Kulturalnysklep.pl i w formie e-booka oraz audiobooka na Publio.pl (tam też jej wcześniejsze tytuły).



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Piotr Trybalski

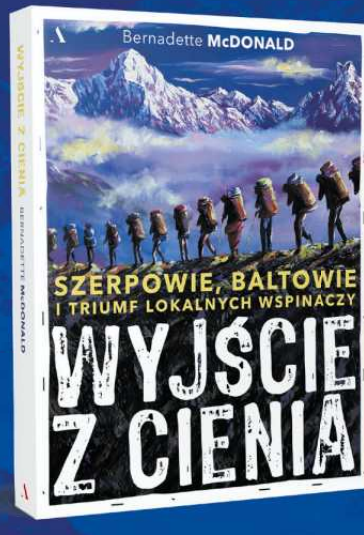
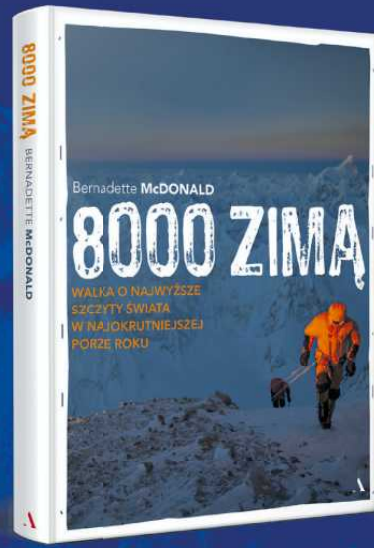
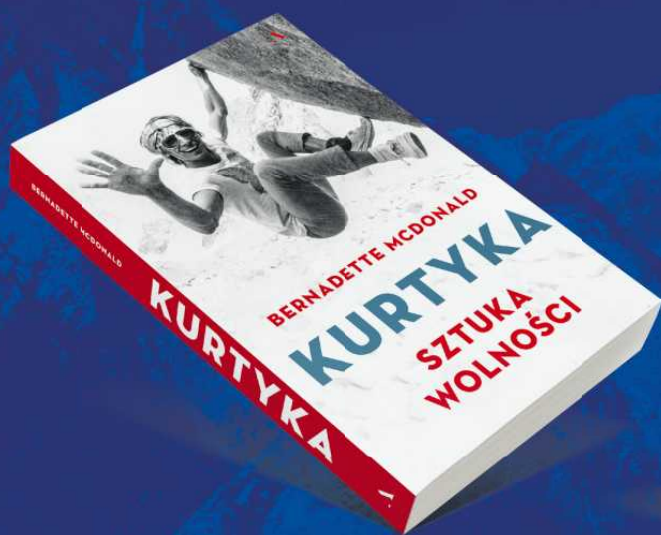
• dziennikarz, fotograf, zdobywca nagrody Travel Photographer of the Year. Organizator wypraw eksploracyjnych, współautor bestsellerów „Ja, Pustelnik” (z Piotrem Pustelnikiem), „Gdyby to nie był Everest...” (z Leszkiem Cichym) i „Wszystko za K2. Ostatni atak lodowych wojowników”, autor „Wszechmogącego”, biografii słynnego lidera himalajskich wypraw Andrzeja Zawady.

REKLAMA

Kraj/34327051

GÓRSCY WOJOWNICY

ŻYCIE, WALKA I PASJA



CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA



KULTURALNY SKLEP.PL

WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA



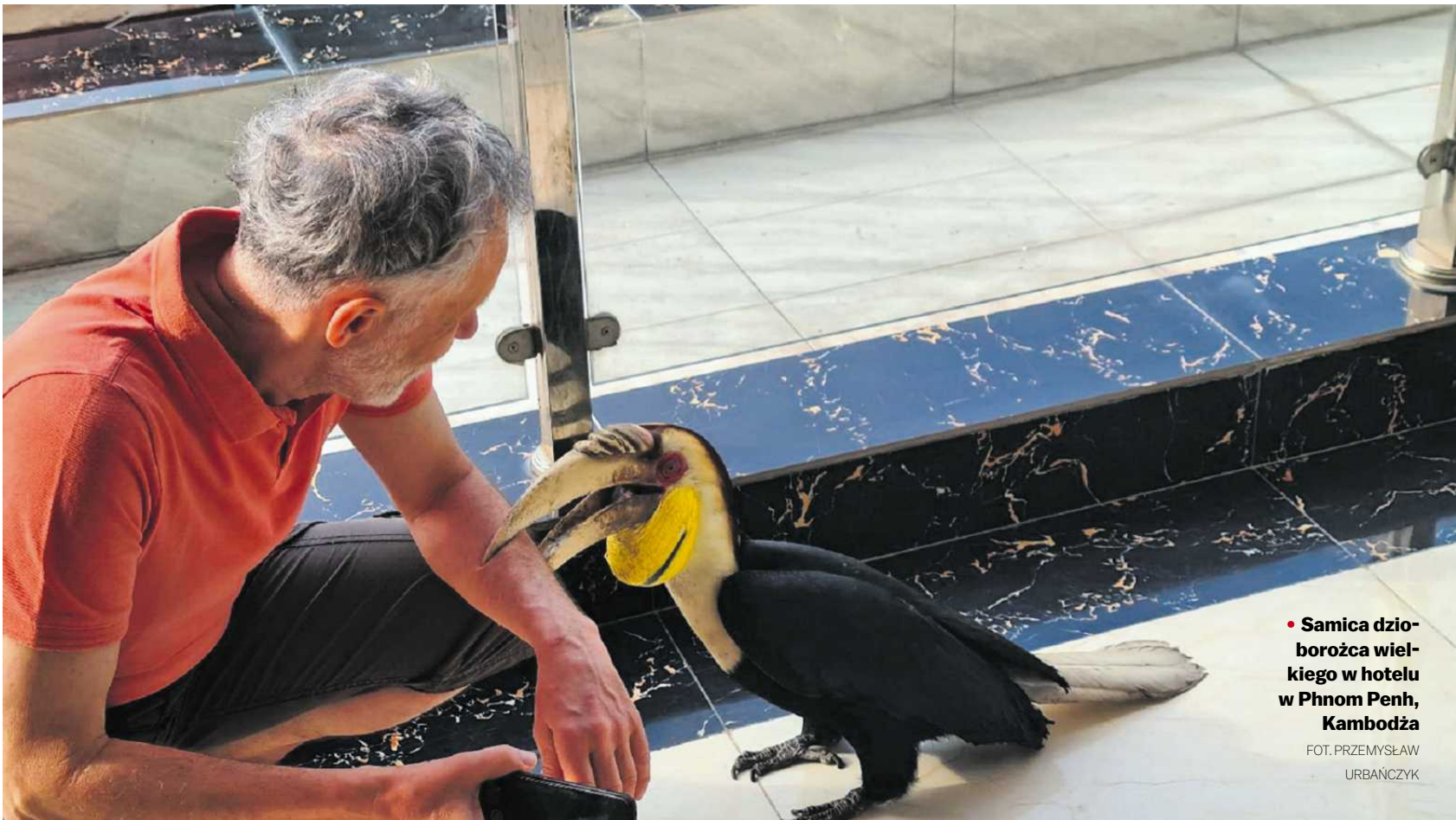
publio.pl



Wydawnictwo
Agora

Co mnie urzekło

Obrażone ptaszysko



• Samica dzioborożca wielkiego w hotelu w Phnom Penh, Kambodża

FOT. PRZEMYSŁAW
URBAŃCZYK

To było w Phnom Penh.
Weszła do restauracji, wskoczyła na krzesła, skrzecząc: „Jestem głodna”.

PRZEMYSŁAW URBAŃCZYK

Mój przyjaciel, mając córkę w wieku mocno nieletnim, zwykł był odpowiadać na jej powtarzające się pytanie: „Tato, a co to za ptaszek?”, krótką informacją: „Kregolaszek”. Jak się łatwo domyślić, po pewnym czasie jego ornitologiczna niefrasobliwość spowodowała dużą rysę na ojcowskim autorytecie. Warto więc mieć chociaż podstawową wiedzę o żyjących wokół nas ptakach.

Miasta na całym świecie zamieszkują odpowiednio przystosowane do tego specyficznego środowiska rozmaite zwierzęta podziemne, naziemne i latające.

Awifauna jest w nich na ogół dość podobna, bo składają się na nią ptaki wróblowate, krukowate i gołębiowate, które mimo ich regionalnego zróżnicowania łatwo rozpoznać po wyglądzie i wydawanych dźwiękach – ćwierkaniu, krakaniu i gruchaniu.

Są tak pospolite, że nikt nie zwraca na nie uwagi. Czasem jednak można doświadczyć w obcym mieście spotkania z gatunkiem zupełnie niespodziewanym dla przybysza z zewnątrz.

Tak było w stolicy Kambodży – mieście dużym, ludnym i gęsto zabudowanym, gdzie trudno się spodziewać większych zwierząt. Tym większe było nasze zaskoczenie, kiedy na balustradzie tarasu okalającego hotelową restaurację wylądowało nagle czarno-biało-żółte ptaszysko wielkości gęsi, obdarzone monstrualnym dziobem z charakterystyczną naroślą.

Nawet laik rozpoznałby dzioborożca, więc wszyscy rzucili się do fotografowania – na początku przez szybę, żeby gościa nie spłoszyć.

Zaczęliśmy wychodzić z klimatyzowanego pomieszczenia, aby się do niego ostrożnie zbliżyć, ale ptasior nie wykazywał żadnych oznak strachu. Wręcz przeciwnie – zaczął się przysuwać, niezgrabnie drepząc bokiem po balustradzie, po czym przeskoczył na mały stolik, aby zajrzeć przez szybę do środka.

Ktoś domyślny pobiegł po kawał arbuza, który został przyjęty z godnością. Wyraźnie nie zaspokoił jednak apetytu proporcjonalnego do wielkości ptaka. Wręcz go tak rozochocił, że zwierzę zaczął być namolny.

Po tym spotkaniu sprawdziłem, że był to dzioborożec wielki (*Buceros bicornis*), a dokładniej samica tego gatunku, o czym świadczyły czerwone obwódki wokół oczu. Jej znacznie ostrożniejszy partner (z czerwonymi oczami i czarną obwódką) siedział przezornie na balkonie domu stojącego po drugiej stronie wąskiej ulicy. W czasie wysiadania jaj to na nim będzie spoczywał trudny obowiązek wykarmienia samicy, którą dosłownie zamurówuje w dziupli, zostawiając tylko mały otwór.

Nasza dzioborożca zeskoczyła ze stolika jeszcze bliżej nas. Odważniejszy ode mnie kolega podszedł na odległość ręki od budzącego respekt wielkiego dzioba, który złośliwie użyty mógłby spowodować poważną ranę.

Celem ptaka była jednak nie walka, lecz wyżebranie większej ilości jedzenia. Skubnęła więc porozumiewawczo wyciągniętą do niej rękę i skierowała się ku drzwiom restauracji. Bezceremonialnie weszła do środka i wskoczyła na oparcie pustego krzesła, wydając skrzekliwie dźwięki oznaczające pewnie: „Jestem głodna”.

Ta fascynująca adaptacja do środowiska miejskiego może uratować te piękne ptaki, które od 2018 r. uznaje się za gatunek narażony. Ich populacja spadła bowiem poniżej 25 tysięcy dorosłych osobników. Przyczyną jest wycinanie lasów i polowania. Podobne niebezpieczeństwo grozi też pozostałym z 50 gatunków dzioborożców żyjących w szerokim pasie lasów subtropikalnych od Afryki do archipelagów wysp położonych między Azją a Australią.

Do Phnom Penh sprowadził je zapewne Hun To, członek zapoczątkowanej przez „wiecznego premiera” Kambodży (1985–2023) Hun Sena dynastii kambodżańskich autokratów. Nie pytając nikogo o zgodę, Hun To urządził sobie w parku otaczającym jego willę prywatny ogród zoologiczny. Wysoki mur nie zdołał przeszkodzić niektórym uciekinierom przedostać się do miasta. Najsłynniejsza była para gibbonów, które poruszały się po mieście, sprawnie wykorzystując wiszące nad ulicami kable.

Największą karierę zrobiły jednak właśnie wspaniałe dzioborożce, które stały się jedną z atrakcji kambodżańskiej stolicy. Szczególnie upodobały sobie park otaczający świątynię Wat Phnom, czyli najstarszą i najważniejszą buddyjską świątynię stolicy.

Kilkadziesiąt osiadłych tam dzioborożców je owoce wprost z rąk zachwyconych turystów, którzy udokumentowali to na setkach fotografii i filmów dostępnych w internecie. Czasem ptaki walczą o co lepsze kąski, wykorzystując potężne dzioby – nie do zadania przeciwnikowi ran, lecz jako dźwignie w swoistych zapasach dziób w dziób.

Nasza dzioborożca sprytnie uniknęła tych stadnych sporów i poszła o krok dalej. Zastosowała strategię, w której na razie nie ma chyba konkurencji, bo wymaga dużej odwagi. Czym innym jest przecież grupowe siedzenie w parku na płocie czy ławce, a czymś o wiele bardziej niebezpiecznym wchodzenie do domów – nawet tak dużych jak hotel. Gdyby wykorzystwała ogromne skrzydła (ponad 1,5 metra rozpiętości), nikt by jej nie zatrzymał i mogłaby ukrąść ze stołów i z bufetu dowolny kąsek.

Widocznie jednak jeszcze na to nie wpadła i usadowiwszy się na oparciu krzesła, grzecznie czekała na inicjatywę zaskoczonych turystów. Wykorzystał to jeden z kelnerów, który wykazywał wyraźny respekt do wielkiego ptaka.

Że to samica, poznałem po oczach

Po nieudanych próbach spłoszenia jej krzykiem i machaniem rękami, zmusił ją wreszcie do zeskokczenia na podłogę i nogami pogonił ku wyjściu. Obrażone ptaszysko wyszło na zewnątrz i ponownie zajęło strategiczną pozycję na stoliku, skąd przez szybę popatrywało do środka, zabawnie kręcąc wielkim dziobem.

Tak bliskie spotkanie z niezwykłą przedstawicielką miejskiej awifauny pozostawiło jego świadków w stanie zaskoczenia i urzeczenia. Pewnie ornitolodzy będą śledzić dalszy ciąg tej inwazji dzioborożców na Phnom Penh, gdzie na razie są atrakcją turystyczną, ale za jakiś czas mogą się stać poważnym problemem.

Wyobraźmy sobie, że w naszych miastach pojawiają się nagle kolorowe i wielkodziobe gołębie wielkości gęsi, które nie bojąc się ludzi, wchodzą do mieszkań. Początkowe urzeczenie szybko zmieniłoby się w niechęć i apele do stowarynych służb o zrobienie porządku z taką inwazją. ●

Brzozowski według Baczki

PYTAŁ O PRAWA ISTNIENIA ŚWIATA

Był radykalnym krytykiem „Polski dzieciinniałej”. Szlachackiego tradycjonalizmu, ciągle czynnego za jego życia i po nim.

Andrzej Mencwel*

Kim był Stanisław Brzozowski, któremu prof. Bronisław Baczko poświęcił jeden z pamiętnych cykli seminarijnych w Uniwersytecie Warszawskim? Pytanie należy do najtrudniejszych, a odpowiadający skazany jest na uproszczenia, ponieważ kreację erupcyjną i oryginalną musi wpisywać w delimitacje dziedzinowe oraz klasyfikacje porządkowe.

Stanisław Brzozowski (1878-1911) był poetą, prozaikiem, krytykiem literackim i teatralnym, popularyzatorem filozofii i filozofem krytycznym, historykiem kultury polskiej i europejskiej, teoretykiem społecznym i publicystą politycznym. Na dodatek żył tylko niecałe 33 lata, czytał w sześciu językach, pisał w trzech, ostatnie dziesięć lat spędził w nieustannej ekspresji twórczej, będąc jednocześnie śmiertelnie chory. Nie dość na tym, bo został jeszcze fałszywie oskarżony o współpracę z ochroną, carską policją polityczną, a „sprawę Brzozowskiego” nazywano „polską sprawą Dreyfusa”.

Wykształcenie miał właściwie podstawowe, skończył bowiem rosyjskie prowincjonalne gimnazjum, które dobrze wspominał (co już było podejrzanym), w uniwersytecie warszawskim spędził zaledwie rok, i to jako student matematyki, gdyż rusyfikatorskie w nim nauki humanistyczne Polacy bojkotowali. Właściwie był samoukiem i pozostawał nim do ostatnich swoich dni, łapczywie chłonąc nowe lektury i zapisując iluminacje.

Wszystko razem składało się na to, że jego wszechstronne piarstwo bywało jednocześnie przenikliwe i pokrętne, olśniewające i odstręczające, genialne i amatorskie. Recenzje literackie pisał tak, jakby poszczególne utwory sprawdzały rację bytu literatury pięknej; w polemikach politycznych pytał o prawa istnienia świata; w rozprawach krytycznych przeprowadzał inspirującą fenomenologię kultury polskiej; historiozoficznie zapowiadał świadomy początek dziejów i koniec ich przypadkowości. Tom najważniejszych esejów opatrzony jego własnym tytułem: „Idee. Wstęp do filozofii dojrzałości dziejowej”, należycie przetłumaczony i zredagowany, zostałby wpisany do kanonu myśli nowoczesnej.

Brzozowski znał na wylot czołowych myślicieli przełomu wieków XIX i XX, który był jednocześnie przełomem antypozytywistycznym: Friedricha Nietzschego, Richarda Avenariususa, Henri Bergsona, Georges’a Sorela i był niewątpliwie ich dłużnikiem, co poświadczają liczne odwołania. Ale najważniejsi byli dla niego Immanuel Kant i Karol Marks, których odczytał źródłowo i samodzielnie. Filozofię Kanta pojmował jako „wielki akt wyzwolenia ludzkości”; za najważniejszą myśl Marksa uznał to, że „ludzie są autorami i aktorami własnego dramatu”.

Prof. Baczkę (1924-2016, niedawno minęła 100. rocznica jego urodzin) ku Brzozowskiemu prowadził zwłaszcza Marks, do czego przyczyniała się jego własna biografia intelektualna (w latach powojen-



• Stanisław Brzozowski



• prof. Bronisław Baczko

nych był marksistą-leninistą) oraz seminarium poprzednie, poświęcone Marksowi i marksistom.

Zachowały mi się z niego dość kompletne notatki, więc pokrótce je przypominam. Podkreślam, że sam program takiego seminarium był w ówczesnej rzeczywistości kulturalnej pewną rewelacją. Stalino-leninowska doktryna marksistowska już się w Polsce nie tylko załamała, ale również rozwiała, nawet główny jej eksponent Adam Schaff uprawiał umiarkowany rewizjonizm. Prowadził seminarium w sąsiedniej salce instytutu filozofii i trochę drwiliśmy z jego uczestników, choć byliśmy kolegami.

Flagowa wtedy książka Schaffa, „Marksizm a jednostka ludzka” (1965), wzbudziła strach na szczytach władzy i postanowiono odprawić ją w centralnym organie partyjnym „Nowe Drogi”. Odprawa się nie udała, bo przerodziła się w debatę, w której au-

tora bronił również Baczko. Był to wyraz solidarności osobistej, ponieważ filozoficznie znajdowali się na odległych już pozycjach.

Schaff był wtedy spóźnionym o dekadę rewizjonistą, a ciągle miał na widoku, poprawioną przez siebie, marksistowską ortodoksję, która powinna stać się obowiązującym wyznaniem partyjnym, więc i państwowym. Cieszył się znacznym uznaniem wśród zachodnich komunistów, ponieważ i oni żywili podobne złudzenia. Potomek lwowskiej rodziny burżuazyjnej znał języki kongresowe, umiał dobrze się znaleźć, więc przebiegał w zaproszeniach.

Bronisław Baczko, podobnie jak Leszek Kołakowski, miał już za sobą rewizjonistyczną fazę poglądów, których wybitnym wyrazem była rozprawa „Kryptoproblemy i historyzm” (1958). Jeden z podrzdziałów nosił tytuł „O potrzebie historii i socjologii filozofii marksistowskiej” i samą nazwą wskazywał zasadniczą różnicę ujęcia: zamiast jakiegokolwiek ortodoksji, nawet przez rewizję poprawionej – historyczno-społeczna interpretacja różnych wersji marksizmu. I tak właśnie poprowadził seminarium w roku akademickim 1963/1964. Już na pierwszym spotkaniu Profesor podkreślił, że będziemy się zajmowali głównymi dyskusjami filozoficznymi „wewnątrz marksizmu”, co znaczyło, że nie przyjmujemy żadnej obowiązującej wykładni.

Nasz uniwersytet, szczególnie jego instytut filozofii, był na pewno najbardziej wolnym w całym tzw. bloku sowieckim, najostrzej za to represjonowanym w marcu 1968 r. Wcześniejsza swoboda nie była zasługą „liberalizujących” aparatczyków, lecz naszych świetnych nauczycieli i niezłych ich uczniów, dbających wspólnie o sensowne dyskusje oraz instytucjonalne bezpieczeństwo.

Na korytarzu albo w kawiarniach rozmawialiśmy swobodnie o „Les aventures de la dialectique” Merleau-Ponty’ego lub „Soviet Marxism” Marcuse’a, ale na seminariach one się jeszcze nie pojawiały. Chociaż od roku 1910 znana była w Polsce, bardziej przenikliwa od tamtych nowości, rozprawa Stanisława Brzozowskiego „Anti-Engels”. „Tacy ludzie jak Engels jak gdyby nie rodzą się wcale” – pisał jej autor – „oni czekają aż świat do nich dojrzeje”. „Naukowy socjalizm”, upiorny fantazmat naszej młodości, został w niej krytycznie zniweczony, zanim się jeszcze narodził. I to zapewne doprowadzało Baczkę do Brzozowskiego.

Profesora inspirował również Czesław Miłosz, którego książka o Brzozowskim ukazała się wcześniej (1962) w paryskim Instytucie Literackim. Nosiła sugestywny tytuł „Człowiek wśród skorpionów”, a Baczko pokazywał mi ją podczas pierwszej rozmowy o projekcie seminarium.

Rzecz Miłosza, składająca się ze świetnych esejów o biografii Brzozowskiego i jego „sprawie” oraz dyskusyjnej rozprawki o filozofii, odegrała wówczas przełomową rolę w recepcji Brzozowskiego w kraju i na emigracji. Przypominam, że do roku 1956 dzieła Brzozowskiego były w Polsce Ludowej zakazane, a on sam właściwie wyklęty. Ideologiczne uzasadnienie tej ekskomunikacji napisał Adam Schaff w obowiązującym wówczas podręczniku „Narodziny i rozwój filozofii marksistowskiej” (1950).

Intelektualni rzecznicy Polski Ludowej, których wcale nie było mało, uważali myśl Brzozowskiego za niebezpieczną dla nich alternatywę. Jeden z nich napisał, zgodnie z ówczesną manierą leksykalną: „Brzozowszczyzna była prekursorem i ideologiczną podstawą wielkomocarstwowego imperializmu zarówno pilsudczyzny, jak i dmowszczyzny”. Wynikałoby z tej blasfemii, że autor „Idei” był nauczycielem Józefa Pilsudskiego i Romana Dmowskiego, uznawanych za ojców odzyskanej w 1918 r. niepodległości państwowej. Był to jawny fałsz, gdyż obaj przywódcy wrogich obozów politycznych Brzozowskiego potępiali i wykluczali.

Ważniejszy jednak jest sygnał skryty w tej prostackiej kłatwie – jeśli marksistom powojennym chodziło nie tylko o władzę, lecz także o przebudowę społeczno-kulturową Polski i Polaków, to myśl krytyczna Brzozowskiego była ich najpoważniejszym konkurentem.

Potwierdza tę opinię przykład emigracyjny – dla środowiska paryskiej „Kultury” oraz Instytutu Literackiego, z Jerzym Giedroyciem i Józefem Czapskim, później także z Juliuszem Mieroszewskim, Miłoszem i Gustawem Herlingiem-Grudzińskim, Brzozowski był jednym z patronów.

Natomiast kontynuująca rządy przedwojenne emigracja londyńska, wewnątrznie podzielona

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Stanisław Jerzy Lec*

Przeciw odkryciom

*Pomysł zdobycia księżycy
mnie wcale nie zachwyca.
Mnie starczy stary globus.*

*Bo jeszcze krzyknie kawał drania:
„To świetne miejsce zesłania,
zrobmy tam obóz!”*



***Stanisław Jerzy Lec** – 1909-66. Poeta, satyryk, jeden z najwybitniejszych aforystów XX wieku. Wiersz za: Lec, „Życie jest fraszką”, wyd. Książka, Warszawa 1948.

FOT. TADEUSZ ROLKE / AGENCJA WYBORCZA.PL

i skłócona, milcząco go eliminowała. Oba te odłamy emigracyjne były antysowieckie, prozachodnie i opowiadały się za pełną niepodległością Polski. Jaka więc była między nimi różnica?

Najkrócej – polegała ona na ocenie przemian przeprowadzonych w Polsce Ludowej i stosunku do ich trwałości. Legitymiści londyńscy, a byli wśród nich przedwojenni socjaliści, potępiali wszystko, co robił rząd warszawski, ponieważ uznawali go za narzucony i nielegalny, choć był uznany przez mocarstwa zachodnie. Jerzy Giedroyc, redaktor „Kultury” i lider środowiska Instytutu Literackiego, uważał natomiast, że przemiany powojenne, zarówno społeczne, jak i terytorialne, zostały nieodwracalnie dokonane i na ich podstawie trzeba tworzyć wizję przyszłości.

Znał przedwojenną „białą” emigrację rosyjską i nie znosił wszelkiej „bielogwardiejszczyzny”, żyjącej uludą powrotu „dawnych, pięknych czasów”. Reformę rolną i wywłaszczenie ziemian w Polsce Ludowej przeprowadzono źle, ale ich następstw się nie cofnie, urbanizacja oraz industrializacja rustykalnego przed wojną kraju były konieczne, wiązał się z nimi również awans społeczny mas pracujących.

„Kultura” była pismem odrzucającym wszelkie formy sowietyzmu, ale jej „stawka na kraj” oznaczała krytyczną obserwację rzeczywistości oraz późniejsze wspieranie rewizjonistów i opozycji demokratycznej. W latach 1980-89 program ten sprawdził się historycznie.

Jak to się wiązało z Brzozowskim i jego myślą? Tak mianowicie, że był on najwcześniejszym i najbardziej radykalnym krytykiem „Polski zdzieciniałej”, czyli szlacheckiego tradycjonalizmu, ciągle czynnego za jego życia i po nim. Moc tej tradycji opiewał pierwszy nasz noblista literacki Henryk Sienkiewicz, w monumentalnych powieściach historycznych, którymi czarował czytelników.

Efektowne aforyzmy Brzozowskiego przeciw niemu zwrócone można cytować prawie nieskończenie: „Sienkiewicz urodził się klasykiem, ale urodził się klasykiem warstwy znajdującej się w upadku”; „Polski indywidualizm to owoc tragizmu naszej historii: naszego odwróconego na wspak feudalizmu”.

„Kultura” paryska nie tylko respektowała realność społeczną Polski Ludowej, wypracowa-

ła również koncepcję „ULB”, zrywającą jednocześnie z akceptacją sowieckiego zaboru oraz legitymizmem rządu londyńskiego. Dobitnie postulowano niepodległość państwową Ukrainy, Litwy i Białorusi jako równoprawnych partnerów wolnej i zjednoczonej Europy. Stany Zjednoczone i państwa zachodnie uznawały wtedy integralność terytorialną Związku Sowieckiego oraz rzekomą państwowość Ukrainy i Białorusi, „współzałożycielek” ONZ.

Celowość myśli politycznej Giedroycia jest dzisiaj, wobec wojny w Ukrainie i wasalizacji Białorusi, równie wymowna, jak w połowie zeszłego wieku. Trzeba przypomnieć, że około jednej trzeciej przedwojennego, wschodniego terytorium Polski, z symbolicznymi dla kultury miastami: Lwowem, Wilnem i Grodnem, zostało wcielone do Związku Sowieckiego, formalnie do jego „republik” Ukrainy, Litwy i Białorusi. Własnowolne uznanie przez niezależne środowisko polskich twórców tych zmian terytorialnych oraz związanie ich z niepodległością trzech narodów, było przełomowe w dziejach Polski i Europy. Wiazało się ono również z odrzuceniem szlacheckiego tradycjonalizmu, owego „odwróconego na wspak feudalizmu”.

Ziemie tych trzech krajów, w znacznej części wchodzące w skład przedrozbiorowej Rzeczypospolitej, rutynowo uważano za polskie „Kresy wschodnie”, a ich rdzennych mieszkańców za swego rodzaju aborygenów, podległych misji cywilizacyjnej „polskich panów”.

NieZRównanie popularna „Trylogia” Henryka Sienkiewicza rozgrywała się w XVII wieku, głównie na tych „Kresach”, a za swych bohaterów miała szlacheckich rycerzy, mężnie zwalczających obce najazdy oraz zbuntowaną chłopską „czerni”.

Kiedy pod koniec XVIII wieku, po ostatecznym rozbiore Rzeczypospolitej, ziemie te zajęła Rosja carska, ziemiaństwo polskie, broniące „stanu posiadania”, znalazło się w szczególnym „trójkącie historycznym”, którego wielostronne działanie plastycznie opisał historyk i slawista Daniel Beauvois.

Po odzyskaniu niepodległości Wilno, zamieszkane w większości przez Polaków, lecz dla Litwinów będące stolicą, zostało zajęte przez wojsko polskie; o Lwów najpierw walczone z Ukraińcami, a później nie dopuszczono do założenia uniwersytetu ukraiń-

Najważniejsi dla Brzozowskiego

byli Kant i Marks. Filozofię Kanta pojmował jako

„wielki akt wyzwolenia ludzkości”;

za najważniejszą myśl Marksa uznał to, że

„ludzie są autorami i aktorami własnego dramatu”

skiego, który miałby dobrą kadre i entuzjastycznych studentów; systematycznie redukowano też, aż do jego całkowitej likwidacji, szkolnictwo białoruskie.

Deklaracja polityczna „Kultury”, skrótowo wskazywana hasłem ULB, oraz jej półwieczna praktyka redakcyjna i wydawnicza, oznaczały nie tylko uznanie praw politycznych tych trzech narodów, ale również ich kulturalnej odrębności. Był to ideowy koniec odwiecznego polskiego imperializmu wschodniego (cytowany powyżej toporny marksista miał pewną rację w jego potępieniu, choć musiał przemilczeć imperializm rosyjski i sowiecki), a także wszelkiego „opiekuńczego” paternalizmu, zrosniętego z poczuciem wyższości społecznej lub cywilizacyjnej.

Giedroyc, skądinąd potomek księżęcego rodu litewskiego, był uczulony na wszelkie objawy takiego paternalizmu, czemu dawał niejednokrotnie bezwzględny wyraz.

Choć jego reakcje wydawały się incydentalne, to były istotne, ponieważ ujawniały inny niż tradycyjny wzór polskości, wyrażany przez twórczą konstelację paryskiej „Kultury”.

Jego podstawowe składniki wysłowił Juliusz Mieroszewski, najwybitniejszy obok Giedroycia umysł polityczny „Kultury” i jego pisarskie alter ego. Cały cykl publikacji Mieroszewskiego z lat 50. można opatrzyć tytułem jednej z nich: „O reformę »zakonu polskości«”.

„Zakon polskości” oznaczał tu całościowy wzór kultury, a nie jakąś selektywną jego cechę wyrażaną w propagandzie politycznej lub literaturze pięknej.

Rdzennych mieszkańców trzech krajów, w znacznej części wchodzących w skład przedrozbiorowej Rzeczypospolitej, uważano za swego rodzaju aborygenów, podległych misji cywilizacyjnej „polskich panów”

Otóż Brzozowski, żyjący w biedzie krewniak „kresowych” magnatów, był pierwszym pisarzem i myślicielem polskim, który tak pojmowany „zakon polskości” miał na uwadze i swoim piórem starał się go zmienić.

Krytyk szlachty odpowiedzialnej za upadek I Rzeczypospolitej nie brakowało u nas od czasów oświecenia, zasadniczo zwróconego przeciw rodzimemu „Ciemnogrodowi”, ale były one przeważnie selektywne – polityczne, literackie, obyczajowe. Jest poniekąd zdumiewające, że na początku XX wieku trzeba było z pasją i przenikliwością Brzozowskiego demaskować szlachecko-ziemiańskie dziedzictwo.

Mieszczanństwo było u nas słabe i marginalne, nie wyrósł z niego żaden świadomy „trzeci stan”; chłopstwo, ludnościowo przeważające, przez wieki zniewolone i wyzyskiwane, dopiero zaczynało się organizować; inteligencja, specyficzna w tej części Europy warstwa przywódcza, przeważnie szlacheckiego pochodzenia, utwierdzała dominację szlachecką, również przez jej zacieklą refutację.

Brzozowski boleśnie, bo rodzinnie i osobiście, doświadczył fałszu tej dominacji. Lektury rosyjskich narodników i europejskich marksistów utrwaliły w nim klasową wizję społeczeństwa, a kiedy wybuchła rewolucja 1904-06 r., która wstrząsnęła imperium i krajem, powitał ją entuzjastycznie. W masowych wystąpieniach robotniczych ujrzał marksowską „klasę dla siebie”, nosiciela nowego, przyszłościowego wzoru kultury, czyli „zakonu polskości”.

„Zakon” ten miał być oparty na pracy, przeciwieństwie szlacheckiego parazytyzmu, i kreować nowe wzory osobowości, rodziny, więzi społecznej i narodowej oraz symboliki komunikacyjnej.

Myśl swoją nazwał Brzozowski „filozofią pracy” i jej założenia oraz ambiwalencje najbardziej pociągały Bronisława Baczkę, czemu dał wyraz w studium „Absolut moralny i faktyczność istnienia (Brzozowski w kręgu antropologii Marksa)”.

Trzeba na moment „wrócić do Kanta”, aby wykazać trwałą specyfikę sposobu myślenia Brzozowskiego, mimo jego zmiennych afiliacji. Nie znamy naprawdę niczego innego, sądził autor „Idei”, poza światem fenomenów, który sami wytwarzamy, dlatego filozofia nie ma innego zadania niż uświadamianie i sublimowanie tej wytwórczości. Noumenem [rzeczą samą w sobie] jest natura, możliwe X naszych działań, rozpoznawalne tylko w przyswojonych przez pracę skutkach.

Brzozowski był skrajnym antynaturalistą, uznającym ewolucjonizm przyrodniczy za kreację intelektualną, a nie za prawdę o bycie samym. Sądził, że „historia rzeczy jest momentem ogólnej historii człowieka”, a nie odwrotnie. Wytwórczość ludzka, dokonywana na owej „naturze”, z kolei, nie jest żadnym „dziełem ducha”, jak mniemali artystyczni moderniści lub humaniści, lecz materialnym produktem pracy ludzkiej, w całej jej złożonej architekturze – od prostych ciosów kamieniarza po ezoteryczne laboratoria naukowe.

„Materializm dziejowy jako filozofia kultury”, esej Brzozowskiego napisany w roku 1907 i otwierający tom „Idei”, był zwięzłym i oryginalnym manifestem tego antropocentrycznego stanowiska: „Materializm dziejowy wykazuje, że ludzkość pozawiażywała sama te węzły, nad rozwiązaniem których się trudzi. Materializm dziejowy zabija raz na zawsze TO INNE, którego maską tylko jest ludzkość”.

Zdaniem Baczki „był to jeden z najbardziej płodnych dialogów filozoficznych z Marksem na przełomie XIX i XX wieku”. Poszerzyłbym tę opinię na cały wiek XX.

Nie pamiętam, niestety, tematyżacji seminarium przedstawionej przez Profesora, a notatek nie odnalazłem. Jestem jednak pewien, że Brzozowskiego interpretacja Marksa oraz Engelsa zajmowały w niej główne miejsce, co nie znaczy, że przyjmowane były bezkrytycznie.

Prof. Baczko niczego nie przyjmował bezkrytycznie, lecz „pytał i uczył pytać. Jego szkoła miała podwójne zadanie: należało myśleć i rozumieć razem złożoność świata myśli.

Czy Baczko zakładał, że takie rozumienie jest tożsame z samym myśleniem? Tego nie jestem pewien, choć wydaje mi się, że takie utożsamienie zostało założone, ale nie było ono szczelne, gdyż nieraz zadawaliśmy sobie pytanie: czy poza historią filozofii możliwa jest filozofia jako taka? Jestem natomiast pewien, że Profesor jako sokratyk przyjmował, iż człowiek sam z siebie wie znacznie więcej, niż potrafi ujawnić, trzeba mu więc pomagać tę wiedzę wydobyć. I jego pytania, którymi zarazem atakował i prowadził dyskutanta lub rozmówcę, do takiego wydobywania zmierzają.

Ilećko go o coś pytałem albo konsultowałem przygotowujący na seminarium referat, tylećko miałem wrażenie, że właściwe ujęcie zagadnienia było mi uświadomione, a nie narzucone” (z tekstu „Dreszcz historii”, w mojej książce „Nauczyciele i przyjaciele”, Warszawa 2010).

W naszym kręgu, który liczył ok. 30 osób z różnych kierunków studiów, było wiadomo, że Profesor w szczególny sposób przygotowywał seminaria. Ich tematyżację opracowywał zapewne latem, we wrześniu miał już ustalony program i odbywał rozmowy z przyszłymi referentami. Nierzadko przy kawie, w uniwersyteckim klubie, a nie w profesorskim gabinecie.

Rozmowę ze mną pamiętam dość dobrze, a jej puentę, którą długo rozważałem, przypomnę na koniec. Tu muszę podkreślić, że nie byłem formalnym studentem filozofii ani jej doktorantem, lecz prawdziwym amatorem, a na seminariach Bronisława

Baczki spędziłem więcej lat niż wynosiły jakiekolwiek studia obowiązkowe.

Jestem przekonany, że były one dla mnie nie tylko naukowe, ale również formacyjne. Jako profesor od dawna emerytowany mogę wyznać, że również prowadziłem, przez jakieś 30 lat, dość cenione seminaria w naszym uniwersytecie, ale nie mogę się pochwalić równie wszechstronnym i precyzyjnym ich przygotowaniem.

Na seminarium o Brzozowskim Profesor zadał mi szczególnie trudny temat, dając dość czasu na jego rozpracowanie, bo moje wystąpienie było jednym z ostatnich. Chodziło o chrześcijaństwo Brzozowskiego i jego katolicką identyfikację wyznaniową, której dokonał pod koniec życia.

Moim obecnym zdaniem, które uzasadniłem w poświęconej Brzozowskiemu monografii „Stanisław Brzozowski. Postawa krytyczna. Wiek XX” (Warszawa 2014), była to identyfikacja wątpliwa, ale w latach naszego seminarium uważaliśmy ją za niewątpliwą. Trudy, nieszczęścia i cierpienia myślicie-la przekraczały wszelkie ludzkie miary, więc przyjmowałem, że na łożu śmierci poddał się kościelnemu pocieszeniu, aby ułatwić też dalsze życie wdowie i córce.

Baczko nie przyjmował jednak takiego, obyczajowego wyjaśnienia i uważał, że kwestia była istotna, czyli filozoficzna. Jego zdaniem dawała się ona ująć w pytaniu: co w kreacyjnym antropocentryzmie Brzozowskiego było takiego, że mógł on przemienić się w teocentryzm, albo nawet w nim spełnić?

Radykalny antropocentryzm wielu z nas wówczas pociągał, także dlatego, że był doskonałym nieomal przeciwieństwem odrzuconego właśnie „materializmu dialektycznego i historycznego”. Brzozowski śmiało przekraczał ciasny horyzont tej doktryny, i to zanim się ona ukształtowała i utrwaliła.

Baczko uważał, iż taki radykalny antropocentryzm nie dawał się ostatecznie uzasadnić bez oparcia o „filozofię bytową” (termin Brzozowskiego), czyli o jakiś materializm lub idealizm. Autor „Głosów wśród nocy”, ostatniego tomu świetnych „studiów nad przesileniem romantycznym kultury europejskiej”, wybrał w końcu idealizm, Profesor zaś uważał, że mimo całej odkrywczości stosunku do Marksa pozostał on na innym filozoficznie stanowisku. I z tą swoją sugestywną intonacją oraz zmyślnym w oku błyskiem, tłumaczył mi to tak:

– Panie Andrzeju, co podług Brzozowskiego człowiek właściwie robi, kiedy pije wino?

Nie chwytalem związku tego pytania z moim podejściem do chrześcijaństwa Brzozowskiego i po dłuższej chwili namysłu, podczas której Profesor wpatrywał się we mnie pomocnie, odpowiedziałem z wahaniem: – Zwalcza to, co pozaludzkie, przez własną kreację...

– A podług Marksa?

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć, więc zakłopotany skrobałem się w głowę, gdy Profesor lotnie i radośnie mi oznajmiał: – Rozwijaj swoje potrzeby, przetwarzając materię świata.

Co znaczyło, że zdaniem Baczki Marks stał za nami, gdy Brzozowski bujał w obłokach. Ja się chyba z Nim nie zgadzam, ale lubię przypominać sobie tę rozmowę. ●



FOT. BARTOSZ BOBKOWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

*Andrzej Mencwel

• ur. w 1940 r., profesor emerytowany nauk humanistycznych, krytyk i historyk literatury i kultury polskiej, eseista, prozaik. Wydał ostatnio: „Powieść z życia. I, Strona ojca” (Wyd. Nisza, 2022); „Nauczyciele i przyjaciele”, wydanie drugie, poszerzone (Wyd. UW, 2023). Wkrótce „Książka o »Kulturze«” (WUW, 2024).

Tekst napisany do książki „Bronisław Baczko (1924-2024): abécédaire” (Abecadło Bronisława Baczki), przygotowanej przez genewskich uczniów historyka idei. Ukazuje się ona pod koniec roku w Genewie. Tytuł tekstu – „Wyborcza”.

Lamed Szapiro. Z Rzyszczowa na listę lektur w USA

JASZKA ODRYWA SKRZYDEŁKO MOTYLA

Pogrom zmienia nie tylko morderców, lecz także ich ofiary. Czasem stają się jednością, spleceni ciałami w akcie przemocy.

Anna Arno

Mała Bejka wychowy-
je się na cmentarzu,
z dziadkiem grabarzem.
Radosna i bez troska,
w martwym mieście żyje
w zgodzie z duszyczka-
mi. Jej dziadek „nie mógł
przywyknąć do śmierci,
Bejka nie potrafiła
pojąć życia”. Dopiero
któreś nocy w dziew-
czyńce odezwały się lęki
i cierpienia, przez które
została sierotą: „Co tam
na dworze się dzieje?
Czyj niepokój tak drży
w powietrzu? Kogo tam
torturują? Czyja
cierpliwość pęka – cał-
kowicie, na zawsze,
na wieczność?”.

Lamed Szapiro miał 28 lat, gdy w 1906 r.
wyjechał z matką do Ameryki. Był bodaj-
że pierwszym autorem, który opisał po-
grom w utworze literackim. Nie doświad-
czył tych wydarzeń bezpośrednio, jak Iza-
ak Babel, do którego bywał porównywany
(nawet fizycznie trochę przypominał auto-
ra „Konarmii”).

Podobnie jak Bejka Szapiro „słyszy gło-
sy umarłych”. Sztetl, z którego się wywo-
dzi, nie jest źródłem satyrycznych opowia-
stek z morałem, na barwnym, etnograficz-
nym tle. Nie jest dokładnie powiedziane, ja-
ka wkracza armia i gdzie toczy się konflikt
zbrojny. Wiadomo za to, że Wasilenki nie
wzruszy przypomnienie, iż jego ojciec pra-
cował dla reb Szachnego. Z kolei Wasylowi
wystarczyła antysemita ulotka, by uwie-
rzył, że leżący obok niego Nachum to je-

**Sztetl, z którego się wywodzi
Szapiro, nie jest źródłem
satyrycznych opowiadań
z morałem, na barwnym,
etnograficznym tle**

den z tych, którzy „zabili Chrystusa” i oni
„wszystkiemu winni”.

„Lamed Szapiro przedstawia zdarzenia tak,
jakby obserwował je z bliska – przekonuje
Bella Szwarzman-Czarnota, autorka wybo-
ru i mistrzowskiego przekładu tomu opo-
wiałań pisarza „Wylej swój gniew”. – Od-
daje brutalność pogromów, z niebywałą
precyzją i oszczędnością »scenografii«. Za-
ciera granicę między tekstem a nami – je-
go czytelnikami. Nie dostrzegamy również
bariery oddzielającej ofiary od sprawców
– oprawcy stają się ofiarami. Albowiem po-
grom zmienia nie tylko morderców, lecz
także ich ofiary. Czasem stają się jednością,
spleceni ciałami w akcie przemocy”.

Historia przemocy, którą pisze Szapi-
ro, jest uniwersalna: oddaje ją w jednej sce-
nie, małego Jaszki odrywającego skrzydeł-
ko motyla. Przemoc jest też zaraźliwa, śle-
pa, bezmyślna. „Biała chała” – która daje ty-
tuł jednemu z najlepszych opowiadań – to
pachnące, puszyste ciasto, symbol obcości
tych dziwnych ludzi, którzy „sprzedali
Chrystusa”. W opowiadaniu Szapiry „chała”
to także jasne, delikatne ciało kobiety, która
zostaje ofiarą: przesądu, nienawiści, wilcze-
go głodu i odbierającej resztki człowieczeń-
stwa wojny.

Mały Wasia, który zapłakał na widok
okaleczonego psa, szybko odczuł się emo-
cjonalnych reakcji. Siedmiolatka przeraziła
przebita kością łapa. Jednak „wszyscy w do-
mu pili, bili się z sąsiadami i ze sobą na-
wzajem, bili kobiety, konia, krowę, a czasa-
mi siebie – w wielkim gniewie walili głową
w ścianę”.

Wystarczyło hasło „żydowskie rządy”, by
ze zwierzęcą zaciekłością mordował: „Tuż
przy jego oczach dygotało białe ramię, a na
nim okragła, pełna i świeża kropla krwi. Je-
go nozdrza rozszerzyły się, zęby zazgrzy-
tały, nagle rozwarły się i wgrzyzły głęboko
w białe ciało”.

„Pogromowe” opowiadania Szapiry są o-
mawiane w amerykańskich college’ach. Jak
jednak zaznacza Bella Szwarzman-Czar-
nota, z rozmysłem pominęła najsłynniej-
sze z nich, „Krzyż”. To opowieść o człowie-
ku, który przeżył pogrom, był świadkiem
gwałtu i zamordowania matki, wreszcie zo-
stał napiętnowany – wypalono mu na czole
krzyż. Ten sam człowiek gwałci swoją uko-
chaną i ucieka do Ameryki. To opowiada-
nie o zarażeniu przemocą, która sprawia,
że ofiara bywa też oprawcą.

A jednak po latach Szapiro dystansował
się wobec tego utworu: uważał go za efek-



FOTODZIENNA PUBLICZNA

**Ameryka pozwala się dorobić,
wyrzucić przewiązane
sznurkiem walizki, jest
„złotym krajem”, „goldene
medine”, ale człowiek obrasta
w niej w tuszcz, a jego
marzenia blakną**

ciarski i fałszywy. Tym lepiej, że w zbior-
rze „Wylej swój gniew” znalazły się również
opowiadania „amerykańskie”, oparte na
własnej wersji „amerykańskiego snu”. Bo-
hater „Podróży przez Drogę Mleczną” przy-
pomina może samego pisarza:

„Na początku stulecia, wraz z dużą fa-
lą emigrantów żydowskich, do brzegów
Ameryki dotarł młody człowiek, w wie-
ku dwudziestu siedmiu czy może dwudzie-
stu ośmiu lat – niewysoki, o zwartym cie-
le i szerokich ramionach, z potężną głową,
białymi brwiami nad szarymi oczami, kan-
ciastym podbródkiem i szerokimi ustami,
pełnymi złotych, mocnych zębów”.

Ameryka pozwala się dorobić, wyrzucić
przewiązane sznurkiem walizki, jest mo-
że „złotym krajem”, „goldene medine”, ale
człowiek obrasta w niej w tuszcz, a jego
marzenia blakną. Opowiadanie „Nowojor-
skie” nastrojem przypomina obrazy Edwar-
da Hoppera czy powieści Alfreda Hay-
esa: zaczyna się od próby podrywu w auto-
matycznej restauracji. Jednak po obejrze-
niu taniej komedii oraz ściągnięciu diabelskiego
wodewilu, para na płatnej randce ociera się
o wzniosłe przeżycie, wzruszenie prawdzi-
wej miłości.

„Szapiro pisze niewiele – tłumaczył w 1912 r.
krytyk Szmuel Niger – ponieważ on nie jest
rzeką, która płynie szeroko i swobodnie,
lecz głęboką, ukrytą, podziemną studnią,
która powoli i ostrożnie musi utorować so-
bie drogę ku światłu”.

Lamed – właściwie Lewi Jehoszua Sza-
piro – urodził się w 1878 r. w Ryszczowie

w obwodzie kijowskim w tradycyjnej ży-
dowskiej rodzinie. Religijne nauki pobierał
w chederze, poza tym był samoukiem. Pisał
w jidysz, mowie, którą nazywał „moją naj-
piękniejszą ukochaną”.

Naturalną kolejną rzeczą, jako 18-latek,
odwiedził Icchoka Lejbusza Pereca [je-
den z głównych twórców literatury jidysz].
Przez dwa lata szukał szczęścia w Warsza-
wie: nie udało mu się wybić, ale też nie zre-
zygnował z ambicji. Zawsze skupiony na pi-
saniu, wciąż walczył o przetrwanie.

W drodze do Ameryki zatrzymał się
w Londynie, gdzie współpracował z wybit-
nym pisarzem języka hebrajskiego Jose-
fem Chaimem Brennerem i pisywał dla pi-
sma „Fraje Abeter Welt” („Wolny świat ro-
botniczy”). W Ameryce pracował dla gazo-
ty „Forverts” („Naprzód”) oraz „Cukunft”
(„Przyszłość”) i opublikował pierwsze „po-
gromowe” opowiadania. Niespodziewa-
nie na dwa lata wrócił do Warszawy, gdzie
pracował jako korespondent gazety „Fraj-
nd” („Przyjaciół”). Tutaj też w 1909 r. wydał
pierwszy zbiór opowiadań.

Ożenił się z kobietą, która zostawiła dla nie-
go pierwszego męża i dwoje dzieci. Razem
z pogodną i pracowitą Frejdl z trudem za-
rabiali na życie. Mieszkali w Zurychu, No-
wym Jorku, Chicago, Cleveland i Los An-
geles – zakładali kolejne restauracje i ka-
wiarnie, a nawet sklep kolonialny. W naj-
cięższych czasach Frejdl próbowała nawet
sprzedawać warzywa z własnego ogródka.

Zdesperowany Szapiro postanowił zo-
stać wynalazcą, w dodatku w obcej dla sie-
bie dziedzinie: szukał nowego sposobu wy-
woływania kolorowych fotografii (choć taka
metoda została już wynaleziona w Niem-
czech). Do końca życia obsesyjnie i na próż-
no eksperymentował.

W 1927 r. na cukrzycę zmarła Frejdl. Bez
jej opieki, Szapiro popadł w rozpacz. Godzi-
nami wpatrywał się w zdjęcie żony z dzieć-
mi z pierwszego małżeństwa, a ból straty
mieszał się z wyrzutami sumienia. Mimo to
pracował. Pisał wiersze, eseje, a nawet reli-
gijne poezje poświęcone pamięci żony. Kró-
tko wydawał kwartalnik literacki „Studio”,
uczestniczył też w federalnym projekcie po-
mocy bezrobotnym żydowskim pisarzom.

Trawiły go depresja i choroba alkoholowa.
Trafił do szpitala z halucynacjami, kil-
kakrotnie próbował popełnić samobójstwo.
Mieszkał u przyjaciół w garażu. Zmarł
25 sierpnia 1948 r. Jeszcze dzień wcześniej
wrócił do prób z fotografią.

Tom „Wylej swój gniew” przywraca pa-
mięć i obecność pisarza, który wszędzie po-
zostawał obcym. „Jestem wśród was – pisał
– i setki mil od was./ Widzę was przez mgłę
zmierzchów i poranków./ Inaczej bowiem
nie mógłbym was znieść./ Jestem wśród
was. I widzę was przez opar wódki i nikoty-
ny”.

**• Lamed Szapiro,
„Wylej swój gniew.
Opowiadania”,
z jidysz przeł. Bella
Szwarzman-Czarnota,
Warsztaty Kultury,
seria Zakotwiczone,
Lublin 2023**



wyborcza

magazyn wyborczej WOLNA SOBOTA

REDAKCJA:
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00;
E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów nie-
zamówionych oraz zastrzega sobie
prawo ich redagowania i skracania.
Wnioski i pytania w sprawie ochrony
danych osobowych: iod@wyborcza.pl
REDAKTOR NACZELNY:
Adam Michnik
PIERWSZY ZASTĘPCA
REDAKTOR NACZELNY WYBOR-
CZA.PL: Roman Imielski;

ZASTĘPCY: Aleksandra Sobczak,
Bartosz T. Wielniński;
WOLNA SOBOTA: Mirosław Macio-
rowski (szef), Marek Markowski (zastę-
pcy), Ewa Wieczorek, Jan Cywiński,
Łukasz Grzymisławski
GRAFICY: Paweł Kapusta, Jacek Kona-
rowski, Tomasz Lebiada, Agata Łuszcz,
Jakub Piotrowski, Łukasz Rudnikowski
FOTOEDYCJA: Rafał Szczepankowski
Dominik Gajda (Ale Historia)

WYDAWCA: Wyborcza sp. z o.o.,
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa;
NIP: 521-403-30-11
DRUK: Wyborcza sp. z o.o.

PREZES ZARZĄDU:
Wojciech Bartkowiak
CZŁONKOWIE ZARZĄDU: Mikołaj
Chrzan, Joanna Kwas
Biuro reklam i ogłoszeń:
reklama@wyborcza.pl; 22 555 55 55,
faks: 22 555 54 44
Rozpowszechnianie redakcyjnych
materiałów publicystycznych
bez zgody wydawcy jest zabronione.





Emilia Dłużewska

Omentarzysko kiosków w Dąbrówce Małej pod Łodzią wygląda jak plener postapokaliptycznego filmu: wydeptane w wysychającej trawie ścieżki, pleniące się bujnie chwasty, a między nimi one – przekrzywione, pomalowane sprayem, opancerzone antywłamaniowymi roletami. Część lata świetności ma ewidentnie za sobą, inne zdają się gotowe, by w każdej chwili wrócić do gry. Szanse na to są niewielkie. Rocznie z polskich ulic znika przeciętnie ponad tysiąc kiosków. Ruch, najdłużej działająca polska sieć, pod koniec 2019 r. miał 1333 kiosków. W tym już tylko 500.

Kiedy pięć lat temu zdjęcia cmentarzyska obiegły portale internetowe, działka, na której stoją, szybko została ogrodzona plotem. Właściciele mieli dość ludzi, którzy przyjeżdżali odwiedzać i fotografować osierocone budki. – Co tu jest do oglądania, to nie wiem. Kiosk to kiosk – mówiła Małgorzacie Szlachetce z „Wyborczej” mieszkanka Dąbrówki, pani Barbara.

Ale czy na pewno? O tym, że kioski pełnią nie tylko rolę użytkową, świadczy poruszenie, jakie powodują kolejne pogłoski o ich śmierci – niestety, coraz mniej przesadzone. Ze wzruszeniem żegnają je boomerzy, milenialsi, mieszkańcy miast i wiosek. Smutek zdają się odczuwać nawet ci, którzy od dawna do kiosków nie zaglądali. I trudno się dziwić. Kolorowe pawilony przez lata pełniły różne funkcje: bywały okienkami na świat, pomnikami wczesnego kapitalizmu, gabinetami osobliwości, kapsułami czasu. A ich znikanie stało się symbolem końca pewnej epoki.

Od prasy i papierosów po tańce erotyczne

Gdyby o kioskach myśleć jak o obsadzie serialu, Netflix wziąłby go bez mrugnięcia okiem. W tej ekipie nie ma ograniczeń, nadadzą się wszystkie kolory, kształty i wielkości. Ale, jak to w ekipach, gwiazda jest jedna: w przypadku kiosków to K67, w Polsce znany jako „jugokiosk”. Prototyp pawilonu z kolorowego włókna szklanego zaprojektował w 1966 r. słoweński architekt Saša Mächtig. Kiosk szybko zyskał fanów, nie tylko po naszej stronie żelaznej kurtyny – zaledwie trzy lata później jeden z nich kupiło do kolekcji designu nowojorskie Museum of Modern Art.

K-67 był dzieckiem swoich czasów: elegancko zaokrąglony, wykonany z modnego wówczas tworzywa, a przede wszystkim – modułowy. Konstrukcja z prefabrykatów pozwalała, w razie potrzeby, złączyć kilka kiosków w większą całość. Historycz-

RANY BOSKIE, NIE MA KIOSKÓW

**Pomnik wczesnego kapitalizmu,
gabinet osobliwości, okienko na świat.
Oplakują je nawet ci, którzy
z nich nie korzystają.**



• Kiosk Ruchu przy ul. Wołoskiej w Warszawie w 1956 r.
FOT. ZBYSZKO SIEMASZKO/NAC



• Kioskarka – ten feminatyw nie budzi kontrowersji

FOT. WOJCIECH SURDZIEL /
AGENCJA WYBORCZA.PL

ka architektury Anna Cymer w wydanym właśnie albumie „Kiosk” podkreśla, że odpowiadał też na specyficzne zapotrzebowania jugosłowiańskich miast – małe, łatwe w transporcie budki można było ustawić w ich gęsto zabudowanych, zatłoczonych turystami historycznych centrach. Oddawał też specyfikę samej Jugosławii: socjalistycznej, ale otwartej na flirt z kapitalizmem.

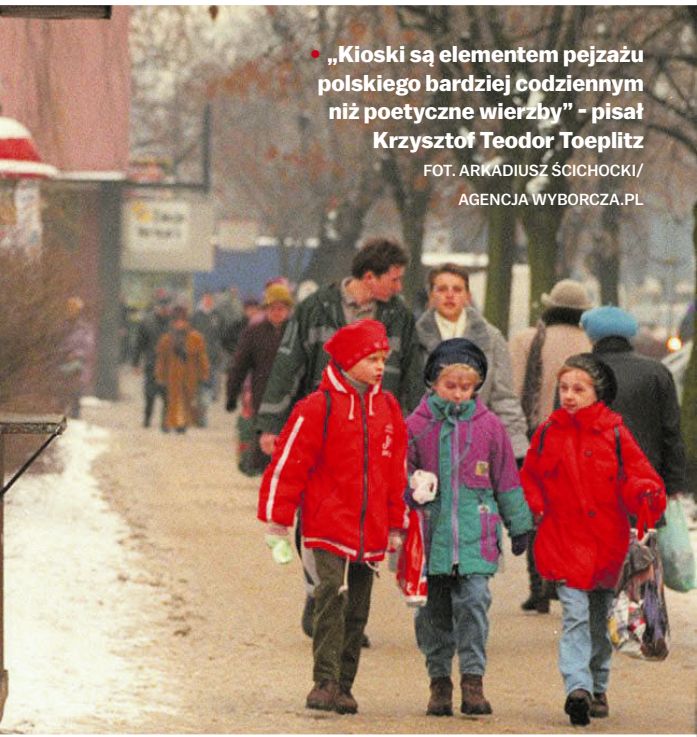
W komunistycznej Polsce architektura modułarna objawiała się raczej w postaci rosnących ekspresowo bloków z wielkiej płyty. Kioski mieliśmy bardziej tradycyjne: montowane z desek, blachy albo dykty. Nie miały może futurystycznego uroku jugosłowiańskich kuzynów, ale na szarych blokowiskach kolorowe pawilony i tak wyglądały jak przybysze z innego świata. A przynajmniej pozwalały na ten świat wyjrzyć – zwłaszcza szczęśliwcom, którym zaprzyjaźnione kioskarki odkładali do teczki kolorowe magazyny.

Jugokioski karierę nad Wisłą zrobiły więc z lekkim opóźnieniem, w latach 90., gdy romans z wolnym rynkiem rozkwitł i tu. Do K67 doszłusowali wówczas rywale, w tym również modułowe, nieco kanciaste kioski Kami, produkowane pod Łodzią. W małych, lodowatych zimach i piekielnie gorących latem budkach, handlowano wszystkim, na co znalazł się chętny: od papierosów, przez zapiekanki, po erotyczne tańce. To tu Polacy mogli poznać smak pierwszych sajgonek, dorobić klucze, wymienić walutę.

I kupić prasę, dostępną na niespotykaną wcześniej skalę. Zniesienie cenzury i przydziałów papieru sprawiło, że w kraju na



• **Cmentarzysko kiosków Ruchu w Dąbrowce Małej obok Łodzi** FOT. MARCIN STĘPIEŃ / AGENCJA WYBORCZA.PL



• **„Kioski są elementem pejzażu polskiego bardziej codziennym niż poetyczne wierzby” - pisał Krzysztof Teodor Toeplitz** FOT. ARKADIUSZ ŚCICHOCKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

przestrzeni kilku lat powstały setki mniej lub bardziej efemerycznych tytułów: poważnych dzienników, gazetek z dowcipami, poradników wędkarzy, grzybiarzy i domorosłych informatyków, czasopism kulturalnych i wydawnictw dla miłośników golizny. Te ostatnie, drukowane i wydawane w ogromnych nakładach, w drugiej połowie lat 90. stały się zarzewiem tzw. wojen kioskowych, jakie wytoczyli pornografii konserwatywni posłowie. Z czasem świat poszedł do przodu. W miastach wyrosły centra handlowe, pornografia przeniosła się do internetu, sajonki do restauracji, a kioski zmieniły się w kapsuły czasu, obok biletów, prasy i papierosów oferujące produkty kwestionowanej atrakcyjności.

Uśmiech w modern convenience
Tę współczesność kiosków zdecydowało się pokazać studio Zupagrafika, dwuosobowa oficyna Davida Navarro i Martyny Sobeckiej, specjalizujących się w architekturze modernizmu i brutalizmu. Album „Kiosk” dokumentuje 150 pawilonów sfotografowanych głównie w Polsce, ale też Niemczech, Macedonii, Serbii czy Słowenii. Niektóre wciąż jeszcze działają, inne rdzewieją, czekając na demontaż. Kilka dostało drugie życie: jako budki ochroniarzy, obiekty artystyczne, a nawet miejsca zaspokajania potrzeb duchowych, jak ozdobiony wielkim portretem Ja-

▲ **Boczna ściana kiosku – tutaj swoje miejsce miały zwykłe czasopisma erotyczne** FOT. ADAM KOZAK / AGENCJA WYBORCZA.PL

► **Lata 90. były epoką świetności kiosków, prasy i reklam papierosów** FOT. GRZEGORZ CELEJEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL



na Pawła II Kami, w którym można zamówić sobie mszę świętą na Jasnej Górze. Trudno nie myśleć o nich jak o ostarciach, symbolach epoki, gdy bazyry handlujące podrobionymi jeansami tytułowało się szumnie Manhattanami. Wczesny kapitalizm w Polsce bywał niekiedy śmieszny, niekiedy straszny, często beztrosny. I niemal zawsze zaskakujący. Dziś miejsce kiosków przejęły sieciowe placówki: zestandaryzowane, poukładane, rzęsiście oświetlone „saloniki prasowe”, liderzy segmentu modern convenience”, proponujący „kompleksowe rozwiązania w branży Travel Essentials”. Wciąż można w nich kupić codzienną gazetę, napój, krzyżówkę, a niekiedy nawet bilet na tramwaj. Poniekąd jest nawet łatwiej, bo oferują dokładnie te same towary, ułożone w ten sam sposób, a sprzedająca je osoba zada nam dokładnie te same pytania w tej samej kolejności. I z regulaminowym uśmiechem. Ma to swoje zalety. Ale trudno czasem zatęsknić za dawnymi kioskami – gabinetami osobiwości, gdzie jeszcze w drugiej dekadzie XXI w. szampon Bambino i woda toaletowa Brutal opierały się o kolekcję płyt DVD, plastikowe pistolety wały się obok wyblakłych harlequinów, a paczki kukurydzyanych chrupek o smaku toffi mieszały się ze spłowiałymi packami na muchy. Jeśli Nowy Jork szczydzi się swoimi bodegami – o których napisał musical Lin-Manuel Miranda, a japońskie konbini stało się miejscem akcji bestsellerowej książki, może i polskie kioski kryją w sobie opowieść. Pytanie, czy zdążymy ją znaleźć, zanim znikną? ●

Z PROF. FULVIEM CERVINIM,
HISTORYKIEM SZTUKI ŚREDNIOWIECZNEJ,
ROZMAWIA **BARTOSZ HLEBOWICZ**

BARTOSZ HLEBOWICZ: Dlaczego nazwa Ponte Vecchio – Stary Most?
PROF. FULVIO CERVINI: Nosi ją od początku XIII wieku, ponieważ, kiedy w tym samym stuleciu powstawały inne – Ponte alla Carraia (Ponte Nuovo – Nowy Most) oraz Ponte alle Grazie, był najstarszym mostem we Florencji. Przez długi czas jedynym. Jego wersja z XIII wieku nie istnieje, zniszczyła ją powódź. Prawdopodobnie istniał już most drewniany w czasach rzymskich, a w dokumentach wzmiankowany jest co najmniej od końca X wieku.

Most, który dzisiaj widzą florentczycy – i przede wszystkim turyści, bo mieszkańcy zwykle wybierają inne – został zbudowany w 1345 roku po serii zniszczeń (spowodowanych powodzią i pożarami) i przebudowań. Ostatniemu, największemu zniszczeniu uległ w 1333 roku na skutek powodzi. Jego dzisiejsza forma jest zbliżona do ówczesnej, późnośredniowiecznej, chociaż potem powstawały sklepiki i zakłady, a następnie, już w renesansie, Korytarz Vasarięgo.

Niektórzy badacze utrzymują, że Ponte Vecchio jest przykładem architektury „chaotycznej, przypadkowej i malowniczej”. Inni, że przeciwnie – realizuje średniowieczny ideał piękna oparty na racjonalnym i geometrycznym planowaniu wywodzącym się ze starożytności.

– Mosty w średniowiecznym świecie, nie tylko we Włoszech, prawie zawsze były efektem bardzo starannego, racjonalnego planowania, a nie improvizacji. Są więc również wyrazem pewnego architektonicznego piękna właśnie dlatego, że muszą być solidnymi, funkcjonalnymi konstrukcjami, ale muszą też być reprezentatywne dla miasta. Most był tak ważny, jak budynek (palazzo) publiczny, był uważany za istotny element architektury.

W średniowiecznym świecie zbudowanie mostu postrzegano niemal za cud – w Europie roilo się od legend mówiących o pakcie architektów z diabłem. Z tego powodu istnieje wiele Diabelskich Mostów, mamy też taki w Toskanii. Nazywają się tak, bo zbudowanie mostu oznaczało również pokonanie tabu, czyli połączenia dwóch brzegów rzeki, zbudowania przejścia tam, gdzie nigdy nie było naturalnej drogi.

Jednocześnie oznaczało to konieczność rozwiązania ważnych problemów technicznych. Budowa mostu wymagała ogromnej wiedzy. Konstrukcja Ponte Vecchio jest przypisywana Neriemu di Fioravantemu, jednemu z architektów, którzy stworzyli Palazzo Vecchio, siedzibę władz miasta. Należał do ważniejszych architektów połowy XIV wieku. Część autorstwa przypisuje się także malarzowi i architektowi Taddeo Gaddiemu, uczniowi Giotta. To nazwiska z najwyższej półki. Świadczą o tym, że najwyraźniej także we florenckiej pamięci została zachowana idea, że projekt architektoniczny musi być wysokiej jakości i w związku z tym należy go powierzyć artyście.

A jednak niektórzy wskazują kontrprzykłady „prawdziwego” piękna architektonicznego, pozbawionego chaosu, np. weneckie Rialto.

– OK, ale o „chaosie” Ponte Vecchio możemy mówić, mając na myśli stopniowo dodawane zabudowania, które były wynikiem zmieniających się planów decydentów. Most wybudowano w 1345 roku. Do dziś istniejące sklepy złotnicze i jubilerskie powstały pod koniec XVI wieku na polecenie Wielkiego Księcia Toskanii Ferdynanda I Medyceusza. Wcześniej były tam sklepy rzeźników i sprzedawców ryb.

Most zmienił swoje oblicze także, kiedy Kosma I Medyceusz (1565) wpadł na pomysł, żeby zbudować nad nim korytarz. Korytarz Vasarięgo (od nazwiska słynnego architekta Giorgia Vasarięgo) przebiega nad jednym z dwóch rzędów sklepików, tym wzdłuż wschodniej krawędzi mostu. W tym sensie dziś mamy do czynienia z dość skomplikowaną stratyfikacją i wrażeniem nieporządku, ale nie jest to nieporządek z XIV wieku, lecz efekt późniejszych dodatków.

Spis zlecony w połowie XVI wieku przez Kosmę I Medyceusza, czyli ojca Ferdynanda I, wykazał, że w tym czasie na Ponte Vecchio interesy prowadziło: 3 rzeźników, 3 wędliniarzy, 5 szewców, 2 stolarzy, 2 paszników, 1 szklarz, 1 pasmanter, 1 drobny handlarz i tuzin innych sprzedawców. Jest wzmianka o tawernie z podobizną smoka. A w wierszu z 1976 roku „Grudzień we Florencji” Josip Brodski pisał: „Na Starym Moście (...) z zapalem handluje się galanterią wszelaką”, jest i „ślicznotka”, „pochylona nad jakąś rzeczą



PIĘKNY
CHAOS

*Ponte
Vecchio*

Ten most jest pępkiem Florencji,
nie zrobić sobie na nim selfie to tak,
jakby w ogóle nie być w tym mieście.



◀ **Stynny średniowieczny kamienny most Ponte Vecchio nad rzeką Arno we Florencji**

FOT. OLHA SOLODENKO / SHUTTERSTOCK

▶ **Sklepy złotnicze i butiki sprzedające biżuterię na Ponte Vecchio**

FOT. ALEX MASTRO / SHUTTERSTOCK

▶ **Gondola z turystami na Canale Grande w Wenecji. W tle most Rialto**

FOT. RUEDIGER ETTL / SHUTTERSTOCK

tkwiącą wśród pudeł, drobiazgiem wyjątkowym” (przekł. Katarzyna Krzyżewska)...
– Dzisiaj są już tylko sklepy złotników...

Na chodnikach wciąż jednak trwa żywy handel. Teraz, w czerwcu, rozłożone są kapelusze przeciwsłoneczne, okulary, rysunki zabytków Florencji. Czarnoskórzy sprzedawcy w klapkach ciskają o ziemię gumowe świnki, które się rozplaszczają, a potem przyjmują pierwotny kształt. Jest mężczyzna, który wciąga przechodniów w grę hazardową – mają odgadnąć, pod którym z trzech kubeczków skrywa się papierowa kulka. A przed wejściem na most od południa stanowiska mają artyści rysujący portrety przechodniów. No i przelewają się fale turystów. A pod mostem przepływają kajakarze.

– W rzeczywistości nie jest to jedyny zamieszkaný, tu-dziez zabudowany most, ponieważ także najbliższy mu od wschodu Ponte alle Grazie zawierał szereg kaplic, w których żyły pustelniczki. W wielu miastach Europy, w Paryżu był np. Pont Notre-Dame, pełen domów i sklepików wyburzonych w 1786 roku. Ale we Florencji taka koncentracja budynków była tylko na Ponte Vecchio.

Oczywiście, w porównaniu z mostem Rialto, gdzie zadaszone przestrzenie – tak jak je widzimy dzisiaj – zostały harmonijnie zaprojektowane od samego początku, Ponte Vecchio jest jakby z innego świata, znacznie bardziej złożonego. Tylko że Rialto tak właśnie został zaprojektowany i zbudowany. Ponte Vecchio we Florencji się rozrastał, co widać, wraz z kolejnymi operacjami inżynierskimi. Ale na tym właśnie polega piękno tego mostu, który narastał sam na sobie.

Także na Ponte Vecchio była kapliczka z bramą z kutego żelaza i małym ołtarzem wewnątrz. Do dziś zachowało się tabernakulum nad sklepikiem jubilerskim pod numerem 52, tam, gdzie most łączy się z południową częścią miasta.

– Tak, na prawie wszystkich mostach znajdowały się kaplice lub pylony z elementami wotywnymi. Dokumenty historyczne mówią także o pylonie z posągim Marsa na koniu, to dość niezwykle odwołanie do transcendencji. Powódz z 1333 roku zmiotła także posąg i nigdy go nie odzyskano. Zapewne był to rodzaj talizmanu, który miał chronić most i całe miasto. Jak się okazało, był nieskuteczny.



Fakt, że przy wejściu na most znajdował się posąg pogańskiego boga, jest dość interesujący. Dzisiaj pod loggią, która znajduje się pośrodku mostu, wciąż można zobaczyć średniowieczny epigraf, który być może jest upamiętniającą założenie mostu reprodukcją średniowiecznego posagu Marsa. Widać na nim figurkę idola z epoki klasycznej, chociaż nie na koniu. Świadczy to o tym, że florentczycy zachowali w pamięci pogańskiego boga wojny.

No właśnie, kronikarz Giovanni Villani pisał: „Starożytni mówili i zostawili na piśmie, że kiedy posąg Marsa upadnie lub zostanie poruszony, miasto Florencja znalazłaby się w wielkim niebezpieczeństwie... Mówili to nie bez powodu, bo doświadczenie przyniosło dowód. Mars upadł i wszystkie domy, które stały na mostach Vecchio i Carraia, zostały zniszczone [...], ulice, domy i sklepy wzdłuż Arno, których było wiele we Florencji, [były] pełne cuchnącego błota, którego uprzątnięcie zajęło sześć miesięcy; przestały działać prawie wszystkie studnie w mieście”. Wnioskujemy, że również w swoim poprzednim wcieleniu most gościł sklepiki, w których sprzedawano mięso, ryby czy warzywa.

Obecnie Stary Most jest długi na ponad 90 m. Ten sam kronikarz pisał w 1345 roku: „Została ukończona konstrukcja mostu z dwoma filarami i trzema bardzo pięknymi i bogatymi łukami”. Plan nowego Starego Mostu, który powstał kilka lat po powodzi z 1333 roku, zakładał zbudowanie 43 sklepów w dwóch rzędach wzdłuż obu krawędzi mostu, o czym także dowiadujemy się z kroniki Villaniego. Gmina za ich wynajmowanie pobierała wysokie czynsze, które miały ratować budżet miasta po naprawach, do których zmusiła powódź. Dlaczego w wiekach XIV i XV właśnie rzeźnikom wynajmowano te pomieszczenia? – Było to spowodowane bliskością rzeki, woda służyła zarówno do omywania mięsa z krwi, jak i pozbywania się odrzutów z uboju.

Jak rozumiem, w drugiej połowie XIV wieku Ponte Vecchio nie należał jeszcze do centrum Florencji? – Nie, centrum był cały obszar między San Giovanni, Duomo (katedra) a Palazzo Vecchio, czyli obszar po północnej stronie Arno (Lungarno). Ale też nie były

to peryferie. Miasto stopniowo rozwijało się również po drugiej stronie (Oltrarno).

Od strony Palazzo Vecchio wychodziła droga, która prowadziła w kierunku Sieny i Rzymu, więc była to ważna trasa wyjazdowa. Z pewnością Ponte Vecchio nie było mostem, który spajał dwie połowy Florencji, ale – w zależności od punktu widzenia – szybko prowadził do wyjazdu z miasta lub był mostem prowadzącym do miasta dla tych, którzy przybywali z południa. O tym, że stanowił istotną część Florencji, świadczy też fakt, że mur Arnolfa (jego głównym twórcą był Arnolfo di Cambio), którym pod koniec XIII wieku opasano miasto, objął też Ponte Vecchio. Chociaż obszar na południe od mostu pozostał słabo zabudowany, również ze względu na ukształtowanie terenu, który po tej stronie rzeki, w stronę Belwederu, od razu zaczyna się wznosić.

Może poza faktem, że bliskość wody pozwalała na wygodną obróbkę mięsa, chodziło też o to, żeby jednak sklepy rzeźników nie znajdowały się zbyt blisko centrum. W tamtych czasach smród nad Ponte Vecchio był nie do zniesienia.

– Oczywiście. Rzeźnie zwykle lokalizowano z dala od centrum, przy drogach dojazdowych lub ujściach rzek, również z powodów estetycznych.

Kto rządził Florencją w późnym średniowieczu, kiedy zbudowano most? Jaka była wtedy jej pozycja w Europie?

– Kiedy most został zbudowany, Florencja była formalnie gminą, był to więc system demokratyczny, ale w rzeczywistości władzę sprawowało kilka dużych rodzin, które w XIV wieku zyskały na znaczeniu zwłaszcza ze względu na ich działalność jako bankierów. Na krajowej scenie politycznej Florencja nadal znaczy raczej niewiele, jest za to dość istotnym miastem-państwem w Toskanii, toczącym wojny z sąsiadami i stopniowo zdobywającym pozycję w regionie.

Jest już jednak bardzo ważna w Europie ze względu na pozycję jej bankierów, rodzin takich jak Bardi czy Perruzi, które pożyczają pieniądze możnym, a nawet królowi Anglii. Tak więc Florencja stopniowo staje się wielką potęgą ekonomiczną, ale w XIII i XIV wieku jest jednocześnie sceną trwających kilkadziesiąt lat walk między gwelfami i gibelinami [pierwsi



opowiadali się przeciw władzy cesarskiej a za współpracą z Państwem Kościelnym, drudzy odwrotnie], zakończonych ostatecznie umocnieniem się gwelfów. Florencja jednak zawsze była dość burzliwym miastem, z walczącymi frakcjami grupującymi zwaśnione wielkie rody. Scentralizowany rząd we Florencji powstał dopiero w XV wieku, wraz z objęciem władzy przez Medyceuszy, którzy byli władcami miasta, faktycznymi dyktatorami (choć nie zajmowali oficjalnych stanowisk), od Kosmy Medyceusza Starszego (1389-1464) po Wawrzyńca Wspaniałego (Lorenzo Magnifico, 1449-1492), zanim w drugiej połowie XVI wieku ustanowiono Wielkie Księstwo.

Ta centralizacja władzy w rękach jednej rodziny, a nawet jednej osoby, jest jednak zjawiskiem późniejszym, XV-wiecznym. W XIV wieku, kiedy prowadzono we Florencji wielkie prace publiczne, w tym budowę Ponte Vecchio, rząd Florencji był zasadniczo rządem republikańskim, w którym to gmina była instytucją odpowiedzialną za te wielkie przedsięwzięcia.

Co czyni Ponte Vecchio miejscem tak wyjątkowym? Dlaczego tylu turystów przyciąga właśnie ten średniowieczny most – w kolebce renesansu, mieście, które samo w sobie jest dziełem sztuki z powodu nagromadzenia zabytków?

– Każdy chyba znajduje dobry powód dla siebie. Jako historyk architektury uważam, że Ponte Vecchio jest interesujący, ponieważ pozostał jednym z nielicznych mostów na świecie, na których wciąż są budynki. Dzisiaj to wyłącznie sklepy jubilerskie oraz wieża Mannellich na południowym końcu mostu.

No i oczywiście ciekawy jest Korytarz Vasarięgo dobudowany w 1565 roku, który niewątpliwie nadaje mostowi szczególny wygląd.

Do tego dochodzi jeszcze jego fascynujące centralne położenie – dziś most jest pepkiem Florencji. Z jakiegokolwiek perspektywy spojrzeć na Florencję, Ponte Vecchio niemal zawsze znajdzie się na linii wzroku i sam też jest punktem, z którego patrzy się na Florencję. Tu przecinają się niemal wszystkie spojrzenia na miasto, to rodzaj skrzyżowania czy osi, wokół której rozwija się cała tkanka miejska.

Jest jeszcze ten kwadratowy placik pośrodku.

– Zgadza się, to ważne miejsce, w najwyższym punkcie mostu. Można tu się zatrzymać i popatrzeć, a także się spotkać. To pomysł na życie w mieście: na moście muszą być nie tylko sklepy, musi być też przestrzeń, w której nic nie trzeba budować, w którą trzeba wpuścić światło, żeby móc się spotykać albo po prostu pokontemplować rzekę lub widok miasta od strony rzeki. Dlatego w tej środkowej części mostu zrezygnowano ze sklepów, które oczywiście zasłoniłyby widok.

Mnie fascynuje to, że gdy wchodzi się na Ponte Vecchio, to na początku wcale nie ma się wrażenia, że jest się na moście, bo budynki po obu stronach zasłaniają widok na wodę.

– Bo to jest ulica z prawdziwego zdarzenia. To także przyczyna piękna i sławy Ponte Vecchio. Człowiek ma wrażenie, że znajduje się na normalnej ulicy z okresu późnego średniowiecza, z zakładami, sklepikami, i dopiero w którymś momencie, kiedy te dwa ciągi zabudowań otwierają się na miasto, orientuje się, że jest na moście.

Zdarzają się graffiti na ścianach domów.

– Niestety. To jest nielegalne i powinno być karane.

Władze miasta czasem wynajmują most na prywatne imprezy. Na przykład latem 2013 roku ówczesny burmistrz miasta (a później premier Włoch) Matteo Renzi zgodził się zamknąć do późnego wieczora most, aby na placyku w centrum i samym przejściu miliarderzy z grupy Ferrari mogli sobie urządzić wystawną kolację. Gmina miała na tym zarobić dużo pieniędzy.

– Wykorzystanie przestrzeni publicznych do organizacji prywatnych wydarzeń oczywiście nie dotyczy tylko Ponte Vecchio. We Florencji mieliśmy już wszystko: wynajmowanie dla prywatnych imprez Palazzo Vecchio, Palazzo Pitti, a nawet klasztoru Santa Maria Novella. Można jeszcze zrozumieć decyzję o wynajęciu przestrzeni publicznej w pomieszczeniach zamkniętych za bardzo wysoką opłatą i oczywiście przy gwarancji, że zabytek nie zostanie uszkodzony i nie dojdzie tam do ekscesów. Jednak w przypadku przestrzeni zewnętrznych jestem temu zdecydowanie przeciwny, ponieważ plac jest placem z definicji, także plac na Ponte Vecchio, to znaczy nigdy nie powinien być zamknięty, używany prywatnemu podmiotowi, nawet jeśli zalewa nas pieniędzmi. To przestrzeń publiczna, nigdy nie można też zamknąć Piazza della Signoria [główny plac Florencji,

• **Rusztowanie na Ponte Vecchio po powodzi w listopadzie 1966 r. Woda była tak wysoko, że wpadała do sklepów i porywała ze sobą klejnoty**

FOT. DOMINIQUE ROGER / UNESCO / WIKIMEDIA COMMONS



przy którym znajduje się Palazzo Vecchio] ani żadnej innej otwartej przestrzeni, która jest publiczna.

Prywatną kolację biznesmenów w salonie Cinqucento w Palazzo Vecchio można zorganizować wieczorem, bez szkody dla odwiedzających, ale zamknięcie mostu wydaje mi się czymś poważniejszym, wręcz naruszeniem praw obywateli.

Most powinien łączyć...

– No właśnie. Zamykamy go, bo Ferrari nam płaci? Jak to brzmi... W niektórych sprawach nie powinno się iść na kompromisy. Plac i most to przestrzenie otwarte o wielkiej wartości symbolicznej i dlatego w żadnym razie nie mogą być wynajmowane.

Są też jednak inne niezrozumiałe, przynajmniej dla mnie, zjawiska, na przykład masowe przypinanie klódek do ogrodzenia wokół popiersia Benvenuta Celliniego, wybitnego złotnika z XVI wieku, które znajduje się w środkowej części mostu. Pomnik z 1900 roku jest holdem dla całej tradycji złotników. Klódki zaś mają zaświadczyć o miłości tych, co je zaczepiają. Osobliwie.

Wróćmy jeszcze do Korytarza Vasarięgo. Fascynującą jest cała historia ze zbudowaniem osobnego przejścia dla władcy ponad głowami mieszczan.

– Tak, oczywiście. Tego osłoniętego przejścia z Palazzo Vecchio, gdzie rządził, do Palazzo Pitti, gdzie mieszkał, chciał Kosma I Medyceusz, który wtedy był księciem Florencji, a kilka lat później został Wielkim Księciem Toskanii. W ten sposób mógł na przykład pójść na mszę do kościoła Santa Felicità po południowej stronie mostu bez wychodzenia na ulicę i mieszania się z innymi wiernymi.

Medyceusze obawiali się, że zostaną zaatakowani lub zamordowani. Tak więc Korytarz Vasarięgo monumentalizuje tę paranoję.

Korytarz jest też realizacją pewnej idei kontroli nad poddanymi, ponieważ pozwalał księciu rzucić okiem na poddanych i miasto w sposób dyskretny, bez bicia zauważonym.

Pod względem architektonicznym to bardzo prosty pomysł, ale doskonale rozwinięty przez architekta Vasarięgo.

Od 2016 roku korytarz jest zamknięty, potrzebny był remont, ale być może uda się go otworzyć dla turystów ponownie jeszcze w tym roku. Nie jest to łatwa przestrzeń: w nim jest w nim bardzo zimno, w lecie bardzo gorąco. Poza tym jest bardzo wąski i turysta, który zdecyduje się tam wejść, nie będzie mógł zawrócić, będzie musiał przejść całą drogę w jedną stronę, żeby nie tworzyć korków. W sumie 760 metrów.

Korytarzem Vasarięgo przeszli się nawet wspólnie Mussolini z Hitlerem...

– Ano tak, podczas słynnej jednodniowej wizyty Hitlera we Florencji w 1938 roku. Z tej okazji Mussolini kazał nawet umieścić wielkie okna w centralnej części korytarza, żeby Hitler miał doskonały widok na rzekę i miasto. Z kolei w sierpniu 1944 roku Coridorio Vasariano używali partyzanci walczący z Niemcami i faszystami, przechodzili nim z jednej strony rzeki na drugą.

Każda strona poświęcona Ponte Vecchio z osobliwą dumą przypomina, że ten most był jedynym, którego nie wysadzili hitlerowcy starający się opóźnić pochód aliantów...

– W sprawie mostu mediowali niemiecki konsul Gerhard Wolf i szwajcarski konsul Carlo Steinshauslin. Kilka lat temu na Ponte Vecchio umieszczono tablicę upamiętniającą interwencję Wolfa, który był

miłośnikiem sztuki włoskiej. Wcześniej przyznano mu honorowe obywatelstwo miasta. Najwyraźniej zgody na ulaskawienie mostu udzielił bezpośrednio Hitler. Jednak rzadko się mówi o tym, że cena, jaką trzeba było zapłacić za ocalenie Ponte Vecchio, była bardzo wysoka.

Niemcy, aby powstrzymać natarcie aliantów, zniszczyli dwie dzielnice po obu stronach rzeki. Zrównali z ziemią całą okolicę via Guicciardini (na lewym brzegu Arno) i cały teren wokół kościoła Santo Stefano al Ponte (na prawym brzegu Arno). Gdyby wysadzili Ponte Vecchio, zostawiliby w spokoju te dzielnice. Można się spierać, co byłoby lepsze. Gdyby wysadzili Ponte Vecchio, można by go było odbudować, tak jak odbudowano wszystkie pozostałe mosty. A tym dwóm średniowiecznym dzielnicom nie przywrócono pierwotnego wyglądu. Teraz to dzielnice neośredniowieczne, z wysokimi domami w stylu późnego racjonalizmu z lat 50.

Ciekawe jest to, że Ponte Vecchio był najwyraźniej postrzegany jako symbol Florencji, ale także coś, co należało do wspólnego horyzontu kulturowego, także niemieckiego. Był tak drogi Niemcom, którzy odwiedzali Włochy, że poświęcili bardzo ważną tkankę budowlaną, w dużej mierze jeszcze średniowieczną.

To wydarzenie przypomina, że istniała idea Ponte Vecchio jako arcydzieła, malowniczego, wyjątkowego miejsca. Kierując się nią, zniszczono wszystko inne wokół niego.

Nawiasem mówiąc, wysadzenie wszystkich innych mostów na niewiele się zdało, ponieważ brytyjskim inżynierom udało się zbudować w ciągu kilku dni mosty tymczasowe i pontonowe, które umożliwiły przejście wojsku, nawet pojazdom opancerzonym. Niemcy więc zyskali raptem kilka dni.

Powinniśmy jeszcze wspomnieć o powodzi z 1966 roku. Arno zniszczyło wszystkie miasta na swojej drodze, w tym Pizę i Florencję, a w niej Ponte Vecchio.

– Tak, straty były ogromne. Woda była tak wysoko, że wpadała do sklepów i porywała ze sobą klejnoty. W tamtych czasach nie istniała obrona cywilna, nie istniał system ostrzegania. Do ratowania i czyszczenia Florencji zjechali się ludzie z całych Włoch, a także z innych krajów.

To był ważny moment także dlatego, że po tej katastrofie narodziła się polityka ochrony kruchej gleby i dziedzictwa kulturowego.

Wydaje mi się, że dzisiaj Ponte Vecchio, zresztą jak całe historyczne centrum Florencji, jest ofiarą własnego piękna. Przekleństwo polega na tym, że turyści z miejsc publicznych wyparli już miejscowych, którzy ani nie mieszkają w centrum, ani prawie go nie odwiedzają.

– Na przykład Ponte Vecchio w jego nagim architektonicznym pięknie nie można zobaczyć prawie nigdy, chyba że w nocy lub skoro świt. Najlepszy pod tym względem był okres pandemii Covid – ci, którzy otrzymywali przepustkę do wyjścia z domu, mogli zobaczyć Stary Most, co od lat było niemożliwe. Dzisiaj, jeśli muszę przejść na drugą stronę Arno, wybieram inny most, bo przedarcie się przez tłumy na Ponte Vecchio źle działa na moje nerwy. Turyści zwożeni są grupami, masowo, zaliczają w jeden dzień Ponte Vecchio i dwa-trzy inne miejsca, i znikają.

Pięknego klasztoru św. Marka nie odwiedza nikt, Świętego Krzyża też niewielu, za to na Starym Moście zawsze są nieprzeliczone tłumy. Jak nie pójdziesz tam, żeby sobie zrobić selfie, to tak, jakbyś nie odwiedził Florencji. ●

Antypolityka historyczna

Co wolno uciskanym?

Dawne prześladowania nie dają prawa do obecnych przywilejów.

Janowski



Bertrand Russell napisał około 100 lat temu krótki esej „Wyższość moralna uciskanych” (The Superior Virtue of the Oppressed). Opinia publiczna krajów Zachodu, pisał Russell, współczuje różnym grupom uciskanych: wytwarza sobie obraz szlachetnego prześladowanego, podobny trochę do obrazu szlachetnego dzikusa, jak go sobie wyobrażał Jan Jakub Rousseau. Opinia ta nie dostrzega, że prześladowani nie są lepsi od innych przez sam fakt bycia prześladowanymi. Dotyczy to wszystkich grup uciskanych: narodów, kobiet, dzieci, klas społecznych i kolorowej ludności kolonialnej. Swym niepodrabialnie ironicznym stylem, którego nie potrafię przekazać po polsku, Russell doprowadził do absurdu romantyczny obraz proletariatu rodem z komunistycznej propagandy. „Gdyby rzeczywiście tak było, że złe

wyżywienie, słabe wykształcenie, brak słońca i świeżego powietrza, niezdrowe warunki mieszkaniowe i przepracowanie dają lepszych ludzi niż dobre wyżywienie, świeże powietrze, odpowiednie wykształcenie i mieszkanie, a także rozsądna porcja czasu wolnego – wtedy (...) moglibyśmy się tylko cieszyć, że tak duży procent społeczeństwa żyje w warunkach tak sprzyjających dla cnoty”. Oczywiście tak nie jest, złe warunki życia nie uszlachetniają człowieka, lecz go degradują. Nędma i ucisk zmuszają często do postępowania nieetycznego, po prostu po to, żeby przetrwać. Ale – wychodząc poza Russella – jest tu jeszcze coś więcej. Ucisk wytwarza chęć odwetu, nie przygotowuje do funkcjonowania w liberalnym i demokratycznym społeczeństwie. W ciągu XIX i XX w. wielokrotnie zauważano, jak grupy uciskane po zdobyciu choćby części władzy odmawiały innym tych samych praw, których się same domagały. Najczęściej dotyczyło to ruchów narodowych, które zdobyły własne państwo. Ruchów wyrosłych z protestu uciskanych, a owocujących okrutnymi dyktaturami, możemy wymienić wiele, z komunizmem rosyjskim i chińskim na czele. Nie zawsze chodzi tu o terror. O tym, jak współczesne nurty radykalne, zarówno z prawa, jak i z lewa, zdobywając pozycję w jakimś kraju czy środowisku, dążą do ograniczenia swobody krytyki ich poglądów, wiemy aż za dobrze. Zwykle powołują się przy tym na swoją wcześniejszą – często realną, czasem wylbrzymioną – dyskryminację jako argument za tym, że wolno im więcej. Przecież tylko wyrównują dawne niesprawiedliwości. W tle jest – chyba się nie mylę – owo przekonanie o wyższości moralnej uciskanych, o którym pisał Russell. Wiem, że wchodzę tu na grząski grunt; wiem, że nie można uogólniać. Sądzę, że istnieją sytuacje, w których umiarkowana polityka afirmatywna wobec potomków ofiar ucisku jest wskazana. Nie ośmieliłbym się twierdzić, że ruchy wyrosłe z protestu przeciw uciskowi nigdy nie mają moralnego – a może i sądowego – prawa do zadośćuczynienia. Każdy konkretny przypadek jest inny. Niemniej muszę przyznać, że argument, iż dawne prześladowania dają prawa do obecnych przywilejów (przywileje to coś innego niż zadośćuczynienie!), wydaje mi się niezwykle niebezpieczny, niezależnie od tego, po której stronie sceny politycznej się pojawia. Czy stawia go Kościół, czy państwo Izrael, czy Palestyńczycy, czy feministki, czy potomkowie niewolników lub ludów kolonizowanych, czy nasza narodowa prawica. Sprawiedliwość nie

ma być stronicza ani na rzecz uciskanych, ani uciskających – nie darmo jest przecież ślepa, to znaczy bezstronnie przyznająca każdemu, co mu się należy. Historia nie jest zdeterminowana. Nie jest powiedziane, że grupa uciskana, zyskując prawa, musi stać się agresywna, nietolerancyjna wobec innych. Ale istnieje takie niebezpieczeństwo. Ruchy narodowe w pierwszej połowie XIX w. były ruchami lewicowymi, emancypacyjnymi i demokratycznymi (bo odrzucały różnice stanowe, głosząc, że przynależność do narodu zrównuje np. szlachcica z chłopem). A mimo to w XX w. liczne z nich (nie wszystkie) stały się ruchami skrajnie prawicowymi, antydemokratycznymi i antyliberalnymi. To nie jest – nie może być! – argument przeciw walce z uciskiem, ale to dla wszystkich ruchów domagających się sprawiedliwości dla uciskanych powinna być poważna przestroga. Nie ma takich słusznych idei, które nie mogą w pewnych warunkach zdegenerować się w narzędzia represji i terroru. Nie ma takich grup społecznych, które po obaleniu wyzyskiwaczy nie mogłyby się stać podstawą dyktatury. ●

Maciej Janowski – historyk, zajmuje się dziejami Polski i Europy w XIX w.

Jasne strony dziejów

Zwierzyna łowna dla populistów

Powtarzana do znudzenia fraza, że przyptyw podnosi wszystkie łodzie, okazała się nieprawdziwa. Bo niektóre łodzie PRL zostawił dziurawe.

Brzeziecki

Im odleglejsze w czasie są reformy Polski z lat 90. XX wieku, tym większe są wobec nich oczekiwania. Mija właśnie 35 lat od momentu, gdy opozycja demokratyczna przejmowała władzę. Najpierw wybory w czerwcu, potem powstanie rządu Tadeusza Mazowieckiego. Państwo było wtedy w opłakanym stanie. W tak opłakanym, że dziś trudno sobie to już wyobrazić. Gdy w połowie lat 80. XX wieku brytyjski historyk Timothy Garton Ash wybierał się do Polski, po lądowaniu na Okęciu zapisał w dzienniku „wylot z Heathrow: 1984, przylot: 1945”. Pięć lat później nad Wisłą było jeszcze bardziej szaro i biednie. W ciągu następnej dekady reformy zapoczątkowane przez Mazowieckiego i Balcerowicza uczyniły z Polski państwo jako tako sprawne, ale gotowe do wejścia do Unii Europejskiej – co dało nam już wielkiego modernizacyjnego kopniaka. W czasach, gdy Polska zabierała się do reform, dominował dyskurs neoliberalny. Świecił triumfy w Wielkiej Brytanii, Stanach Zjednoczonych, ale także w Azji Południowo-Wschodniej, gdzie rosły w siłę „azjatyckie tygry-

sy”. Dlatego, nawet gdyby polscy reformatorzy chcieli iść inną drogą, to prosząc o wsparcie światowe instytucje, musieliby słuchać rad ich neoliberalnych ekspertów. Czy przy okazji tamtych reform nie działa się krzywdą? Pewnie, że się działa – ludzie tracili pracę, ich oszczędności topniały jak kostka lodu na słońcu, sami padali ofiarami piramid finansowych. Tyle że za to wszystko trudno obwiniać Balcerowicza, bo zło zostało dokonane wcześniej, gdy tworzono sztuczne miejsca pracy i dokonywano szczybionych inwestycji. Transformacja tym ludziom, owszem, nie pomogła, ale pomóc nie mogła. Gdyby jednak się nie dokończyła, to wykluczeni byłibyśmy wszyscy. Oczywiście powtarzana wtedy do znudzenia fraza, że przyptyw podnosi wszystkie łodzie, okazała się nieprawdziwa, bo niektóre łodzie PRL zostawił dziurawe. Co można było zrobić inaczej? Pewnie wiele – na przykład starać się chronić część lokalnych połączeń kolejowych – ale to już sprawa kolejnych lat. Jednocześnie reformy rządu Mazowieckiego wyzwoliły niesamowitą energię społeczeństwa, dały nadzieję, że realne jest życie jak „na Zachodzie”.

Że ten Zachód pojmowano dość naiwnie, to inna sprawa. Polacy masowo zakładali firmy, jedne upadały, ale inne rozkwitały. Oczywiście – można było, jak wielu górników, brać odprawy, wydawać je na nowe auta i szaleć w knajpach przez pół roku, a potem iść pod Sejm palić opony, bo takie „ofiary” transformacji też były. Był to czas dość dziki. W wiadomościach co rusz pojawiały się informacje o napadach na właścicieli kantorów i konwojentów z banków. Na targowiskach kwitł nielegalny handel, mafia ze Wschodu pobierała haracze na bazarach. Samo tylko uporanie się z przestępczością na Dworcu Centralnym w Warszawie zajęło kilka lat. Gdy pogoniono złodziei, symbolem czasów, i to pod koniec dekady, stali się okupujący halę dworcową bezdomni podopieczni ojca Palecznego. Tak Polska wtedy witała przyjezdnych z zagranicy. Po pierwszych reformach, zwanych nie bez kozery „terapią szokową”, rządziły wszystkie opcje polityczne – żadna nie zanegowała radykalnie reform. Natomiast ofiary komunizmu, zwane ofiarami transformacji, stały się dość szybko zwierzyną łowną dla po-

pulistów. I tu nastąpiło kolejne nieszczęście. Populiści zaczęli wmawiać społeczeństwu, że winnymi wszelakich nieszczęść są mityczne elity – te nastawione proeuropejsko. Elity oczywiście zgrzeszyły pychą. Zajęte reformami nie zawsze potrafiły przedstawić je w odpowiednim świetle. Zaczęło się od słynnej wypowiedzi Bronisława Geremka w 1990 r., że społeczeństwo nie dojrzało do demokracji, a skończyło na radach Bronisława Komorowskiego z 2015 r. dla młodego człowieka, by zmienił pracę i wziął kredyt. Ot tak. Jednak w tej krytyce kryła się sprzeczność. Populiści potępiali słowa Geremka i inne przykłady niewrażliwości społecznej, ale równocześnie oburzali się na słowa o niedojrzałości i chcieli, by państwo prowadziło obywateli za rękę. W zgiełku awantur politycznych przestaliśmy mówić, że ostatnie dekady to najjaśniejsze czasy Polski od kilku stuleci. Zachód nam pomógł, ale większość roboty wykonali Polacy. Czy to nie powód do dumy narodowej? ●

Andrzej Brzeziecki – historyk, dziennikarz, publicysta

Piotr Głuchowski

Toruń nie chwali się tumultem, który wybuchł tu równo 300 lat temu. Do historii Europy przeszedł jako Thorner Blutbad, czyli krwawa łaźnia toruńska.

W recepcji ulokowanego w gotyckim Ratuszu Staromiejskim Muzeum Okręgowego słyszę, że mają ekspozycję poświęconą Colloquium Charitativum, czyli „braterskiej rozmowie” między katolikami i protestantami, jaką zainicjował w 1645 roku król Władysław IV. Debatą odbywała się właśnie w tym gmachu. Na temat katolicko-protestanckich zamieszek z lipca 1724 roku, które skończyły się ścięciem głów burmistrza Jana Gotfryda Rösnera i grupy mieszczan, ekspozycji nie ma.

Niczego na ten temat nie znajduję również w pobliskim Muzeum Historii Torunia ulokowanym w jednej z najpiękniej zachowanych w Polsce czysto gotyckich kamienic, Domu Eskenów przy prowadzącej do Wisły ulicy Łaziennej. Mają tu plany miejskich fortyfikacji, cyfrowe kopie fotografii zrobionych z okazji otwarcia linii kolejowej, foldery z repertuarem przedwojennych kin, a nawet maszyny szyfrującą Enigma. O tumultie cisza.

Nie znajduję śladu o nim i w pozostałych muzeach miasta: Kamienicy pod Gwiazdą, Muzeum Podróżników, Muzeum Twierdzy Toruń, a tym bardziej w Muzeum Piernika.

Jest jeszcze siedziba organizującej festiwałe filmowe fundacji Tumult na Rynku Nowomiejskim, zatem idę w tę okolice, a po drodze będę pytał mieszkańców, czy słyszeli cokolwiek o toruńskim tumultie z XVIII wieku.

DYSYDENCI A SPRAWA POLSKA

Marcin Luter ogłosił swoje 95 tez w roku 1517, a już trzy lata później polski król Zygmunt I Stary wydał – właśnie w Toruniu – edykt zabraniający sprowadzania i kolportażu pism reformatora. Mimo to idee protestanckie przenikały za mury miejskie podobnie jak sami ewangelicy. Narastało zjawisko konwersji.

W 1558 roku gród uzyskał od króla Zygmunta II Augusta przywilej zezwalający wreszcie na jawne praktykowanie religii reformowanej. Zamożni mieszczenie, w większości niemieckojęzyczni, przemawiali odtąd kolejne, często wystawiane jeszcze w czasach krzyżackich kościoły i usuwali katolickich proboszczów, rzeźby, malowidła. Pokryte freskami mury wewnętrzne bielili, dzięki czemu wiele średniowiecznych dekoracji ściennych zachowało się świetnie do dziś – pod pobiałą. Jako torunianin i student konserwacji zabytków skrobałem z wapna niektóre z nich.

W interesujących nas pierwszych dekadach XVIII wieku toruńscy protestanci – głównie luteranie – byli już w mieście górą. Mieli ewangelicką radę miejską, opanowali cechy – zrzeszenia zawodowe, do których przestali dopuszczać katolików. Ci ostatni, przeważnie polskojęzyczni, choć liczebnie stanowili połowę populacji miasta, zostali zepchnięci do roli wytwórców-partaczy, praktycznie – miejskiej biedoty. Większość mieszkała w osadach poza miejskimi murami.

Tymczasem Rzeczpospolita Obojga Narodów była państwem w większości katolickim. Po soborze trydenckim (1545-63) Rzym przystąpił do kontrofensywy także na naszych ziemiach. Protestancka szlachta licznie nawracała się na katolicyzm, jednocześnie innowierców zaczęto traktować nieufnie. Na sejmie niemym w 1717 roku ograniczono przywileje dysydentów – jak argumentowano – po to, aby przeszkodzić interwencjom ewangelickiej zagranicy, głównie Szwecji i Prus. Jak pisze specjalizująca się w dziejach Mitteleuropy historyczka z Uniwersytetu Kilońskiego Martina Thomsen: „kwestia dysydentów nie tyle stała się zasadniczą w polityce religijnej, ile w pomieszananiu z egoistycznymi interesami sąsiednich mocarstw urosła do kardynalnej kwestii dal-

KRWAWA ŁAŹNIA TORUŃSKA

Po tumultie kilkunastu torunian skazano na karę śmierci, w tym ewangelickiego burmistrza. Tym, którzy profanowali jezuicką kaplicę, dodatkowo przed ścięciem odrabano dłonie.



• Tumult wybuchł 300 lat temu na toruńskim cmentarzu kościoła św. Jakuba FOT. KAPITEL / WIKIMEDIA COMMONS

szego istnienia szlacheckiej Rzeczypospolitej. I na tę właśnie fazę nietolerancji religijnej przypadły wydarzenia toruńskiego tumultu”.

JEZUICI WŚRÓD EWANGELIKÓW

W ostatnich latach XVI wieku jezuici otworzyli w Toruniu dom misyjny ze szkołą parafialną, ale w 1606 roku ewangelicy wypędzili ich poza mury. Sprawą musiał się zająć Sejm. Po uchwaleniu konstytucji sejmowej *Restitutio expulsiōis Societatis Jesu* zakonnicy wrócili z królewskim gładem zezwalającym na otwarcie w Toruniu szkoły, która z czasem zyskała rangę kolegium – czegoś w rodzaju dzisiejszego liceum ogólnego plus dużo katechezy.

Katolicką bazę w środku ewangelickiego grodu sfinansowała księni benedyktynek z pobliskiego Chełmna, córka podkomorzego malborskiego Magdalena Mortęska herbu Orle Nogi. Stało się to w tym samym roku, w którym polska załoga zajęła moskiewski Kreml. Od tego czasu luterkański Toruń musiał tolerować nie tylko katolickich żaków zjeżdżających tu na nauki z głębi kraju, ale nawet wznowione po przeszło 100 latach przerwy procesje Bożego Ciała.

Tumult nie wybuchł jednak – jak się czasem podaje – w trakcie takiej procesji, lecz podczas innego religijnego obrządku: w święto Matki Boskiej Szkaplerznej 16 lipca 1724 roku na cmentarzu nowomiejskiego kościoła świętego Jakuba. Nota bene to jedyny stojący dziś w Polsce kościół, który znajduje się w większości światowych podręczników do historii sztuki – prawdopodobnie ze względu na zewnętrzne przypory (łuki odporowe), czyli okalające główną nawę „żebra” – takie, jak w katedrze Notre Dame, katedrze na Hradczanach i mediolańskim Duomo. Żaden inny pokrzyżacki kościół – i żadna gotycka budowla w Polsce – takich konstrukcji nie ma, a w każdym razie nie dotrwały do naszych czasów. Te u św. Jakuba też są dzisiaj w większości niewidoczne – zostały częściowo zabudowane bocznymi kaplicami.

Idąc w kierunku świątyni pytam o tumult toruński klientów pijalni czekolady przy ulicy Szerokiej.

NA KOLANA, HERETYKU!

– Tumult to ten kościół na Nowym Rynku – odpowiada pewnie Urszula, 45 lat, torunianka.

Wyjaśniam, że luterkański zbor wystawiony w początkach XIX wieku na młod-

szym z toruńskich rynków nosi miano Trójcy Świętej, a Tumult to nazwa fundacji – najemcy tego budynku. Tylko od czego pochodzi?

– Od nazwiska jakiegoś niemieckiego księdza?

Jeszcze mniejsze pojęcie ma racząca się czekoladą Daniela z Brodnicy, która przyjechała do Torunia z wnukiem na wycieczkę. Byli już na Bulwarze Filadelfijskim i w planetarium.

– To nie jest jakaś ryba, ten tumult? – pyta.

Do rozmowy włącza się młody człowiek z aparatem fotograficznym na szyi. Jest studentem filologii polskiej tutejszej uczelni.

– Tumult toruński to była średniowieczna bitwa mieszczan z Krzyżakami. Zburzyli wtedy zamek.

Ulokowaną między Starym i Nowym Miastem zakonną fortecę rzeczywiście zniszczyli torunianie. Stało się to jednak trzy wieki przed tumultem, podczas powstania miast pruskich przeciw Zakonowi Szpitala Najświętszej Marii Panny. Warowni nigdy nie odbudowano – przez setki lat ruiny były wysypiskiem śmieci. Zachowała się – w większej całości – jedynie krzyżacka ubikacja: skrzyżowanie wieży i bramy z otworem nad strumieniem. Nazywa się to

do dzisiaj gdańskiem, bo sami zakonnicy mienili swój wychodek Danskerdem, co było objawem pogardy względem wrogiego im Gdańska (Danzig).

W trakcie tumultu toruńskiego niczego nie zburzono. Ruchawka zaczęła się od tego, że podczas adoracji wizerunku Matki Boskiej Szkaplerznej jeden z uczniów kolegium jezuickiego – syn mieszczanina z Włocławka – zażądał od przyglądających się nabożeństwu ewangelickich chłopców, aby ci przyklękli lub chociaż zdjęli czapki. Kiedy odmówili (mogli go też nie zrozumieć, bo mówił po polsku), krewki Polak – nazywał się Stanisław Lisiecki – strącił nakrycie głowy jednemu z ewangelików. I jeszcze go spoliczkował.

Po kilku godzinach w tej samej okolicy doszło do drugiej scysji z udziałem Lisieckiego. Po stronie luterkańskiej wziął w niej z pewnością udział mieszkający w pobliżu mieszczanin Dawid Heyder. Zdziornego ucznia jezuickiej szkoły wspierali klasowi koledzy. Musiała interweniować straż miejska. Na polecenie burmistrza Rösnera Lisiecki został zatrzymany w lochu jako sprawca awantur.

MATKA BOSKA PŁONĄCA

Nazajutrz jezuicy uczniowie i ewangelicy znowu się poszarpalili. Straż miejska aresztowała drugiego słuchacza kolegium. W retorsji katolicy uprowadzili luteranina Jana (wedle części źródeł Jakuba) Nagórnego, ucznia protestanckiego gimnazjum, który w ogóle nie brał udziału we wcześniejszych kłótniach.

Nagórny został zamknięty w piwnicy szkoły jezuitów. 17 lipca pod wieczór mieszczanie ewangelicy otoczyli budynek. Poleciały obelgi i kamienie, rozrabiaków znowu musiała uspokajać straż miejska, oddając salwy w powietrze.

O zachodzie słońca wezwany na miejsce sekretarz rady miejskiej Jan Henryk Wedemeyer zdołał wejść do kolegium, gdzie zażądał od rektora Kazimierza Czyżewskiego uwolnienia gimnazjalisty Nagórnego. Rektor się zgodził, zastrzegając, że wcześniej muszą zostać wypuszczeni obaj słuchacze jego szkoły – co wkrótce nastąpiło.

Kiedy cała trójka była już na wolności, a straż miejska wróciła do ratusza, zebrany pod siedzibą jezuitów tłum luteran wdarł się do budynku. Zaczęli od zniszczenia ławek szkolnych, stołów, drzwi, a nawet pieców, skończyli na ołtarzu w kaplicy Najświętszej Maryi Panny i sąsiednim klasztorze. Zniszczone sprzęty wyrzucano na ulicę, wkrótce ktoś je podpalił. Potem jezuici stwierdzą, że do ognia wpadły figury świętych pańskich, a także wizerunek Matki Bożej.

Już po zmroku zamieszki spacyfikował wezwany oddział gwardii koronnej, czyli stacjonujące w toruńskim garnizonie wojsko podległe królowi Augustowi II Mocnemu.

Miesiąc później kwestia rozliczenia winnych stanęła na radzie miejskiej. Jakub Kazimierz Rubinkowski, obecnie patron największego osiedla w mieście – Rubinowa, jako jeden z trzech rajców katolików zażądał od burmistrza Rösnera szybkiego ukarania winnych zdemolowania szkoły jezuitów i zbezczeszczenia kaplicy. Rösner odrzucił ultimatum, zaś śledztwo rady miejskiej od początku kułało. Prowadzący je luteranie nie mieli najwyraźniej ochoty ścigać współbraci w wierze. Jezuici pozwali więc władze Torunia przed sąd królewski w Warszawie.

CZYM SIĘ RÓŻNIA TUMULT I FLISAK?

W fundacji Tumult, której siedzibę od przykościelnego cmentarza, gdzie wszystko się zaczęło, dzieli ledwo 100 metrów, nikogo nie zastają. Budynek stoi pusty i głuchy – ożywa podczas festiwalu Camerimage, czyli w listopadzie. Z pytaniem o tumult toruński zwracam się więc do klientów sklepów naprzeciwko. Na początek delikatesy mięsne Gzella.



• Ścięcie toruńskich mieszczan zszokowało protestantów w Europie

FOT. ZE ZBIORÓW KSIĄŻNICY KOPERNIKAŃSKIEJ W TORUNIU

– Tumult to przecież tam – mówi mi starsza wiekiem lokatorka sąsiedniej kamienicy, która po kielbasę przyszła w samych kapciach. Palcem wskazuje zbór.

– A skąd się ta nazwa wzięła?

– Pan nie wie? Tumult to większy hałas albo zbiegowisko. Chyba im chodzi o to, by było o nich głośno. Chociaż, jak obserwuję to miejsce, sami są raczej cisi. Tylko coraz droższymi samochodami na Rynek zajeżdżają. Festiwale robią na dawnych jordankach, specjalnie dla nich miasto zbudowało coś bardzo dziwnego, moim zdaniem zresztą bez sensu. Lepiej było, jak stał tam basen. Ludzie coś z tego mieli, nie tylko dla elit.

– Słyszała pani kiedyś o tumultcie toruńskim? – pytam sprzedawczynię sklepu obuwniczego.

– Tumult to był ten z fletem, co wyprowadził żaby?

Żaby, które – wedle legendy – opanowały Toruń, wyprowadził nie tumult, lecz flisak. Wystarczyło, że zagrał odpowiednią melodię. Dlatego na pomniku – stojącym kiedyś w parku opodal nadwiślańskich bulwarów, a teraz pod ratuszem – oryl nie trzyma wiosła, ale gra na skrzypcach. Z tumultem ma tyle wspólnego, że symbolem fundacji Marka Żydowicza i nagrodą festiwalu Camerimage jest żaba. A może powinien być katowski miecz – bo na nim się wszystko skończyło.

RZEŹ PRZED RATUSZEM

Rozprawa przed izbą niższą królewskiego sądu rozpoczęła się w Warszawie już 11 sierpnia, co oznacza, że w 1724 roku na wyznaczenie wokandy czekało się w Polsce o wiele krócej niż dziś. Ponieważ wezwane strony przedstawiły różny obraz zdarzeń, sąd podjął decyzję o powołaniu komisji wyjazdowej. Ta rozpoczęła działalność 16 września pod przewodnictwem biskupa kujawskiego Krzysztofa Szembeka, znanego protektora jezuitów. Liczyła 20 członków wyłącznie wyznania rzymskiego. Po miesiącu spędzonym w Toruniu na koszt rady miejskiej komisarze orzekli, że zamieszkom winni są luteranie – ustalono nazwiska 67 osób zamieszanych w niszczenie kolegium i klasztoru, wśród nich miejskich radnych.

Jednocześnie w stolicy obradował Sejm, na którym sprawa toruńska była jednym z głównych tematów poselskich interpelacji. Szlachta zażądała surowego ukarania winnych, równouprawnienia mieszczan katolickich z ewangelikami oraz oddania tym pierwszym pofranciszkańskiego kościoła Najświętszej Maryi Panny – przejętego przez luteran ponad 100 lat wcześniej.

Jeszcze dalej posunęli się jezuici, którzy w roli prokuratorów przystąpili do wznowionego procesu przed królewskim sądem. Ci domagali się kary śmierci dla prowodyrów zamieszek, konfiskaty majątków skazanych, odebrania ewangelikom gimnazjum i miejskiej drukarni oraz wszystkich kościołów.



• Burmistrz Torunia Johann Gottfried Rösner

FOT. ZE ZBIORÓW KSIĄŻNICY KOPERNIKAŃSKIEJ W TORUNIU

Na czele komisji, która miała wyjaśnić sprawę, stał biskup kujawski Krzysztof Szembek, znany protektor jezuitów. Liczyła ona 20 członków wyłącznie wyznania rzymskiego

Wyrok zapadł równo cztery miesiące po wybuchu zająć. 14 osób skazano na kary śmierci. Burmistrz Gotfryd Rösner i jego zastępca Jakub Henryk Zerneke – choć nie przyłożyli ręki do niszczenia kolegium – zostali ukarani gardłem za rzekome podżeganie. 40 innym torunianom – w tym szefowi straży Gotfrydowi Graurockowi – wymierzono kary więzienia, chłosty i wysokie grzywny po kilkaset złotych polskich. Ci, którzy profanowali jezuicką kaplicę, mieli mieć ponadto odrąbane dłonie, a ich ciała winny być spalone poza murami miejskimi bez prawa do pochówku.

Luteranie utracili kościół Maryi Panny, ich gimnazjum przeniesiono poza mury miasta. Katolicy mieli być stopniowo dopuszczeni do cechów i rady – do czego w końcu nie doszło. Ponadto Toruń musiał pokryć jezuitom koszty procesowe, straty materialne plus zadośćuczynić za szkody moralne, co kosztowało ratusz 34 tysiące florenów. Średniej rangi urzędnik królewski zarabiał w tym czasie jednego florena na miesiąc.

Wraz z orzeczeniem skazani – wśród nich rzeźnik, kuśnierz, czeladnik guzikarski, czeladnik ciesielski, iglarz, piernikarz oraz dwóch szewców – dostali propozycję ulaskawienia za przejście na katolicyzm. Skorzystał wspomniany już Dawid Heyder, reszta odmówiła, dwóch salwowało się skuteczną ucieczką. Wiceburmistrza Zernekego wyreklamował wojewoda chełmiński Jan Rybiński. Rösnerowi nie pomógł nikt. Burgermeister został ścięty wraz z pozostałymi dziewięcioma rankiem 7 grudnia – on na dziedzińcu ratusza, oni na placu przed nim. Dłonie odrąbywano przed dekapitacją.

PR-OWA KLĘSKA NA LATA

Ścięcie toruńskich mieszczan zszokowało protestantów w Europie. Jeszcze przed 7 grudnia dyplomaci z Wielkiej Brytanii, Prus, Szwecji oraz Danii bezskutecznie namawiali Augusta II Mocnego do okazania łaski. Fryderyk Wilhelm I Pruski chciał nawet wykorzystać okazję, by wkroczyć do Prus Królewskich „dla ochrony ludności protestanckiej”. Ostatecznie porzucił plany interwencji w Rzeczpospolitej z braku przyzwolenia od cara Piotra Wielkiego.

Tymczasem protestancy autorzy – przede wszystkim w krajach niemieckich – szeroko rozpowszechniali słowa oburzenia pod adresem Polski. Jedno z najobszerniejszych pism zredagował w 1725 roku Daniel Ernest Jabłoński. Berliński pastor nadworny Hohenzollernów stworzył w swojej rozprawie „Das Betrübte Thorn” („Toruń cierpiący”) czarny obraz tutejszych jezuitów i ich wpływów na polskim dworze królewskim. Jak pisze Martina Thomsen: „Opis zredagowany przez Jabłońskiego pod wrażeniem tumultu toruńskiego jako tendencyjny”. Doprowadził do tego, że w licznych niemieckich opracowaniach wydarzenie zaczęło być określane jako Thorer Blutbad (krwawa łaźnia toruńska) lub Thomer Blutgericht (krwawy sąd toruński).

Thomsen dalej: „Po stronie niemieckiej religijna interpretacja wkrótce ustąpiła miejsca interpretacji politycznej: od połowy XIX wieku miarodajne stało się objaśnianie tumultu toruńskiego jako konfliktu niemiecko-polskiego, [zaś] stereotypy narodowe, które niemiecka historiografia narzuciła w ten sposób nowożytnej Polsce, zostały przejęte przez historiografię rosyjską i anglosaską, po czym na długie lata określiły negatywny obraz Polski w Europie”. ●

Korzystałem m.in. z artykułów: Jerzy Dygdała, „W cieniu głębokich konfliktów wyznaniowych (1719–1732)” w „Historia Torunia”, tom II, 1996; Marcin Swobodziński, „Narodziny mitu toruńskiej krwawej łaźni i krwawego sądu” w „Rocznik Toruński” 38, 2011; Martina Thomsen, „...i tak zostanie toruńska Niniwa zburzona: pismo Daniela Ernesta Jabłońskiego Das Betrübte Thorn z 1725 r.” w „Rocznik Toruński” 33, 2006.



• Odsłonięcie tablicy poświęconej Marii i Stanisławowi Ossowskim. Pierwszy od lewej: prof. Antoni Sulek, współautor tekstu FOT. JACEK MARCZEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Róża Sulek
Antoni Sulek

Gdy w grudniu 2022 roku na domu przy ul. Krasieńskiego na Żoliborzu, w którym w latach 1932-74 mieszkali jedni z najwybitniejszych polskich socjologów, Maria i Stanisław Ossowsky, została odsłonięta tablica ku ich pamięci, to znalazła się na niej także informacja, że „w czasie okupacji w ramach »Żegoty« udzielali pomocy Żydom”. O ich ratowaniu przez Ossowskich niewiele wiadomo, ale przynajmniej wiadomo dla czego. Informacje o tej działalności pochodzą niemal wyłącznie od osób trzecich, gdyż samo profesorstwo tematów tych unikało, traktując pomoc obarczoną ryzykiem utraty własnego życia jako normalną ludzką powinność.

Można jednak zebrać rozproszone wiadomości o pomocy udzielanej przez Ossowskich ginącym Żydom oraz pokazać ich udział na tle innych osób i środowisk, a tym samym wzbogacić wiedzę o relacjach polsko-żydowskich w czasie wojny i okupacji.

KULAKIEM PO PLECACH PROFESORA

W rodzinach Ossowskich krzyżowały się różne opinie na temat sprawy żydowskiej. W rodzinie Marii przeważała niechęć do Żydów, a w rodzinie Stanisława – wpływy osób im życzliwych.

Światem życia Ossowskich był Uniwersytet Warszawski, niestety także zarażony trądem antysemityzmu. Tuż przed wojną na Wydziale Humanistycznym 22 proc. studiujących pochodziło z rodzin polsko-żydowskich i był to najwyższy wskaźnik na całym uniwersytecie. Kontakty między ludźmi z grup odmiennych społecznie i etnicznie sprzyjały redukcji wzajemnych uprzedzeń i zmniejszają znaczenie kategoryzacji społecznych. Stereotypy grupowe

SPRAWIEDLIWI z Żoliborza

Filozof Florian Znaniecki nazwałby Marię i Stanisława Ossowskich „zbożnikami nadnormalnymi”, gdyż odchylają się od przeciętności „wzwyż”.

zasłaniają żywych ludzi. Gdy bielmo stereotypu opada z oczu, widzimy indywidualne osoby, takie same jak my.

Te spontaniczne procesy mogą jednak być kontrowane przez wpływ spłotu rozbieżności interesów i ideologii etnicznych. Uniwersytet Warszawski był miejscem ścierania się tych prądów. Studenci żydowscy przez radykalną młodzież narodową byli postrzegani jako konkurencja zawodowa i zagrożenie kulturowe. Już na początku lat 20. zorganizowani narodowcy domagali się wprowadzenia II-proc. limitu dla studentów żydowskich (numerus clausus), a w późnych latach 30. żądali wprowadzenia segregacji etnicznej w salach wykładowych i seminaryjnych (getto ławkowe); na Uniwersytecie dochodziło do napaści na Żydów i ich obrońców, burd i interwencji policji państwowej.

Mało znany epizod: w 1937 roku przyjechał z Brukseli prof. Chaim Perelman, chciał poznać osiągnięcia logiki warszaw-

skiej – w przerwie wykładu prof. Łukasiewicza podbiegł do niego z tyłu student narodowiec i wałnął go kulakiem w plecy; pisały o tym gazety. Władze rektorskie uległy tym wydarzeniom i na niektórych wydziałach wyznaczono osobne ławki dla Żydów; dziekan Wydziału Prawa odmówił uznania obecności wymaganej do zaliczenia roku tym studentom, którzy na jego wykładach woleli stać, niż siedzieć na ławkach dla Żydów.

Filozofia oparła się tej presji. W 1922 roku studenckie Koło Filozoficzne jako pierwsze na Uniwersytecie zaprotestowało przeciw żądaniu numerus clausus, a w 1937 roku Rada Wydziału Humanistycznego sprzeciwiła się gettu ławkowemu, określając je jako „sprzeczne z konstytucją, moralnością i budzące zastrzeżenia pod względem wychowawczym”.

Tadeusz Kotarbiński, Stefan Czarnowski, Jan Stanisław Bystron i Władysław

Witwicki byli wśród profesorów, którzy najmocniej przeciwstawili się żądaniom narodowców i krytykowali uległość władz akademickich, a ich nazwiska znajdujemy pod publicznymi protestami przeciwko zajęciom antysemickim. Pod listem „Przeciwko barbarzyństwu” w lipcu 1937 roku podpisali się Czarnowski i Kotarbiński. Pod ogłoszonym w grudniu tego roku apelem „W obronie kultury polskiej” jego liczni sygnatariusze stan panujący w większości szkół akademickich uznali za „ciężką krzywdę dla kultury polskiej i wielkie niebezpieczeństwo dla jej przyszłego rozwoju”.

MIEDZY NAMI SZKLANIAKAMI

W takim klimacie żyła w i obok akademii Maria Niedzwiedzka, od 1924 roku żona Stanisława Ossowskiego. Ich podpisy

widnieją na liście sygnatariuszy obu wymienionych wystąpień. Natomiast Ossowska, działając w Sekcji Szkół Wyższych Związku Nauczycielstwa Polskiego, zbierała podpisy pod listami przeciw dyskryminacji. Wpływ osobisty na jej poglądy mógł mieć Stanisław, który z wielkim zaangażowaniem wypowiadał się wówczas w tych sprawach i toczył ostre spory z antysemitami. Pod koniec lat 30. aktywności społeczne Marii i Stanisława były już równe, a ich poglądy wysoce zbieżne. Oboje byli anty-antysemitami.

Drugim miejscem formacji i ekspresji była dla Ossowskich WSM, Warszawska Spółdzielnia Mieszkaniowa, gdzie mieszkali przez całe lata 30. Stanisław był jednym z entuzjastów i „teoretykiem” tego unikalnego projektu społecznego. W „koloniach” inspirowanych awangardową myślą urbanistyczną, ideami demokratycznego socjalizmu i kooperatywizmu skupiło się na Żoliborzu środowisko postępowej inteligencji warszawskiej. Stowarzyszenie lokatorów WSM nazywało się Szklanymi Domami, oni sami – Szklaniakami, osiedlowy klub artystyczny – Czapka Frygijską itd.

Osiedla WSM były tak pomyślane i zbudowane, aby tworzyć i podtrzymywać więź społeczną – zainteresowanie sprawami sąsiedztwa, kontakty, współdziałanie, zaufanie i pomoc wzajemną. Budowana na Żoliborzu więź społeczna miała okazać swoje znaczenie w czasie wojny – w ocenie architekt Heleny Syrkusowej „stała się, w obliczu codziennego okupacyjnego zagrożenia, niezbędnym warunkiem zbiorowego i indywidualnego przetrwania”.

WŚRÓD SZLACHETNYCH POLEK I POLAKÓW

Stanisław Ossowski z obawy przed aresztowaniem jesienią 1939 roku wyjechał z Warszawy na wschód, do strefy sowieckiej, ze Lwowa mógł wrócić dopiero jesienią 1941 roku. Maria została w Warszawie, na Żoliborzu. Pracowała w szkołach, prowadziła tajne komplety, uprawiała swoją naukę o moralności. Była bezpośrednim i pośrednim świadkiem postępujących prześladowań Żydów i przesiedlenia ich do getta jesienią 1940 roku. Prawdopodobnie od tego czasu angażowała się, najpierw sama, a potem ze Stanisławem, w pomoc Żydom.

Przez mieszkanie Ossowskich na „kolonii III” przy ul. Krasińskiego przewinęło się kilka znanych z nazwiska osób, o innych nie wiemy. Najwięcej wiadomo o Adolfie Bermanie, znajomym Ossowskich jeszcze z Uniwersytetu, na którym w 1932 roku uzyskał doktorat z psychologii. Berman przewodniczył Żydowskiemu Komitetowi Narodowemu, a po powołaniu konspiracyjnej Rady Pomocy Żydom „Żegota” był jej sekretarzem. W liście napisanym do Teresy Prekerowej, autorki historii „Żegoty” wymienia oboje Ossowskich wśród „szlachetnych Polaków i Polek”, którzy prowadzili „komórki opiekuńcze”.

Mieszkanie Ossowskich było czymś więcej niż tylko węzłem w sieci takich komórek, spotykało się tam wiele osób z oporu cywilnego; tam we wrześniu 1942 roku natknął się na Bermana Władysław Bartoszewski, który potem współpracował z nim jako zastępca kierownika referatu żydowskiego w Departamencie Spraw Wewnętrznych Delegatury Rządu.

W pomoc Żydom włączyła się też Irena Kurowska, siostra Marii, nauczycielka, która przez okupację i zaraz po wojnie mieszkała na Żoliborzu, najpierw u, a potem obok Ossowskich. Występuje ona w zapiskach „Dziennika z podziemia” Basi Temkin-Bermanowej. Po ucieczce Bermanów z getta w 1942 roku, już po wywózkach, ktoś z ich opiekunów szukał Marii Ossowskiej. Gdy pojechali na Żoliborz, nie zastali gospodarzy, którzy akurat wybyli z Warszawy, ale zastana Irena „spytała, o co idzie, a dowiedziawszy się, że o danie [im] schronienia, powiedziała: proszę do mnie.



• Maria Ossowska (1896-1974) i Stanisław Ossowski (1897-1963)

FOT. DANUTA B. ŁOMACZEWSKA/EAST NEWS; Z ARCHIWUM PRZY KSIĘGOZBIORZE OSSOWSKICH W BIBLIOTECIE ISNS UW

Gdy spytano, czy wie, o jakich ludzi idzie, odpowiedziała, że to jej nie obchodzi, lecz jeśli nie mają schronienia, przyjmie ich”.

Opis pobytu Bermanów na Żoliborzu pokazuje, że mieszkanie Ossowskich było nie tylko kryjówką przed wszechobecnymi szmalcownikami, ale także miejscem, gdzie mogli się cieszyć pozorami wolności; nieistotny, lecz znaczący szczegół: w swoich zapiskach przestała pisać lękliwie „g,” – zaczęła pisać „getto”.

SZTUKA MIMIKRY

Pomoc ukrywającym się Żydom miała wiele postaci. Temkinowa prowadziła życie aktywne, buchalterię pomocową i pracę opiekuńczą na mieście i w zasadzie ukrywała się na powierzchni. „Najtrudniejsza – pisze – była mimikra, przystosowanie się do nowego nazwiska i w ogóle udawania, że się jest kimś innym”.

Swoją tożsamość pomagało ukryć okrycie. Ona sama udawała „bidułkę, zubożałą inteligentkę, uchodźczynię z Kresów”. Inteligntki z Żoliborza pomogły jej się przebrać. Pani Ossowska pożyczyla jej „czarny kołnierz, »lisa« z futra kozy [sic!], czy podobnego domowego zwierzęcia, odpowiednio wytarty i zrudziały, jakiego by lepsza służąca nie włożyła”; inna znajoma dała jej „żałóbkę”, czarną woalkę. Tego „lisa” obdarowana zdejmowała tylko w upały, przysłaniał jej twarz, choć jak z czasem zauważyła, ukrywających się Żydów zdradzała nie tyle sama twarz, ile jej wyraz.

Negatywnymi postaciami okupowanej Warszawy byli szmalcownicy, drapieżni i bezwzględni. Ossowscy pomagali szantażowanym. Zaświadczona jest ich pomoc Stanisławowi i Krystynie Śreniowski, po wojnie profesorom na Uniwersytecie Łódzkim, Ossowski znalazł ich jeszcze ze Lwowa. Gdy jesienią 1941 roku wracał do Warszawy, zapewnił Krystynę, że tam na jego pomoc mogą z mężem liczyć. I faktycznie, na początku pobytu Śreniowskiej w Warszawie zabrała ją do domu na Krasińskiego siostra Ossowskiej.

Śreniowski z powodu tzw. złego wyglądu musiał się ukrywać, został dwukrotnie zatrzymany na mieście przez szmalcowników. Wykupiła go żona, która pieniądze na okup pożyczyla „na poczekaniu” także od Ossowskich. Ossowski pożyczył Śreniowskiej również rzecz dla niego bezcenną – swoją maszynę do pisania, była potrzebna jej mężowi.

ŻOLIBORSKA SPECYFIKA

Oboje Ossowscy mieli silny imperatyw pomocy. Gdy ukrywającemu się na aryjskich papierach Edwardowi Szpilrajnowi, doktorowi matematyki z Uniwersytetu, „spalily” się fałszywe papiery i dowiedziała się o tym Ossowska, poprosiła Bartoszewskiego o pomoc w wyrobieniu mu nowych.



Szpilrajn był zięciem Edmunda Burschego, sygnatariusza przywołanego wyżej protestu przeciw gettu ławkowemu z 1937 roku. Szpilrajn otrzymał dokumenty wystawione na nazwisko jakiegoś Marczewskiego i na nich przeżył okupację i obóz pracy w Breslau.

Po wojnie Edward Marczewski pozostał przy tym nazwisku i osiadł w polskim Wrocławiu, na uniwersytecie współtworzył słynną wrocławską szkołę matematyczną i w latach 1953-57 piastował godność rektora. Gorzkim finałem tej historii jest to, że padł ofiarą czystek po Marcu 1968 roku.

Ossowscy oczywiście nie byli jedynymi, którzy na Żoliborzu używali ukrywającym się Żydom mieszkania i w inny sposób pomagali im przetrwać. Żoliborskie nazwiska i adresy często pojawiają się we wspomnieniach i opracowaniach dotyczących okupacji w Warszawie. Żoliborz był postrzegany przez Żydów jako miejsce przyjazne i stosunkowo bezpieczne. Był dzielnicą na uboczu od Śródmieścia, poza cytaделą nie było na nim ważnych instytucji niemieckich, rzadziej też spotykało się tu niemieckie patrole, może też rzadziej zapuszczali się tu rodzimi szmalcownicy.

Kluczowy był jednak klimat społeczny. Składała się niego: silna integracja mieszkańców osiedli żoliborskich, dominująca wśród nich orientacja ideowa (wyżej scharakteryzowana) i wysoki stopień zaufania między mieszkańcami, sąsiedztwo oznaczało tu także bliskość, a nie tylko zamieszkiwanie obok siebie.

Nina Assorodobraj, uczennica Czarnowskiego, po wojnie profesor socjologii, jako Hubertówna przeżyła okupację na „kolonii III” i nikt z podwórka jej nie zadenuncjował. Na tej samej kolonii przeżyła Barbara Abramow-Newerly, znana aktorka, aktywna na WSM i współpracowniczka Janusza Korczaka. Opowiadano tu sobie, że pojawił się u niej szmalcownik z zewnątrz, ale szantażowana obiecała mu, że okup przygotuje na jutro, a o jego najściu zawiadomiła, kogo trzeba (nazwisko znane), i usłyszała „załatwimy to”. Tak się też stało.

PO WOJNIE

Tak jak anty-antysemita postawa Ossowskich w czasie wojny była przedłużeniem ich postaw sprzed wojny, tak ich zachowania po wojnie były kontynuacją zachowań wcześniejszych. Dowodziły też integralności samych Ossowskich.

Po pogromie Żydów w Kielcach w 1946 roku Stanisław Ossowski napisał „Na tle wydarzeń kieleckich”, wnikliwą i demaskatorską analizę tła społecznego pogromu – antysemityzmu i psychospołecznego dziedzictwa wojny.

Gdy po marcu 1968 roku usunięty z Uniwersytetu i napiętnowany jako „syjonista” Zygmunt Bauman postanowił wyjechać z rodziną z Polski, odwiedzali go bliscy koledzy, ale Janina Bauman opisała tylko

jedną wizytę, i to bynajmniej nie kogoś z ich kręgu:

„W drzwiach ukazała się sędziwa dama w czarnej sukni, w wielkim czarnym kapeluszu i z bukietem czerwonych róż w ręku – nestorka polskiej socjologii. Profesor Maria Ossowska przyszła w towarzystwie asystentki Zygmunta, Elżbiety N [eyman]. Nigdy przedtem nie mieliśmy z nią osobistych kontaktów. Usiadła na niewygodnym fotelu i piła z nami herbatę. Mówiła niewiele, jak gdyby trudno było jej znaleźć właściwe słowa. Sama jej obecność powiedziała nam wszystko”.

LEKCJE OSSOWSKICH

Opis pomocy udzielanej Żydom na Żoliborzu przez Ossowskich, choć niepełny i miejscami zamglony, może być podstawą do stwierdzeń daleko wykraczających poza ich przypadek. Trzy najważniejsze:

Patrząc od strony motywów postępowania, Ossowscy byli „idealistami”, tak Emanuel Ringelblum nazywał ludzi, którzy pomagając Żydom, działali bezinteresownie, kierując się ideałami wyższymi. Florian Znaniecki osoby takie jak Ossowscy nazwałby intrygująco „zboczeńcami nadnormalnymi”, gdyż odchylały się od przeciętności „wzwyż”. Tacy ludzie są wyjątkowi dwojako – są nieliczni i wyrastają ponad otoczenie. Nasze badania sugerują, że do tego, by pomagać Żydom, nie wystarczyło być dobrym człowiekiem, trzeba było – tak jak miłośnierny Samarytanin – „wzruszyć się głęboko” ich losem, a zdecydowanie nie była to wówczas postawa dominująca ani nawet częsta. Wojenne biografie Ossowskich pokazują, jak silna była ta ich postawa, biografie przedwojenne – jak ona się formowała, a biografie powojenne – jak była trwała.

Ossowscy byli osobami integralnymi – ich życie zgodne było z głoszonymi zasadami. To wymagało odwagi, a tej sprzyja wsparcie otoczenia społecznego. Ossowscy w latach wojny żyli na Żoliborzu wśród ludzi sobie bliskich i spolegliwych. Jak wiadomo, lęk przed sąsiadami i ich donosami do gestapo i „granatowej” policji powstrzymywał wielu ludzi przed ukrywaniem Żydów i pomaganiem im. Rodzina Ossowskich nie odmawiała im pomocy, a nawet sama ją im oferowała. W szerokim społeczeństwie od pomagania Żydom powstrzymywało też poczucie wielorakiej obcości względem nich, Żydzi i nie-Żydzi byli dla siebie obcy, a na Żoliborzu tożsamości i kategoryzacje etniczne nie były istotne. Chęć i odwaga niesienia pomocy nie są tylko odruchami serca – są połączeniem motywacji indywidualnych i wpływów sił społecznych, są konstrukcjami społecznymi.

Przypadek Ossowskich demonstruje też znaczenie sieci społecznych dla ratowania Żydów. Większe szanse przetrwania miały osoby dobrze i wcześniej powiązane ze środowiskiem niżydowskim, znajdowały w nim kontakty, pomoc i wsparcie psychiczne. Uniwersytet i inteligentki Żoliborza były takimi środowiskami, liczyły się też przedwojenne kontakty z akcji społecznych i polityki. Na polskiej prowincji ratujące czasem życie kontakty pochodziły z „zimnego” handlu i kooperacji w interesach, nie mogły więc być częste. Historia tu opowiedziana pokazuje, że znaczenie dla przetrwania i ocalenia miały też mieszane związki małżeńskie, w Polsce zdarzały się one w środowisku wielkomięskiej inteligencji, ale były trudne do wyobrażenia w miastkach, sztetlach i miasteczkach.

Róża Sułek jest kustoszką Księgozbioru Ossowskich w bibliotece ISNS UW, laureatką Nagrody Historycznej „Polityki” za edycję „Dzienników” Stanisława Ossowskiego.

Antoni Sułek jest emerytowanym profesorem Wydziału Socjologii UW, członkiem PAN.



W 1923 roku amerykańska firma deweloperska Woodruff and Shoultz umyśliła sobie, że trzeba jakoś zareklamować ich najnowszą inwestycję ulokowaną na wzgórzach ponad dystryktem Hollywood, rzecz jasna w Los Angeles. Misję powierzono firmie Crescent Sign Company, której właściciel, Thomas Fisk Goff zaprojektował składający się z wysokich na ok. 15 metrów, a szerokich na 9 białych napis „HOLLYWOODLAND”. A to dlatego, że tak właśnie zwał się ów inwestycyjny projekt. W literach umieszczono 4 tysiące żarówek, które na zmianę miały podświetlać kolejne segmenty napisu. Koszty zamknęły się w kwocie 21 tys. dol.

Napis stanął 13 lipca 1923 roku, a jego twórcy nie mogli się oczywiście spodziewać, że oto powołali do życia, w sumie za cenę niezbyt wygórowaną (na dziś to ok. 400 tys. dol.) jeden z najsłynniejszych symboli nie tyle Kalifornii, co w ogóle Stanów Zjednoczonych. Na razie jednak szefowie Woodruff and Shoultz zakładali, że napis postoi półtora roku. Tymczasem „HOLLYWOODLAND”, za sprawą święcącego gigantyczne triumfy przemysłu filmowego, zdobył ogromną popularność i rozpoznawalność.

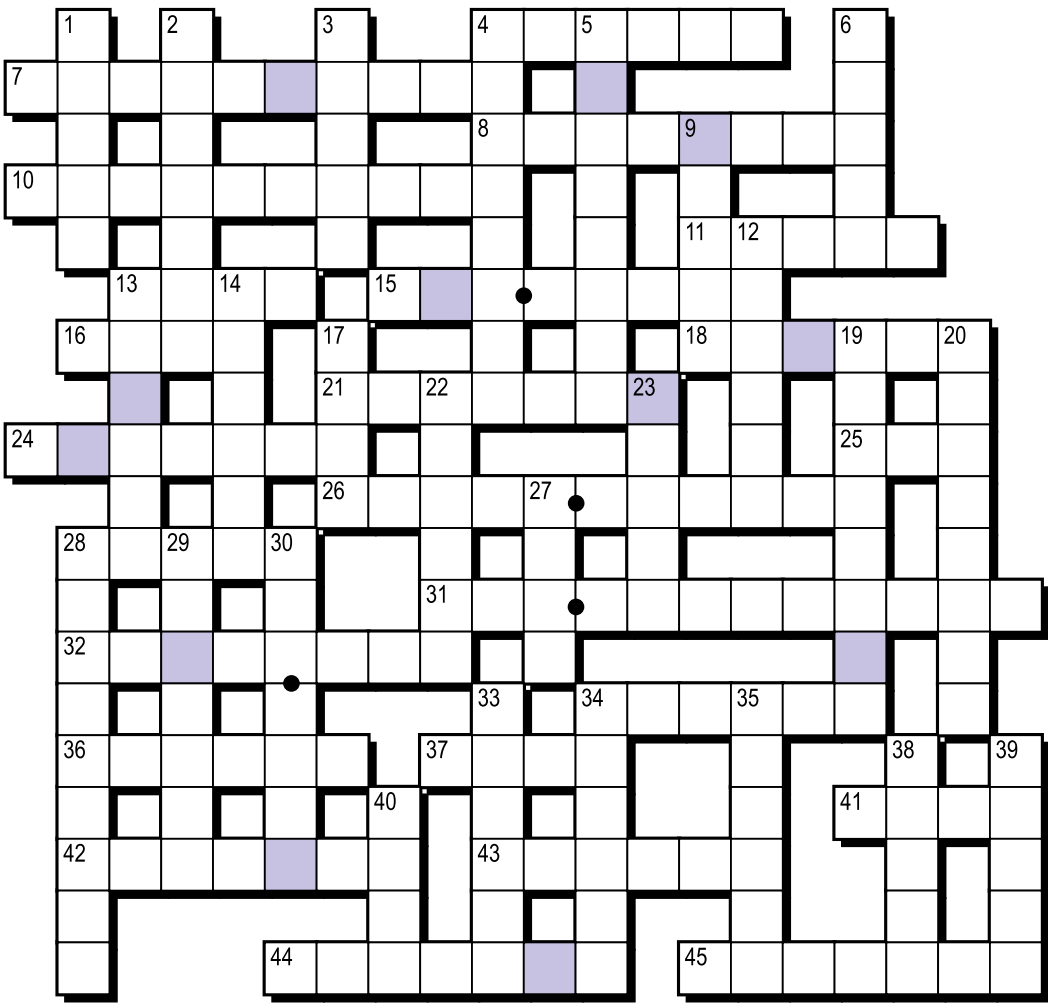
Choć nie przetrwał w niewzruszonym stanie. W 1933 efekty świetlne wyłączono, bo koszt mrugających żarówek był zbyt wysoki. W 1944 roku zniszczeniu uległa litera „H” – winę zrzucano na silne wiatry i... wandalów, którzy mieli uszkodzić początek napisu.

Nie tylko zresztą miejscowe łobuzy kręciły nosem na monumentalny symbol. Nie podołał się on również okolicznym mieszkańcom, którzy domagali się demontażu tego „paskudztwa”. Izba Handlowa Hollywood zaprotestowała, deklarując gotowość do odremontowania napisu. I lekkiego przeredagowania. We wrześniu 1949 roku skasowano końcówkę „LAND”, by napis nawiązywał do miejsca, nie do deweloperskiej inwestycji.

Blisko 30 lat później symbol przebudowano – było to niezbędną koniecznością, pierwsze „O” zламало się wpół, trzecie w ogóle się zawaliło. Drewniane 15-metrowe litery zastąpiły nieco mniejsze, wzmocnione stały i oparte na betonowych fundamentach. Było to możliwe dzięki wpłatom darczyńców na konkretne, poszczególne litery (m.in. pierwsze „O” zasponsorował Alice Cooper, zaś „Y” Hugh Hefner).

„HOLLYWOOD” przeżywał jeszcze wiele burzliwych perypetii, ale nieodmiennie stanowił i stanowi jeden z najsłynniejszych kalifornijskich symboli. A my z okazji rocznicy jego postawienia zapraszamy na wycieczkę do Kalifornii, bo właśnie temu stanowi poświęcona będzie dzisiejsza „Weekendówka”. Będzie o geografii, o muzyce, o sporcie i rzecz jasna filmach. Miłej podróży!

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie „Weekendówki” nr 110 z 6.07:

Poziomo: 2) sakiewka, 7) bankomat, 10) funt, 11) rezerwa, 12) ekonomia, 13) Machulski, 14) drobniaki, 16) leki, 18) zwrot, 19) giełda, 20) przekupstwo, 22) jen, 24) peseta, 25) przysłowie, 27) PIT, 28) liry, 29) Scrooge, 30) siano, 31) numizmat, 34) suma, 35) obiady, 37) wony, 38) gruba ryba, 39) finanse, 40) kasa

Pionowo: 1) obieg, 2) strata, 3) Kazimierz Wielki, 4) eurocenty, 5) krakus 6) znaki wodne, 8) konto, 9) Mamona, 10) forsa, 14) dolar, 15) piosenki, 17) kredytodawca, 18) ZUS, 21) procenty, 22) Japonia, 23) nota, 24) piramida, 26) rachunki, 30) stopy, 32) Metro, 33) dycha, 36) Irak

HASŁO:
FUNDUSZ WALUTOWY

KALIFORNIJSKIE KLIMATY

Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:

- 4) kalifornijski ... energetyczny, na początku XXI w. pozbawił prądu ponad milion odbiorców
- 7) stolica stanu Kalifornia
- 8) miasto w hrabstwie Los Angeles, w którym Depeche Mode zagrali słynny koncert „101”
- 10) „Hotel ...”, hit zespołu The Eagles
- 11) Pacyfik
- 13) Golden Gate w San Francisco
- 15) miasto, w którym kibicują baseballistom Padres
- 16) kalifornijskie – w tekście piosenki „Jedwab” zespołu Róże Europy
- 18) imię gubernatora Kalifornii w latach 2003–11
- 21) Los ..., Miasto Aniołów
- 24) film taki jak „La La Land”

- 25) Santa ..., miasto w hrabstwie Orange
- 26) z odciskami, ciągnie się wzdłuż Hollywood Boulevard
- 28) The ..., nagrali album „L.A. Woman” z piosenką „Riders on the Storm”
- 31) miasto charakterystycznych tramwajów
- 32) Scott, śpiewał o 31 poziomo
- 34) Los Angeles ..., klub piłkarski, w którym grał David Beckham
- 36) Diane, aktorka urodzona w Los Angeles
- 37) film ..., np. „Bulwar Zachodzącego Słońca” Billy’ego Wildera
- 41) pisarz Hank Moody – ... Davida Duchownego w serialu „Californication”
- 42) uskok San ..., przecina Kalifornię (na granicy dwóch płyt tektonicznych)
- 43) np. wielkie sekwoje Kalifornii i Oregonu
- 44) lokalni rywale Clippersów
- 45) Philip, detektyw z LA, bohater kryminałów Chandlera

Pionowo:

- 1) The ... & the Papas, nagrali przebój „California Dreamin”
- 2) Roy, wykonawca piosenki „California Blue”
- 3) Katy, piosenkarka („California Gurls”)
- 4) kalifornijskie ... złota, zaczęły powstawać w połowie XIX w.
- 5) park narodowy w górach Sierra Nevada
- 6) długa ..., czyli Long Beach
- 9) Route 66 wiodąca z Chicago do LA
- 12) miasto w hrabstwie Riverside (z liter wyrazów: car, ono)
- 13) Malibu lub Santa Barbara
- 14) Major League ..., m.in. z zespołem Los Angeles Football Club
- 17) oscarowa – co roku transmitowana na cały świat
- 19) przybywali m.in. do Kalifornii, by rozpocząć nowe życie
- 20) ... chmur, budynki takie jak U.S. Bank Tower i Wilshire Grand Center
- 22) musical, którego akcja toczy się w Kalifornii (z piosenką „Summer Nights”)

- 23) dokuczliwy na pustyni Mojave
- 27) ... Wendzikowska, autorka książki „Pytania o Hollywood, czyli Gwiazdy bez tajemnic”
- 28) Republikanie i ...
- 29) sąsiaduje m.in. z miastem Berkeley
- 30) miasto w obrębie Doliny Krzemowej, stolica hrabstwa Santa Clara
- 33) ... kalifornijski, wymarty gatunek wielkiego ptaka
- 34) niedźwiedź na fladze stanu Kalifornia
- 35) niejeden zamieszkuje Chinatown – dzielnicę San Francisco
- 38) bohater w czarnej masce, broń uciśnionych Kalifornijczyków
- 39) Clark, ikona Złotej Ery Hollywood
- 40) uchatka kalifornijska lub myśzak kalifornijski

Leszek Rydz

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34310976

Wysokie obcasy

TEMAT NUMERU:
Dość życia z narcyzem

MONIKA BRODKA:
Czuję się bardziej warszawianką niż góralką

DUŻO DOBREGO CZYTANIA